

MARGIT SANDEMO

STYGMAT CZAROWNIKA

Tajemnica czarnych rycerzy tom 04

Tytuł oryginału: „Trollmanners merke“

Streszczenie

Morten, lat 24, *Unni*, 21, i *Antonio*, 27 lat, stwierdzają, że wplątali się w przerażającą historię, której korzenie sięgają daleko w przeszłość. W ich rodzinach pierwotne dzieci umierają w wieku dwudziestu pięciu lat, trzeba więc zbadać całą sprawę bliżej. Młodzi zostają wciągnięci w jakiś kocioł czarownicy, zaczynają się koszmarnie sny, ostrzegawcze napisy na zwojach pergaminu, czarni rycerze i ziejący nienawiścią mnisi. Wszędzie pojawia się dziwny znak ze słowami: „AMOR ILIMITADO SOLAMENTE” (Tylko bezgraniczna miłość).

Wszyscy troje narażeni są na ataki i próby morderstwa ze strony jak najbardziej żywych ludzi. *Morten* zostaje ciężko ranny.

Nagle spotykają tajemniczego idola *Unni*. To starszy brat *Antonia*, *Jordi*, o którym myśleli, że od czterech lat nie żyje. On jednak zawarł pakt z hiszpańskimi rycerzami z odległej przeszłości i uzyskał coś w rodzaju pięcioletniego odroczenia śmierci oraz moc, pozwalającą mu na podjęcie próby rozwiązania zagadki rycerzy, a tym samym przzerwania przekleństwa obciążającego ich potomstwo.

W tym celu musiał jednak wejść do ich nierzeczywistego świata.

Tak więc *Jordi* prowadzi teraz tylko na pół rzeczywiste życie, jest jak gdyby otulony chłodem. Ze względu na ten śmiertelny chłód zakochana w nim *Unni* nie może się do niego zbliżyć. Trwa to już kilka lat, ale *Jordi* nie miał czasu zająć się rozwiązaniem zagadki rycerzy, bowiem zarówno jego brat, *Antonio*, *Morten*, jak i *Unni* nieustannie są atakowani i on musi ich ochraniać. Czas upływa bardzo szybko, wkrótce może być za późno i dla *Jordiego*, i dla *Mortena*.

Wśród wrogów rycerzy znajduje się grupa mnichów z czasów świętej inkwizycji oraz współcześnie żyjący ojczym obu braci wraz ze swoją bandą, a także współpracująca z nimi piękna *Emma*.

Wszyscy oni poszukują jakiegoś skarbu, o którym młodzi nic nie wiedzą. *Morten* nie ma odwagi powiedzieć nikomu, że zakochał się w *Emmie*. Po wypadku, któremu uległ, zajmuje się nim pielęgniarka, *Vesla*, zakochana w studencie medycyny, *Antoniu*. *Antonio* także jest w niej zakochany, ale za nic na świecie nie chce mieć dzieci, bo mogłoby na nie spaść owo straszne przekleństwo. Jeśli bowiem pierwotny w rodzinie umiera bezdzietnie, to przekleństwo przechodzi na potomstwo następnego po nim.

Pięciu rycerzy to:

Don Galindo de Asturias, ród wymarły.

Don Garcia de Cantabria, ród wymarły.

Don Sebastian de Vasconia, przodek Unni.

Don Ramiro de Navarra, przodek Mortena, Jordiego i Antonia.

Don Federico de Galicia, najwyżej postawiony wśród rycerzy.

Jego potomkiem jest *Pedro*.

Pedro, hiszpański wysoki urzędnik, starszy, schorowany i bezdzietny człowiek, oraz *Flavia*, sympatyczna macocha Mortena, współpracują z Jordim.

Przekleństwo, które obciąża rycerzy oraz ich potomstwo, zostało rzucone w piętnastym wieku przez dwie znające się na czarach istoty: złego Wambę, stojącego po stronie inkwizycji, oraz dobrą *Urracę*, sojuszniczkę rycerzy. Urraca nie była w stanie zdjąć przekleństwa, mogła je tylko złagodzić. W następstwie tortur, jakim poddawali ich mnisi, rycerze są niemi. Tylko Jordi może się z nimi porozumiewać na zasadzie przepływu myśli.

Morten zostaje w Norwegii pod opieką swojej babci, *Guðrun*, a reszta młodych wyjeżdża do Hiszpanii, by odnaleźć tam nieznanego *Elia*, jedyne kuzyna, który znajduje się w ich drzewie genealogicznym, a który może coś wiedzieć o przeszłości rodu. Elio był w Hiszpanii prześladowany przez niejakiego *Alonza*, współpracownika *Leona* i jego ludzi. Zdołał się przed nimi ukryć, ale teraz młodzi Norwegowie odnajdują go przy pomocy Pedra. Vesla zostaje uprowadzona i zraniona przez ludzi Alonza, w końcu wraz z Antoniem wraca do Norwegii. Flavia ukrywa rodzinę Elia we Włoszech.

Elio zaś prowadzi swoich nowych przyjaciół: Pedra, Jordiego i Unni, do starej rodzinnej posiadłości w prowincji Nawarra, gdzie przed stu dwudziestu pięciu laty *Santiago*, jeden z jego przodków, coś ukrył. Zbliżają się coraz bardziej do rozwiązania zagadki zwłaszcza po tym, jak posiadająca ponadnaturalne zdolności Unni ma wizje, w których poznaje straszne wydarzenia z piętnastego wieku. Widzi mianowicie, jak dwoje bardzo młodych ludzi zostało ściętych i jak zrozpaczeni rycerze zabrali ich ciała, żeby je pochować w oddalonej, ukrytej przed światem wiosce, w dolinie pośród gór.

Unni i jej przyjaciele nabierają przekonania, że właśnie tam, w tej wiosce, znajduje się rozwiązanie zagadki. Nie mają jednak pojęcia, gdzie znajduje się ukryta dolina.

Zanim nieliczna już grupa dotrze do rodzinnej posiadłości w prowincji Nawarra, podczas księżycowej nocy, w lesie, pojawiają się przed nimi mnisi. Dawniej było ich trzynastu, ale Urraca zdołała wyeliminować jednego, później Jordi zlikwidował jeszcze jednego.

Teraz Unni dokonała czegoś niezwykłego, unicestwiła trzech mnichów, reszta uciekła.

Ale mnisi zdążyli jeszcze wywołać Wambę, uśpionego w górskiej grocie. Jedyńm, który może pokonać złego czarownika, jest Jordi, zwłaszcza że rycerze dali mu swój miecz. Żywi w śmiertelnym strachu czekają na wynik walki.

Emma, Leon, Alonzo i jego ludzie, którzy śledzili swoich przeciwników, przedzierają się przez las i są coraz bliżej...Dawno zapomniana świętość tkwiła nieruchomo w oczekiwaniu. Las zdołał skryć ją już przed wieloma stuleciami, zioła i trawy porosły zielonym kobiercem.

Żadna prowadząca do niej droga już nie istniała. Nigdzie nie widać też było śladów, świadczących o tym, że kiedyś wokół świętej budowli znajdowały się ludzkie siedziby. Wszystko zostało zrównane z ziemią. Komu chciałoby się tu przedzierać przez nieprzebyte pustkowie?

Mimo wszystko jednak miejsce to kryło w sobie rozwiązanie tajemnicy, mimo wszystko mogło zapewnić spokój ducha wielu ludziom, innym zaś przynieść ocalenie.

Ale cóż z tego, skoro w zapomnienie odeszła nawet sama tajemnica?

CZEŚĆ PIERWSZA
SKARB SANTIAGO

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Święta Matko Boża, pomóż mi teraz - prosił Jordi, unosząc głowę w stronę niebieskawego, nocnego nieba. Jordi modlił się zawsze po hiszpańsku. Norweski sposób wyrażania wiary był dla niego za bardzo poufały, miał w sobie jakąś pospolitość. - Święta Maryjo, zbaw mnie ode złego.

Bo to, z czym miał stoczyć walkę, było złe, było samym złem.

Daleko na zachodzie dogasały ostatnie, smutne resztki dnia.

Panowanie nad lasem i skałami objęła noc. Noc i księżyc.

Pomóż mi i ty, don Ramiro, mój szlachetny przodek, który podałeś mi ten miecz taki lekki, jakby go wcale nie było. Dotarły do mnie twoje myśli, wiem, co mam zrobić. Bądź jednak przy mnie tak, bym zdołał wypełnić zadanie! Bądźcie ze mną wszyscy - don Federico, don Garcia, don Sebastian, don Galindo! Muszę pokonać liczącego sobie setki lat upiora, obdarzonego ukrytą siłą, jakiej ja nie posiadam.

Księżycowe światło stawało się coraz bardziej intensywne, nigdy jednak nie będzie się mogło równać ze światłem dnia. Mroczne cienie kładły się pod wielkimi krzewami i drzewami skąpanymi w srebrzystej poświacie, pod skalnymi blokami te cienie zdawały się całkiem czarne.

- Virgen gloriosa... dziewico niebiańska, roztocz opiekę nad tymi, których kocham, jeśli nie podołam temu trudnemu zadaniu.

Ochroniaj Unni, mego brata i wszystkich przyjaciół, kiedy mnie już przy nich nie będzie.

Jordi ma potężny miecz rycerzy, Wamba jednak posiada czarodziejskie umiejętności. Co nieszczęsny Jordi może im przeciwstawić?

Pośród skał, w głębokim cieniu, Unni ukryła się razem z Pedrem i Eliem. Serca były im jak szalone, spoglądali wszyscy z niedowierzaniem na to, co się dzieje na równinie zalanej księżycowym blaskiem. Unni toczyła wewnętrzną walkę. Najchętniej pobiegłaby do Jordiego, żeby mu pomóc, jednocześnie zaś groza przenikała ją do szpiku kości. Zdawała sobie przy tym sprawę, że bardzo by pogorszyła sytuację Jordiego, gdyby dała się ponieść uczuciom i rzuciła się mu pomagać. Pozwoliła więc, by strach zatrzymał ją na miejscu.

- To groteska - szepnął Pedro, gdy jak sparaliżowany przyglądał się tej jakiejś piekielnej postaci, która skulona czała się na porośniętej trawą równinie. Bo też wyglądał groteskowo ów czarodziej Wamba z ponurych czasów inkwizycji. Odór śmierci, zgnilizny i

zbutwiałej ziemi zanieczyszczał powietrze tak, że ludzie z trudem byli w stanie oddychać.

Wamba wyprostował się. Znowu widział Jordiego. Pogardliwie wyciągnął rękę.

- Jesteś martwy! - ryknął z nienawiścią.

- Owszem - odparł Jordi. - I co z tego?

Ta odpowiedź była zbyt skomplikowana dla ociężałego Wamby.

Burczał coś niezrozumiale i kręcił swoim ciężkim, obrzydliwym łbem.

Unni jednak słuchała zrozpaczona.

- Nie wolno ci tak mówić, Jordi! - zawodziła cichutko. - Nie wolno ci mówić, że jesteś martwy, ty jesteś całym moim życiem! Nie możesz zatrząskiwac ostatnich drzwi!

Elio wziął ją za rękę i wciągnął głębiej pod skały. Czowała, że on drży, choć cokolwiek innego byłoby z pewnością dziwne.

Odpowiedź Jordiego rozdrażniła zjawę. Wamba gapił się wciąż ponuro na swego przeciwnika. W końcu wydał ryk zniecierpliwienia i jął miotać snopy swego unicestwiającego, iskrzącego się ognia w stronę nieszczęśnika, który stoi oto i wyobraża sobie, że jego, czarownika z godnej szacunku przeszłości, można zranić mieczem.

Śmieszne!

To właśnie takim snopem ognia Wamba zamordował kiedyś dobrą Urracę.

Ale młodzieniec w tutejszym lesie był szybki. Odchylił się po prostu w bok i uniknął ognia, śmiercionośna wiązka trafiła w niewinny krzew, który zajął się natychmiast wysokim płomieniem i rozjaśnił okolicę krwistą poświatą.

Wamba aż podskoczył z irytacji, uniósł w górę swoje potężne barki. Co się stało z tym młodzieńcem?

Tam, wysoko na skale! Ale dlaczego? Jakim sposobem?

To, że Jordi wskoczył na blok skalny, miało bardzo proste wytłumaczenie. Otóż Wamba w swojej postaci upiora był tak nienaturalny, tak potwornie wielki, że pojedynek z Jordim przypominał walkę Dawida z Goliatem. Jordi musiał znaleźć jakieś podwyższenie.

Wamba prychał niczym rozdrażniony byk i zbliżał się do skały.

Unni dygotała ze strachu i rozpacz. Jakaś intensywna woń, którą określała jako barbarzyńską, woń samego zła, można powiedzieć, wypełniała przestrzeń między skałami. Ten odór pochodził od bestii, która teraz znajdowała się tuż, tuż. Unni pragnęła pomóc Jordiemu, wiedziała jednak, że nic zrobić nie może.

Wszystkie ruchy potwora były powolne i takie ociężałe, jakby upiór wciąż przedzierał się przez warstwy ziemi przyciskającej jego grób, gdziekolwiek on się znajduje.

Na pociechę miała tylko jedno: świadomość, że rycerze są gdzieś w pobliżu.

Po chwili znowu ogarnęła ją rozpacz. A ja nie zdążyłam powiedzieć Jordiemu, że udało mi się usunąć trzech przeklętych drani. Jaka szkoda, teraz on się już pewnie o tym nie dowie!

Jordi, Jordi, łkała bezgłośnie. Ja cię przecież kocham, czy ty tego nie rozumiesz? Nie możesz mnie opuścić! Czy nie wiesz, że wtedy ja też umrę?

Leon i jego ludzie kierowali się w stronę, skąd dochodziły głosy.

Niezbyt przyjemne głosy, trzeba powiedzieć. Pominąwszy już ów głuchy łoskot i drżenie ziemi za każdym razem, kiedy jakaś nieznana istota stawiała na niej stopę, docierały do nich przeważnie gardłowe pomruki, gniewne syczenie, a raz po raz ryk, który niósł się daleko ponad opustoszałym lasem.

Ludzie zaczęli się wahać, oglądali się za siebie. Czy to jakiś podstęp? Co się tam dzieje?

Leon jednak zachowywał optymizm, a Emma mu przytakiwała.

Alonzo był bardziej powściągliwy.

- Chyba nie tutaj mieszkał twój pradziad Emile jako dziecko? - zapytał ironicznie Emmę.

- Nie, to przecież niemożliwe - prychnęła ze złością. - Wszystko wskazuje na to, że znaleźliśmy się w jakimś zaczarowanym lesie.

Zmurszałe pnie drzew, okolica coraz bardziej dzika, a do tego te okropne ryki jak z piekielnej otchłani.

- To jest tajemnicza broń mnichów - wyjaśnił Leon dumnie, nie przypuszczając, że ci jego łysi, ponurzy przybysze z epoki średniowiecza zostali z trzynastu zredukowani do ośmiu, a i ta reszta rozplynęła się w powietrzu. - Trzeba po prostu iść - starał się ich zachęcać. - Niezależnie od tego, co, czy kto, wydaje te głosy, to jest on po naszej stronie. Nasi wrogowie stają się coraz mniejsi.

My też, myślał Alonzo z goryczą, ale przecież, skoro zamierza zdobyć Emmę, to nie może teraz tak zwyczajnie zawrócić. Emma zaś nie sprawiała wrażenia, że się w ogóle czegokolwiek obawia.

Ta kobieta budzi lęk, pomyślał. Ale jest też cudowna! I będzie moja. A wtedy ja stanę się silniejszy niż Leon. Potężniejszy!

Wyszli na niewielką polankę w pobliżu szemrzącego spokojnie strumyka, jakby stworzonego po to, by mógł się w nim przeglądać księżyc.

I nagle stali się świadkami nieprawdopodobnego dramatu.

Widzieli rozświetlony niczym błyskawica miecz, który sypał snopy iskier, kiedy

trzymający go mężczyzna wymachiwał nim to w przód, to w tył, jakby zwlekał z zadaniem ciosu. I widzieli człowieka trzymającego miecz. Emma jęknęła, Leon przystanął jak wryty i mamrotał:

- Rany boskie, to musi być ten sam, który tyle razy zastępował nam drogę. Nigdyśmy go nie widzieli, ale teraz go mamy!

Ujrzeni coś jeszcze i zapomnieli o człowieku z mieczem.

Ujrzeni mianowicie potwora, na widok którego krew krzepła w żyłach, który sprawił, że nawet Leon się zawahał.

- Co to jest? To człowiek, czy...?

Kilku jego ludziom zrobiło się niedobrze, zawrócili i uciekli. Alonzo nawet nie próbował ich zatrzymać. Stał jak skamieniały, z rozdziawioną gębą. I chociaż wierzył, że to obrzydlistwo jest po ich stronie, wszystko się w nim przewracało.

Przeklęty Leon, czy on nie mógł wymyślić czegoś bardziej rozsądnego? Musiał pozwolić, żeby mnisi wezwali to monstrum z krainy potępionych?

A właśnie, gdzie się podziewają mnisi?

Jeden z jego ludzi poczuł się lepiej i wrócił, blady jak ściana zerkał na upiora.

- Leon... Alonzo... - szeptał śmiertelnie przerażony, z rozbieganym wzrokiem. Głos miał świszczący ze wzburzenia. - Słyszałem głosy paru osób ukrywających się wśród skał. Słyszałem, jak rozmawiali ze sobą półgłosem. Ja myślę... Mnie się wydaje, że jednym z nich jest Elio! Słyszałem to imię.

Leon nie wiedział, co powiedzieć, rozdarty między dwa niebywale gwałtowne uczucia. Także on miał rozbiegane oczy.

- I nie złapałeś go? - syknął przez zęby.

- Co? Nie, tam jest okropnie ciemno w tych skałach. Na pomoc!

Teraz zbliża się ten... ten...

I podwładny Leona uciekł znowu.

Jego szef zaklął cicho. Wszystko działo się tak szybko, w takim obłąkańczym wirze, że nie miał czasu się zastanowić.

Chciał wołać do potwora, że są współnikami, że znajdują się po tej samej stronie, wyglądało jednak na to, że tamten nawet go nie zauważa, brnie po prostu dalej, wciąż wpatrzony w postać wysoko na skale.

Miecz rozbłysnął w księżycowym blasku. Przerazająca istota ryknęła, nie przejmowała się wcale owym nic nie znaczącym człowiekiem, który trzymał w dłoniach tylko zwykły miecz.

Wamba jest niepokonany, żadna stworzona przez ludzi broń się go nie ima, mnisi go o tym zapewnili.

Wyciągnął przed siebie ciężką łapę i cisnął kolejne przekleństwo na to chwiejne ludzkie źdźbło stojące przed nim akurat na odpowiedniej wysokości. Byli teraz równi sobie. Znakomicie!

Miecz świsnął w powietrzu.

Tyle tylko, że to nie był żaden zwyczajny człowiek ani żaden zwyczajny miecz.

I człowiek, i jego broń należeli do tej samej sfery, co Wamba. Do owej ogromnej, tajemniczej przestrzeni, zwanej drugim światem. I człowiek, i jego broń posiadali moc nie pochodzącą z ziemi.

Tego jednak Wamba wiedzieć nie mógł.

Jordi miał świadomość, że to jego ostatnia szansa. Jego jedyna chwila. Pierwszy atak Wamby najwyraźniej chybił, ale następstwa były zauważalne! Jordi miał wrażenie, jakby się znalazł na skraju wielkiego ognia, na tyle blisko, że trujące płomienie osmały mu skórę, paliły w piersi, nie pozwalając oddychać.

Wamba znowu wydał z siebie ryk. Potworny ryk z piekielnych otchłani, który jednak nagle umilkł, gdy jednym jedynym wściekłym cięciem Jordi odrąbał łeb monstrum od reszty ciała.

Wydawało się, że również strumyk zamilkł na moment. Jeszcze zanim straszny łeb spadł głucho na miękką trawę, przez las przetoczył się pełen zgrozy szum.

Łeb upadł, ale zaraz znowu zerwał się z ziemi i potoczył w stronę Leona oraz jego bandy. Emma i Alonzo zdążyli odskoczyć, Leon jednak został trafiony, zanim prychająca i parskająca kula przemieniła się w dym i wytrzeszczone ślepia zniknęły.

Masywne cielsko potwora zrobiło jeszcze kilka obrotów wokół własnej osi, po czym ono także, z sykiem i parskaniem, przemieniło się w chmurę dymu i rozpląnęło w powietrzu.

- Nie - wyszeptał Leon.

- Nie - powtórzyła za nim jak echo Emma. Alonzo nie powiedział nic. Klęczał na ziemi wstrząsany wymiotami. Jego ludzie uciekli dawno temu.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Biegnij, Elio - szeptał Pedro. - Uciekaj, bo to ciebie ci ludzie ścigają. Biegnij na dół, do posiadłości. Oni nie wiedzą o jej istnieniu.

Tylko żeby cię nikt nie zobaczył! Ukryj się, gdyby to było konieczne!

Ja muszę się zająć Unni i Jordim. Niedługo do ciebie dołączymy.

Elio wahał się tylko przez ułamek sekundy, po czym pędem ruszył przed siebie. Unni tymczasem już się wspięła na skałę, by spotkać Jordiego. Trzymając się za rękę, schodzili w dół, do Pedra. Potem wszyscy troje poszli dalej, zanim Leon zdążył się pozbierać, byli już daleko. On natomiast zataczał się na polance, nie mógł ustać o własnych siłach, wściekła Emma musiała go podpierać.

- Ocknij się nareszcie, do cholery! - syczała, szarpiąc go z całej siły. - Opanuj się, bo tamci nam uciekną! Fuj! Jak ty okropnie śmierdzisz! Dlaczego nie odskoczyłeś na bok?

Z całej siły kopnęła Alonza w zadek.

- Wstawaj, ty tchórze! Musimy dostać się do samochodów przed nimi!

Żelazna dziewica, myślał Alonzo ze złością, zbierając się z ziemi.

Chociaż akurat dziewica to może nie za bardzo.

Wiedział, że zachował się idiotycznie. Od tej chwili raczej nie miał szansy jej zdobyć.

A zresztą, czy naprawdę tak tego chciał?

Akurat teraz, szczerze powiedziawszy, nie miał ochoty. Później, to może i owszem, teraz jednak chciał jak najprędzej wynieść się stąd.

Leon patrzył na niego rozgorączkowany, w oczach szefa był jakiś żar, na którego widok Alonzo się skulił.

- Szybko! Musimy złapać Elia! Wracamy do ich samochodu! - rozkazywał Leon. Zdążył już odzyskać władczy ton.

- Tutaj nie możemy siedzieć - zgadzała się Emma.

- Co, do cholery, oni mają do roboty w tym lesie? - zastanawiał się Alonzo.

- Widocznie mnisi chcieli ich tutaj mieć - wyjaśnił Leon.

- Tak - znowu potwierdziła Emma. - Ja przypuszczam, że ów potwór tutaj gdzieś miał swoje miejsce.

Głosy ludzi umilkły. Księżyc odzyskał panowanie nad idyllicznym brzegiem rzeki. Nic nie wskazywało na to, że dopiero co rozegrała się tu niezwykła, straszliwa walka.

Unni i jej przyjaciele musieli pokonywać bardzo stromy kawałek drogi, najwyraźniej

trochę zablądzi. Nie na tyle jednak, by sobie nie poradzić.

Jordi nie miał już miecza. Został mu on wyjęty z rąk i po prostu rozpląnął się w powietrzu, kiedy wypełnił zadanie. Teraz Jordi wyglądał na bardzo zmęczonego, był wykończony.

- Usłyszałem, jak mówią, że muszą się spieszyć z powrotem do samochodów - powiedział Pedro.

- To znaczy, że nie odkryli posiadłości? - zdziwił się Jordi.

- Nie sądzę. Stamtąd nie można jej dojrzeć, a noc była bardzo ciemna, kiedy się pojawili. Źle zrozumieli nasze zamiary.

- Ale to może oznaczać, że czekają przy samochodzie - przestraszyła się Unni, gdy Jordi pomagał jej zejść ze stromego skalnego występu.

- Istnieje takie niebezpieczeństwo - przyznał Pedro. - Musimy być ostrożni i jak najszybciej zejść na dół, to oni się nie zorientują, że popełnili błąd, i nie będą niczego szukać.

Unni martwiła się o Jordiego. Był jakiś nieswój. Walka z takim trollem nigdy człowiekowi na zdrowie nie wychodzi.

Z bliska ruiny wyglądały strasznie. Resztki zawalonego dachu wisiały groźnie nad głowami wędrowców, gdy próbowali wejść do środka, a wszędzie tam, gdzie nie docierała niebieskawa poświata księżycowej nocy, kryły się głębokie cienie.

Posiadłość najwyraźniej opierała się rabusiom, pod zapadniętymi sufitami bowiem zachowały się jeszcze niektóre meble. Żadnych wartościowych rzeczy pewnie za wiele nie było, ale Elio po długich i skomplikowanych obliczeniach zdołał ustalić, gdzie mogła się znajdować sypialnia jego ojca, Enrica, oraz brata ojca, Santiago.

Pedro zgadzał się z jego wnioskami. Przed jednym z domów wciąż znajdowały się resztki żywopłotu, teraz całkiem zdziczałego. Za nim właśnie, patrząc z okna sypialni, Santiago i jego ojciec, Felipe, pradziadek Elia, musieli zakopać tę jakąś tajemniczą rzecz.

- Zostań tutaj wewnątrz, Unni - polecił Pedro. - My wyjdziemy, a ty wczujesz się w rolę Enrica i pokażesz nam, gdzie oni mogli kopać.

Unni bardzo się nie podobała myśl, że musi zostać sama w tych upiornych ruinach.

- Może oni w jakiś sposób oznakowali miejsce? - zaczęła nieśmiało.

Bez skutku. Jordi znajdował się już na dworze, do niego więc nie mogła się odwołać, pozostali zaś byli zbyt przejęci, by zwracać uwagę na jej strach.

Wszyscy mężczyźni wyszli do ogrodu. Unni napinała mięśnie, by nie dopuszczać do siebie lęku, który oddzielał ją od świata niczym ściana wzniesiona przez najrozmaitsze upiory i wszelkie odmiany zła. Nie wspominając już o suficie, który jakby się na nią czaił, celując w

jej głowę połamanymi kikutami desek, kiwających się teraz złowieszczo po tym, jak Elio miał nieszczęście potknąć się na progu i zatrząść całym tym paskudztwem.

- Stop! - zawołała przez pozbawiony futryn otwór okienny. - Dalej już nie idźcie! Enrico już by niczego nie zobaczył ze swojego łóżka.

- Czy jednak on nie stał przy oknie? - zapytał Jordi, a jego głos brzmiał jakoś dziwnie w tę ponurą noc.

Dobry Boże, co ja tu robię? myślała Unni przerażona. Niecały tydzień temu wybieraliśmy się do Vestlandet, by odwiedzić babcię Mortena, a teraz znajduję się w jakiejś pełnej duchów posiadłości na pustkowiach Nawarry. I nawet nie mam odwagi wspominać tego, co przeżyłam w tak zwanym międzyczasie.

Mężczyźni na dworze dyskutowali o czymś cicho. Widocznie pozycja obserwacyjna Enrica stanowiła problem. Unni obejrzała się niechętnie za siebie. Zachowały się wyraźne ślady na podłodze, najprawdopodobniej stały tam kiedyś łóżka, dlatego zresztą uznali, że tutaj musiała się znajdować sypialnia chłopców. Ale przecież mogła też być gdzie indziej, w innej części domu. Kto potrafiłby z całą pewnością stwierdzić coś takiego w tych ruinach?

Mężczyźni jednak podjęli decyzję.

- To musi być tutaj - rzekł Pedro stanowczo. Zdążyli już tymczasem znaleźć w zachowanej na końcu ogrodu szopie kilka szpadli i łom. Trzonki szpadli były, niestety, zmurszałe, musieli się zadowolić łomem. Znaleźli też wprawdzie motykę, ta jednak trzonka w ogóle nie miała.

Mężczyźni pracowali na zmiany. Unni zapytała niepewnie:

- Może mogłabym już wyjść?

Zawstydzeni, że w swoim zapale dotarcia do celu całkiem o niej zapomnieli, prosili, by przyszła do nich natychmiast.

- Natrafiliście na jakieś ślady?

- Nie, ale nie ustajemy w wysiłkach.

W ich zachowaniu jednak dostrzegła pewne rozczarowanie.

Skarbu Santiago nie było tam, gdzie przypuszczali. A kiedy spoglądali za siebie, na długi żywopłot, wyglądało na to, że wkrótce opuści ich odwaga.

- Nie, tak daleko nie mogli go zakopać - oznajmiła stanowczo. - Czy jednak nie powinniśmy założyć, że żywopłot trochę się zmienił?

Czy nie wydaje się wam, że miejsce, którego szukamy, znajduje się w środku tego dzikiego gąszczu, który niegdyś był wąskim, starannie przystrzyżonym pasmem krzewów?

Panowie spoglądali po sobie.

- Tak tylko myślę - dodała niepewnie, gdy oni wciąż milczeli. - Może powinno się ustalić, jak mógł być położony pierwotny żywopłot?

- Nie wiedziałem, że jest wśród nas geniusz - rzekł Pedro. - Albo może to my jesteśmy niepospolicie głupi.

Ogarnął ich nowy zapach. Pospołu obliczali, gdzie też skarb mógłby się znajdować, a kiedy nareszcie po dokładnych pomiarach uderzyli w ostry kamień, sterczący z ziemi w nienaturalnym dla takiego kamienia miejscu, wszyscy musieli powstrzymać okrzyk radości.

Trzeba było wyciąć mnóstwo krzaków, żywopłot bowiem rozrósł się bardzo w ciągu ostatniego stulecia.

- „A żywopłot rósł szeroko” - zaśpiewała Unni cicho i Jordi się roześmiał.

Pedro też się uśmiechał, choć, jako Hiszpan, nie bardzo wiedział, o co chodzi. Cała przygoda była niezwykle podniecająca dla starego biurokraty.

Podrapani, z pęcherzami na dłoniach stali i z podziwem patrzyli na odsłonięty kawałek ziemi. Uważali, że dopisało im szczęście.

- Jeśli oni nie zakopali tego jakiegoś skarbu tutaj właśnie, to nigdy go nie znajdziemy - oznajmił Pedro zdecydowanie, a wszyscy się z nim zgodzili.

- Ktoś przecież mógł też wykopać skarb - powiedział Jordi głośno.

- Oby Bóg nam tego oszczędził - westchnął Elio.

Łom znowu świstał w powietrzu. No i w końcu padło zdanie, jakie wypowiedane jest przez wszystkich poszukiwaczy skarbów:

- Tutaj jest coś twardego!

Po chwili wspólnymi siłami wyjmowali z ziemi podłużną skrzynkę.

Przydałoby się światło, ale nie odważyli się go zapalić. Być może gdzieś niedaleko znajduje się Leon & Co, wypatrując znaku ze szczytów wzgórz.

Unni nieustannie, ukradkiem, spoglądała na te wzgórza, skąd oni sami dopiero co przybyli. Była szczerze wdzięczna losowi, że znajduje się przy niej trzech rośliwych, silnych mężczyzn. Miejsce bowiem robiło wrażenie w najwyższym stopniu ponure. Mroczny las zajął każdą piędź ziemi, którą minione pokolenia z taką troskliwością uprawiały. Drzewa rosły nawet pośrodku ruin, co w tę księżycową noc wyglądało wyjątkowo upiornie.

Blisko Jordiego też nie mogła być. Gdy tylko znaleźli się kawałek od siebie, natychmiast pojawiał się ten przeklęty chłód. Należeli jednak do tego samego zespołu, powinna być wdzięczna choćby i za to.

Unni ponownie skupiła uwagę na skrzynce.

- Dziwne, że i ona nie zbutwiała - zastanawiała się.

- Inny materiał - mruknął Pedro.

Podnieśli skrzynkę z ziemi, nie bardzo jednak wiedzieli, czy otworzyć ją na miejscu, czy lepiej od razu przenieść do samochodu.

Skrzynia była starannie zamknięta, musieliby więc wyłamywać zamek, a wciąż panowała ciemność, choć na wschodzie pojawił się już wąski pas światła, jakby na pociechę w tym ponurym, wymarłym świecie.

Rozsądek podpowiadał im, że najlepiej jest zabrać znalezisko i wynosić się, na oględziny przyjdzie czas później. Tylko kto się przejmuje rozsądkiem, kiedy człowiek aż płonie chęcią rozwiązania zagadki?

Pedro powiedział głośno to, co wszyscy myśleli:

- Byłoby czymś okropnym i niewybaczalnym, gdyby Leon i jego zbójce odebrali nam szkatułę, zanim się dowiemy, co zawiera.

Były to rozstrzygające słowa.

Elio podłożył węższy koniec łomu pod zamek i nacisnął. Zamek z metalicznym zgrzytem ustąpił i wieko się otworzyło.

- Ołowiana szkatuła - stwierdził Pedro. - Nic dziwnego, że zachowała kształt. To bardzo dobrze, dzięki temu również zawartość mogła przetrwać w niezłym stanie, może nawet nietknięta? Mimo to bardzo was proszę o ostrożność. Liczące sobie sto lat przedmioty łatwo mogą się rozpaść na kawałki.

- Ten przedmiot ma znacznie więcej niż sto lat - oznajmił Jordi bezbarwnym głosem, ujmując i unosząc w górę wąski, elegancki miecz, prawie nie zaśniedziały.

- Klinga z tolekańskiej stali? - spytał Elio cicho.

- Przypuszczalnie tak, ale aż tak dokładnie to nie wiem - odparł Jordi.

- Piętnasty, szesnasty wiek - wyjaśnił Pedro. - Tak jest, świetnie zachowany.

- I nie koniec na tym - mówił dalej Jordi tym samym, pozbawionym barwy głosem. - To jest dokładnie ten sam miecz, którym ściałem... którym posłużyłem się... tutaj, w lesie.

- Skąd to wiesz? - wykrzyknął Elio.

- Widzisz tę długą rysę na ostrzu? To ten sam.

- Ale to niemożliwe! Ten leżał przecież zakopany! Pedro nad czymś się zastanawiał. W starej posiadłości było bardzo cicho, tak cicho, że mogli słyszeć szum wiatru w dalekim lesie. Do nich jednak wiatr nie docierał. Nirwana? Unni zadrzała.

- Oczywiście, że to może być ten sam miecz - rzekł Pedro w zamyśleniu. - Z całą pewnością należał on do przodka Jordiego, don Ramiro. A to jego duch podał Jordiemu miecz

dzisiejszej nocy. Upiór i jego upiorny miecz, rozumiesz teraz, Elio?

- Tak, no być może - przyznał Elio niepewnie. - Ale ten tutaj jest prawdziwy?

- Ten jest. Nie zniknie Jordiemu między palcami jak tamten dziś w nocy. Ale to niewątpliwie ten sam miecz.

- Tak - Elio z powagą skinął głową. - Don Ramiro pojawił się dziś w nocy jako rycerz w zbroi z czasów, kiedy on żył na ziemi. Być może przybył do nas z jakiegoś pola bitewnego. I wtedy dzierżył jeszcze w dłoniach swój miecz.

- Otóż to! - zawołał Pedro zadowolony.

- Ale tutaj jest coś jeszcze - poinformowała Unni. Znowu wszyscy pochyłili się nad skrzynką. Na dnie leżał rulon zawinięty w gruby jedwab. Pedro ujął go ostrożnie i oglądał z jednego końca.

- To papiery - oznajmił uroczyście. - Mnóstwo zwiniętych papierów. Mogą się okazać niezwykle ważne. Nie powinniśmy ich dotykać, mogą być bardzo zniszczone, a poza tym jest za ciemno.

Ale co mamy tutaj?

- Nie ruszaj tego! - krzyknęła Unni bez tchu.

Mężczyźni spojrzeli na nią zdumieni, a ona, zakłopotana, nie wiedziała, co powiedzieć.

To, co Pedro zamierzał podnieść, było niewielką szkatułką z umieszczonym na denku znakiem rycerzy. Znak otaczało mnóstwo świętych obrazków, tak się przynajmniej wydawało, trudno jednak było zrozumieć, co przedstawiają.

- Czy to jedno z twoich przecuć? - zapytał Pedro cicho.

- Tak przypuszczam - odparła zgnębiona. - Naprawdę nie wiem, skąd mi się to wzięło.

- Powinniśmy szanować twoje przecucia - rzekł Pedro z najwyższą powagą. - Zabierajmy się stąd. Musimy ocenić i przeczytać papiery w jakimś spokojniejszym miejscu.

Jordi odłożył miecz na miejsce. Skrzynka była taka ciężka, że musieli ją dźwigać obaj z Eliem.

Unni czuła się źle, z niepokojem spoglądała na zbocze wzgórza poza posiadłością.

- Znowu będziemy musieli wchodzić na górę?

- Nie - odparł Pedro. - Stąd możemy zejść drogą, którą zgubiliśmy dziś w nocy. Patrz, ona wiedzie tamtędy, najwyraźniej u podnóża wzniesienia.

Mogli więc w końcu opuścić to smutne, przygnębiające miejsce.

Myśleli o tym, że Elio i Jordi, a także Antonio i Morten są prawowitymi dziedzicami tak zwanego skarbu Santiago.

Czy ścigający ich dranie ten właśnie skarb pragną zdobyć?

Unni szła na końcu, zakłopotana, pogrążona w niewesołych rozmyślaniach. Niczego nie rozumiała.

W ciągu ostatniej godziny Jordi prawie na nią nie patrzył i ani razu się do niej nie odezwał.

Co się stało? Czy piękna i taka krucha przyjaźń się skończyła?

Niezwykła i tragiczna historia miłosna dobiegła końca? Oczywiście, Jordi musiał być straszliwie zmęczony po walce z Wambą i wszystkich zmaganiach, ale przecież z Pedrem i Eliem rozmawiał.

Tylko z nią nie.

Jaki błąd popełniła? Może była zbyt natrętna ze swoim nieukrywanym uwielbieniem? Czy chciał jej dać do zrozumienia, żeby trzymała się z daleka?

Unni doświadczała tego, co musi przeżywać bardzo wiele kobiet, mężczyzn zresztą też, zasadnie lub nie: zwątpienie w miłość ukochanej osoby. Dla niej było to wyjątkowo trudne, przez wiele miesięcy przecież zmagiała się z nadwątłym wizerunkiem samej siebie, bardzo niską samooceną. Teraz znowu wszystko wróciło, było jeszcze bardziej dokuczliwe po cudownym oszołomieniu przygodami ostatniego tygodnia. Wszystkie niepowodzenia i przeszkody w związku z pracą, frustracja, że jest najmniej pociągającą dziewczyną w koleżeńskej grupie, złośliwości Mortena na temat jej pospolitego wyglądu i wszystkie kompleksy, które próbowała ukrywać pod ciętymi replikami...

Znowu zaczęła rozmyślać o swoim układzie z Jordim. Ile właściwie w tym wszystkim było jej pobożnych życzeń, a ile rzeczywistości?

Popychana skłonnością wszystkich ludzi, których opuściła odwaga, zaczęła dokonywać bilansu:

Czy on kiedykolwiek powiedział, że ją kocha? Nie. A czy ją kiedyś pocałował? Nie. A jego pełne uczucia spojrzenia? Czyż nie dokładnie takie same posyłał swemu młodszemu bratu? Owszem, tak. Jego opieka i troskliwość? Czyż nie okazuje tego samego wszystkim?

Oczywiście! Więc chyba ona tylko wyobrażała sobie, że do niej odnosi się jakoś szczególnie. Czyż to nie ona wymuszała na nim takie odpowiedzi, jakich pragnęła? Czyż to nie ona prosiła i zebrała u rycerzy, by Jordi chociaż na jakiś czas pozbył się swego lodowego pancerza i mógł z nią spędzić parę chwil? Co wtedy powiedział Jordi? Był zszokowany i przestraszony. A kiedy już rycerze obiecali jej te pół godziny, to kto był bardziej szczęśliwy? Ona, oczywiście.

Wszelkie możliwe kompleksy niższości niczym kamienie spadły na barki Unni,

przygniatały jej pierś tak, że pochylała się niemal do ziemi, wlokąc się za swoimi towarzyszami.

Jak on musi ją traktować? W najgorszym razie jak natręta, jest dla niego niczym czepiający się kleszcz. W najlepszym razie widzi w niej młodszą siostrę.

Tak, niestety! Traktuje ją jak młodszą siostrę, którą należy ochraniać, opiekować się nią troskliwie. Jak siostrę, którą bardzo kocha - w to przynajmniej Unni pozwalała sobie wierzyć - poza tym jednak trzyma ją na odległość wyciągniętego ramienia.

No a teraz coś się stało, Unni nie wiedziała, co. Pewnie okazywała mu swoje oddanie zbyt wyraźnie, nie mógł tego znieść, więc chciał ją ostrzec:

„Noli - me - tangere. Nie dotykaj mnie! Nie zbliżaj się! I nie tylko mój chłód powinien trzymać cię z daleka, lecz także to, że straciłem cierpliwość. Nie jestem zainteresowany, źle mnie zrozumiałaś”.

Dokładnie to teraz z niego emanowało. Czuli się jak najbardziej samotna osoba na świecie.

Nic już jej nie cieszyło. Głowę niosła spuszczoną niczym zwiędły kwiat, z żalu i rozpaczki bolało ją serce.

Ze wszystkich przeciwności, wszystkich szoków i straszliwych przeżyć, na jakie była narażona od czasu, kiedy rycerze wkroczyli w jej życie, to było najgorsze.

Życie bez czułego oddania Jordiego? Jak ona coś takiego znieś?

ROZDZIAŁ TRZECI

Zmęczeni przedzieraniem się po niemal nieistniejącej drodze, rozpromienili się na widok samochodu.

Poranne zorze zaczynały już różowić wschodnią stronę nieba, zbliżał się blady, chłodny świt. Ale półmrok nadal panował nad tym zapomnianym lasem, który porastał też większą część drogi tak, że wszyscy mieli podrapane ręce i twarze przez krzewy i zwisające gałęzie.

Skrzynia była bardzo ciężka, dźwigający zmieniali się co chwila, porządnie dała się wszystkim we znaki.

Unni, niczym wędrowiec na pustyni, który zobaczył oazę, wyciągała dramatycznie ręce w stronę samochodu, wołając: - Wody! Wody!

I nagle wybuchnęła śmiechem:

- W domu mojej babci była stara gramofonowa płyta, na której Fiodor Szalapin śpiewał arie z Borysa Godunowa. Jedna z nich miała tytuł „Pożegnanie i śmierć Borysa”, umierający car słabnącym głosem mówi: „Boga, tam widzę Boga!” Bo ukazał mu się duch młodego krewnego, Dymitra, którego Borys zamordował, by zagarnąć dla siebie całą władzę. Płyta jednak była taka zniszczona, że bardzo długo myślałam, iż Borys jęczy. „Woda, tam płynie woda!” O Boże, nigdy nie przypuszczałam, że się aż tak ucieszę na widok zwyczajnego samochodu! Po prostu go kocham!

Śmiała się nerwowo, unikała patrzenia na Jordiego. Pedro przystanął.

- Widzę w tym błocie świeże ślady opon. Kilka samochodów tutaj zawracało. Co najmniej dwa, a może i więcej.

- Leon i jego ludzie - stwierdził Elio. - To znaczy, że pojechali sobie. Bardzo dobrze.

On i Pedro starali się umieścić skrzynię na tylnym siedzeniu, Jordi jednak, jakby na coś czekał. Stał i nasłuchiwał.

- Nie podoba mi się to - rzekł cicho. - Dlaczego oni sobie po prostu pojechali? I dlaczego na przykład nie spuścili nam powietrza z kół lub w inny sposób nie uszkodzili samochodu?

- Nie, no masz rację! - zawołał Pedro. - To niepodobne do Leona, żeby się zachowywać aż tak grzecznie.

Jordi zaglądał pod samochód, dokładnie badał jego wnętrze, ale żadnych szkód nie znalazł.

- Samochód był zamknięty, nawet go nie tknęli...

- A sądząc po śladach, musiało im się bardzo spieszyć, kiedy stąd odjeżdżali - powiedział Elio. - Patrzcie, jak się zaryli w błocie.

- Tak - zgodził się Pedro. - Ale my też mamy problemy.

Samochód ugrzązł w tym gnoju, trzeba będzie podłożyć coś pod koła, w przeciwnym razie nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Zaczęli więc zbierać w lesie gałęzie, mężczyźni podkładali je pod koła i...

- A gdzie Unni? - zaniepokoił się Jordi, który już usiadł za kierownicą, by sprawdzić, czy mogą ruszać.

Rozglądali się wokół.

- Dopiero co tu była - mówił Pedro. - Poszła tylko jeszcze po parę gałązek.

Czekali przez chwilę. Coraz bardziej niespokojnie spoglądali po sobie.

- Unni? - zawołał Jordi.

Las stał w milczeniu, wkrótce jednak usłyszeli stłumione wołanie o pomoc. Jakby poprzez knebel albo coś takiego.

Jordi ze świstem wciągał powietrze.

- Dajcie mi miecz! - zażądał.

- Ale...

- Poradzę sobie z tym. A wy dwaj odjedźcie tak, żeby skrzynia Santiago znalazła się w bezpieczniejszym miejscu. Potem wróćcie po nas!

- Jesteś wielkim optymistą - rzekł Pedro półgłosem. Jordi stał już z mieczem w dłoni. Twarz miał tak napiętą, że wszystkie linie i zmarszczki były wyraźnie widoczne.

- Trzeba być optymistą. Tylko wracając, nie podjeżdżajcie zbyt blisko, za trudny teren. Przy głównej drodze widziałem szopę na narzędzia dróżnicze, tam na nas czekajcie!

I zniknął między pniami drzew. W tym samym momencie słońce weszło i zalało samotny las bajecznym blaskiem.

Leon głośno przeklinał ludzi Alonza, którzy zwiali, zabierając obydwie samochody. Teraz Leon, Emma i Alonzo stali na skalnym występie, spory kawałek od miejsca, z którego tamci uciekli, i spoglądali z góry na jedyny samochód, jaki został, samochód przeciwników.

- Musimy go zdobyć.

- Był przecież zamknięty - wtrącił Alonzo. - Oglądaliśmy go dokładnie.

- Wiem o tym - warknął Leon. - Ale to głupstwo. Zastanawiam się natomiast, gdzie się, do cholery, podziała ta banda. Panna Unni i cała reszta. Będziemy czekać, aż wrócą, czy...?

- Ciii - syknęła Emma. - Coś mi się zdaje, że długo czekać nie musimy.

Nasłuchiwali. Dochodziły do nich przytłumione, ale coraz wyraźniejsze głosy. Wkrótce cztery osoby ukazały się na „drodze”.

Obserwatorzy słyszeli opowieść Unni o Borysie Godunowie.

- Ona zawsze musi być taka interesująca? - warknęła Emma ze złością.

- Patrzcie lepiej, kto to idzie - upomniał Leon. - To ten dzikus, co ściął głowę potworowi mnichów. O, i ten przekłety Pedro! Myślicie, że nie znam tego ważniaka? A trzeci to musi być Elio! I on powinien wpaść w nasze szpony.

- Co oni taszczą? - dziwił się Alonzo. - To jakaś skrzynia?

- Co? Chyba nie znaleźli skarbu?

- Nie wygląda mi to na skarb - uspokoiła go Emma. - Skrzynia utyłana w ziemi.

- Nieważne, co to jest - oznajmił Leon szorstko. - Zabieramy wszystko. Wszystko będzie nasze, Elio, skrzynia, ich samochód.

Chodźcie!

Zaczęli się przedzierać przez leśne zarośla.

- Ale ich jest więcej - zauważył Alonzo niespokojnie.

- Phi, też mi przeciwnicy! - prychnął Leon. - Pedro stoi jedną nogą w grobie, dobrze o tym wiem, a dziewczyna się nie liczy. Elio wygląda na dobrze podstarzałego. Teren jest trudny, nierówny, błoto...

- Zaczekajcie - szepnęła Emma, kiedy znowu odsłonił się przed nimi widok. - Unni się oddaliła, idzie w naszą stronę.

- Wspaniale! - ucieszył się Leon. - Będziemy mogli ją wymienić na Elia i skrzynię.

Ostrożnie skradali się naprzód. Unni pochyliła się, żeby podnieść jakieś suche gałęzie, i niczego nie zauważyła, dopóki dłoń Leona nie zatkała jej ust.

- Trzymaj pysk, bo jak nie, to wbiję w ciebie nóż!

Przeżaszony wzrok Unni napotkał triumfalne spojrzenie Emmy.

- Co macie w tej skrzyni? - syknął Leon.

Unni nie odpowiedziała. Zresztą jak miała to zrobić z tą cuchnącą dymem tytoniowym łapą na ustach? Sam odór wystarczył, żeby wywołać mdłości.

Emma dźgała ją patykiem w brzuch.

- Teraz już nie jesteś taka wyniosła, co? - chichotała. - I nie próbuj się stawiać. Wszystkie siły są po naszej stronie.

Ktoś zawołał Unni po imieniu i dziewczyna automatycznie odpowiedziała. Wyszło to niezbyt wyraźnie, głos miała zdławiony, ale Leon się wściekł. Ze złością syczał jej do ucha:

- Jeśli oni chcą cię jeszcze zobaczyć, to muszą nam oddać skrzynię i Elia. Takie są moje warunki, to właśnie oni usłyszą, kiedy... - pospiesznie zamknął gębę, dotarł bowiem do niego nieoczekiwany dźwięk.

- Samochód startuje - jęknął Alonzo. - Oni wieją! No to nie będziemy mieli czym stąd wyjechać! Przeklęty las, nie chcę się tu dłużej błąkać!

- Nie wrzeszcz! A ty, śliczna panienko, słyszałaś? Zostawili cię! I ty się zadajesz z takimi podłymi tchórzami?

Leon wydał z siebie jęk i zamilkł. Tuż przed nimi stała tamta straszna figura, ten, który się nigdy nie pokazywał, aż do dzisiejszej nocy, to znaczy dopóty, dopóki nie ściał łąba czarownikowi Wambie.

I teraz też trzymał w rękach ten sam miecz. Śmiertelny strach przeniknął Leona. Ten miecz...?

Nieznajomy trzymał broń przed sobą, z ostrzem skierowanym ku górze, obie dłonie zaciskał na rękojeści. Wyciągnął ramiona niczym samuraj gotowy do walki. Przywodził na myśl fantom z ohydnej krainy umarłych.

Emma schowała się za plecami Leona. W ostatniej chwili zdążyła złapać Alonza, który szykował się do ucieczki.

- Co teraz zrobimy? - szepnęła Leonowi do ucha. - Bo z tym tutaj wolalabym nie mieć do czynienia.

Leon znalazł na to radę.

- Postanowiłem wezwać moich przyjaciół mnichów. Naprawdę mogą nam trochę pomóc. Nie musimy sami bić się z wszelkim możliwym paskudstwem!

Powiedział to bez zastanowienia, jakby zapomniał, że mnisi są takim samym paskudstwem, jak każde inne zło.

- Tak zrób - popierała go Emma ze złością. - Myślę, że wtedy ta młoda dama narobi w majtki.

- Wypuście Unni! - zażądało przerażające stworzenie przed nimi.

Leon rozumiał, że czas nagli. Z tym zbrojnym w miecz wojownikiem nie ma żartów. Zdawało mu się, że go rozpoznaje...

Nakazał, żeby Alonzo zajął się pilnowaniem Unni, sam natomiast zaczął wzywać mnichów.

- Powtarzam ostatni raz: Wypuście Unni! - Obcy mówił gniewnie, a jego słowa brzmiały złowieszczo.

- Poczekaj, poczekaj! - wołał Leon gorączkowo. Szeroko rozpostarł ramiona.

Jordi, rozumiejący ów starodawny hiszpański, którym Leon teraz przemawiał, słuchał zdumiony:

- O, duchowi bracia moich przodków! Brońcie mnie, waszego pokornego sługę, który dla was gotów jest zrobić wszystko!

Pomóżcie nam w walce z tym dzikusiem znikąd! Poraźcie go waszą śmiercionośną siłą...

I nagle prawda dotarła do Jordiego: Leon jest potomkiem tego z mnichów, który spłodził dzieci! Trzynastego mnicha, unicestwionego potem przez Urracę. Nic dziwnego, że Leon ma powiązania z tymi świńskimi służkami inkwizycji! Mnisi nie mieli imponująco wiele potomstwa, jak widać jednak istnieje ogniwo łączące ich ze współczesnością. Na dodatek to drań taki sam jak oni, dokładnie taki, jakiego potrzebują.

Jordi czekał. Nie chciał narażać życia Unni na niebezpieczeństwo.

Chciał zobaczyć, co się stanie.

Leonowi lodowaty pot spływał z czoła. Dlaczego mnisi nie przybywają? Z trudem panował nad chęcią, żeby wypuścić tę smarkulę Unni i po prostu uciekać gdzie pieprz rośnie. Bo ten okropny upiór, czy co to do diabła jest, ten jego miecz... Nie, Leon za nic nie będzie z nim walczył!

No! Nareszcie są mnisi! Leon odetchnął. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo był spięty. Tamci, niczym sekundanci podczas pojedynku, stali wyprostowani z boku. Znakomicie!

Nagle drgnął.

- Ale... jest was tak niewielu - wyjąkał.

- Czego chcesz? - bezceremonialnie przerwał mu jeden z mnichów.

Leon ze zgrozą stwierdził, że wciąż się jąka, mówił jednak dalej:

- Miecz! Nie zdołamy się przeciwstawić temu mieczowi. On jest zaczarowany, pamiętajcie, że wyprawił na tamten świat Wambę!

Panowie moi i mistrzowie, zabijcie to monstrum, trzymające miecz!

I zmuszcie dziewczynę, by wyznała prawdę!

Zacięte twarze mnichów najpierw zwróciły się ku nieznanemu.

Niezauważalnie zrobili wszyscy krok w tył, być może pamiętali zamię na pewnym ramieniu w jednym z kościołów w Santiago de Compostela. Potem, niczym roboty, zwrócili twarze w stronę Unni.

Cienki, przenikliwy głos przeciął powietrze. Mnisi poderwali się z ziemi jak czarne gawrony, a jeden z nich pisał:

- Masz odwagę stawiać nas przeciwko niej? Przeciwko im obojgu?
Niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, nie pojmujesz tego?

Niebo było znowu czyste, czarne śmieci zniknęły. Przynajmniej tym razem.

Leon stał z rozdziawioną gębą. Jordi, który przez cały ten czas nawet nie drgnął, opuścił miecz i postąpił parę kroków naprzód.

W ten sposób granica została przekroczona. Alonzo już dawno znajdował się daleko stąd, Emma biegła za nim, jakby jej diabeł deptał po piętach, a Leon odepchnął od siebie Unni i pognął za swoimi zmykającymi kompanami.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Najwyraźniej jego celem było, żeby Unni nadziała się na wyciągnięty miecz, ale Jordi zdołał temu zapobiec, rzecz jasna.

Rzucił miecz i chwycił Unni w ramiona.

Stali tak, drżąc, przez kilka sekund, lodowate zimno rozprzestrzeniało się w ciele Unni, ale ona nie zwracała na to uwagi.

- Dziękuję ci - szlochała, bo właśnie teraz przyszła reakcja. - Dziękuję ci za uratowanie mi życia! Myślałam, że jesteś na mnie zły.

- Dlaczego miałbym być zły?

- Ech, tak mi się zdawało, ale to nic.

- Nie, powiedz!

- T - ty nie roz - rozmawiałeś z - ze mną, nie p - patrzyłeś na mnie przez wiele godzin.

Jordi zorientował się, że zaraz znowu ją zamrozi.

- Wybacz mi! Chodź, czekają na nas!

- Przecież oni odjechali...

- Niedaleko. Czekają na nas przy drodze. Najpierw trzeba było przewieźć skrzynkę w bezpieczne miejsce.

- Och, tak, to bardzo rozsądne.

Jordi podniósł miecz i ruszyli szybkim krokiem. Zręcznie unikał jej pytań, sam zadając własne:

- Co ten mnich miał na myśli, mówiąc, że jesteś dla nich niebezpieczna?

Unni dumnie wypięła pierś.

- Dzisiaj w nocy unieszkodliwiłam trzech z nich.

Tym znakiem. Wiedziałam, że to ważne, że muszę znak narysować.

- Tak, pamiętam, że rysowałaś coś w samochodzie. Ale że zdołałaś... i to trzech? No to rzeczywiście zostało ich niewielu. I zniknęli tak nagle. Nie rozumiem, dlaczego. Musiałaś jednak chyba wypowiedzieć też słowa wypisane na tarczy, w przeciwnym razie znak by nie zadziałał.

Unni zastanawiała się.

- AMOR ILIMITADO SOLAMENTE? Chyba nie. Nie powiedziałam tego. Chociaż, niech się zastanowię. Wiesz, ja często o tych słowach myślę, próbuję znaleźć dla nich wyjaśnienie, ale... Ależ tak, jak to było dziś w nocy? Byłam taka podniecona, że nie

wiedziałam, co robię. Jordi, myślę, że naprawdę wypowiedziałam te słowa!

Podświadomie. Tak, powiedziałam! Jakaś inteligentna komórka w moim mózgu musiała je automatycznie wywołać z pamięci. Dziękuję ci, moja szara komóreczko!

Jordi się uśmiechnął.

- Zachowałeś się fantastycznie, Unni! Ale też to było bardzo niebezpieczne. Szaleńcza, głupia odwaga. Nie wolno ci więcej nic takiego robić!

Unni odzyskała odrobinę wiary w siebie. On jednak nie odpowiedział na pytanie.

Milczała, dopóki nie zauważył, że Unni czegoś chce.

- To prawda, wybacz mi, pytałaś mnie... dlaczego byłem taki milczący - powiedział wtedy pospiesznie. - Moje zachowanie miało swoje przyczyny.

Unni czekała. I, prawdę powiedziawszy, miała serce w gardle ze strachu, co jej powie.

- Nie zastanawiałem się nad tym, jak to przyjmiesz - zaczął ze smutkiem w głosie. Temu właśnie brzmieniu jego głosu, zawartemu w nim ciepłu, dała się oczarować już wielokrotnie. Zawsze wierzyła, że jest ono przeznaczone wyłącznie dla niej. W rzeczywistości Jordi był altruistą, przyjacielem ludzi. I roztaczał opiekę nad wszystkimi, którzy potrzebowali jego pomocy. Teraz mówił dalej: - Widzisz, musiałem się zastanowić nad kilkoma ważnymi sprawami. Jedna to szkoda, jaką mi wyrządził Wamba, rzucając na mnie przekleństwo.

Druga, to mój stosunek do ciebie...

Uff, teraz się zacznij! Unni skuliła się jakby w obronie przed słowami, które zaraz padną. Spoglądała na niego spod oka, a ciepło walczyło z ogarniającym jej ciało zimnem. Pomagało jej słońce, poza tym szli szybko, bo dobrze wiedzieli, że Leon & Co. znajdują się w lesie. Leon & ku, myślała ze złością, a chodziło jej o Emmę.

Co prawda tamci pobiegli w niewłaściwym kierunku, ale prędzej czy później się zorientują i wrócą tutaj.

Ona i Jordi znajdowali się już na paskudnej leśnej drodze i zmierzali ku głównej szosie, gdzie miała być szopa na narzędzia.

Unni śmiertelnie się bała tego, co Jordi ma jej do powiedzenia.

Wolała dowiadywać się nieprzyjemnych rzeczy po kolei.

- Szkoda, powiedziałaś?

- Unni, snop ognia, którym zionął Wamba, uderzył we mnie z wielką siłą. Wprawdzie nie trafił mnie frontalnie, jeśli tak można powiedzieć, ale jednak mnie objął. Nie jest ze mną dobrze.

- Pod jakim względem? - chwyciła go za ramię.

- Nie umiem powiedzieć. Niełatwo mi się w tym rozeznąć. Mam oparzoną skórę, ale to drobiazg, gorzej, że wciągnąłem chyba ogień do płuc. Teraz trudno mi oddychać, tracę siły. Ale naprawdę nie wiem...

Unni była bliska paniki.

- Nic ci się nie może stać - pisnęła cichutko. - Powinieneś być coś powiedzieć, ja niewłaściwie tłumaczyłam sobie twoje zachowanie.

Zdawało mi się, że utraciłam... najlepszego przyjaciela. Że on ma dosyć nudnej Unni albo jest na mnie zły, a to jeszcze gorsze!

- Kochanie, jak mogłaś w ogóle coś takiego pomyśleć? - protestował wzburzony. - Moje największe zmartwienie przecież to to, że narażam cię na zbyt liczne niebezpieczeństwa i że nie jestem dla ciebie odpowiednim mężczyzną.

- Wcale nie, jesteś, ale to... Jordi uniósł dłoń.

- Dobrze wiesz, że stoimy po dwóch stronach nieprzekraczalnej granicy. Ja zacząłem już wolno schodzić w dół, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Nie możemy być ze sobą zbyt blisko. Myślałem nawet, żebyś wyjechała do Norwegii. Boję się, że może ci się coś stać, rozumiesz, a poza tym ja stanowię niebezpieczne towarzystwo. Ale, oczywiście, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką!

A teraz, kiedy uświadomiłem sobie, że twoje życie jest zagrożone, to jakby jakieś szpony szarpały mi serce, dosłownie szalałem z niepokoju.

Unni milczała przez chwilę. Przypominała sobie niedawne wydarzenia, starając się jednocześnie iść z nim noga w nogę.

Jego najlepsza przyjaciółka? No, dziękuję bardzo, ale czy to nie za biednie? Jordi uważa, że jestem ładna, ale chce mnie oddać Mortenowi, a myśl o tym uwiera mnie jak wrastający paznokieć. Uff, co za obrzydliwe porównanie! Ale on powiedział, że szalał z niepokoju. No, to już lepiej, brzmi smutno, ale pięknie. Zarazem jednak wciąż podkreśla, że nie powinien się z nikim wiązać, jakby się bronił przed moim zbyt dużym natręctwem. Raz mnie prawie pocałował, chociaż myślę, że to jednak ja byłam aktywniejszą stroną.

Cóż więc mi pozostaje? Pominąwszy przyjaźń. Najlepsza przyjaciółka, powiedział. Czy mam wierzyć, że żywi dla mnie oddanie? Istnieje różnica między przyjaźnią a miłością. Czy mimo wszystko mogę na coś liczyć?

Myśli pospiesznie krążyły w głowie Unni. W końcu powiedziała:

- Czy nie powinieneś być powiadomić mnie wcześniej, jak się sprawy mają? Ten twój pełen rezerwy i chłodu stosunek sprawiał, że czułam się całkiem sama na świecie.

- Teraz to wiem, ale przedtem nie potrafiłem o tym myśleć. Sam przed sobą nie

mogłem przyznać, że nie byłbym w stanie zostać bez ciebie. My oboje tworzymy znakomity zespół, jesteśmy sobie tacy bliscy, całkiem jak rodzeństwo.

Nie, nie, nie! zawodziła Unni w duchu. Tylko nie mała siostrzyczka i starszy brat! Czy nie wiesz, że kochankowie są sobie bliżsi niż najbliższe rodzeństwo? No pewnie, że nie wiesz, nigdy przecież nie miałeś nikogo. Zresztą ja też nie, jeśli już o to chodzi.

Skoro jednak ja rozumiem różnicę, to i ty powinieneś wiedzieć, że ona istnieje. A może to tylko taktyka, żeby trzymać mnie na dystans?

Mały diabełek od kompleksu niższości znowu wystawił główkę.

Przed nimi ukazała się szopa dróżnika, jeszcze kawałek i...

Jordi przystanął i pochylał się mocno.

- Co ci jest? - spytała Unni przestraszona.

- Nie mogę złapać powietrza, muszę odpocząć.

Z pomocą Unni podszedł do najbliższego drzewa. Chciał się oprzeć o pień, ale bezwładnie osunął się na ziemię i siedział, nie mogąc się ruszyć. Okropnie charczał, wciągając powietrze.

- Co mogłabym zrobić, Jordi? - pytała bezradnie Unni.

On potrząsnął głową.

- Nic.

Widać było, że bardzo cierpi. Unni cierpiała razem z nim.

- Czy mogę cię ogrzać?

Beznadziejne przedsięwzięcie. Ręce zlodowaciały jej natychmiast, gdy tylko zaczęła rozcierać jego barki. Ale nie zwracała na to uwagi, byle tylko wolno jej było go dotykać...

- Dziękuję, Unni - wykrztusił z bladym uśmiechem. - Poczekaj, chyba zaczynam się czuć trochę lepiej.

- Chyba nie naciskam za bardzo?

- Oczywiście, że nie - kłamał dzielnie.

- Powiedz mi, co się z tobą dzieje?

Z wielkim wysiłkiem Jordi zdołał uspokoić płuca i zaczęły pracować jak należy. Przynajmniej w jakimś stopniu.

- Wiesz, że ja właściwie powinienem być martwy - wyszeptał ochryple, choć to kosztowało go wiele wysiłku. - Od ponad czterech lat. Rycerze dali mi jednak nowe życie, choć dotychczas nie zdążyłem się jeszcze zorientować, na czym ono tak dokładnie ma polegać. Wiem tylko, że to moje życie wisi na włosku, a atak Wamby uczynił je jeszcze bardziej delikatnym. Moja egzystencja, ta dokonująca się po tej stronie granicy między

życiem a śmiercią, jest taka krucha, taka krucha, a tak bardzo chciałbym żyć. Chcę być z tobą, Unni, nie mogę teraz umrzeć! To był błąd z mojej strony, że chciałem stłumić naszą przyjaźń. Ja potrzebuję twojej przyjaźni, Unni, potrzebuję ciebie! Rozpaczliwie!

Unni poczuła ciepło w sercu od tych słów, ale czy to konieczne, by Jordi z takim naciskiem mówił o przyjaźni? Pocieszała się, jak mogła, starała się nie zauważać tej przyjaźni, skracając trochę jego zdanie, żeby brzmiało: „Potrzebuję ciebie. Rozpaczliwie!” Tak było znacznie lepiej.

Zamyślona powiedziała:

- Ja myślę, że ani ci przekłęci mnisi, ani Wamba nie wiedzieli, kim jesteś. To był przypadek, że on omal nie przeciął ostatniej nici twojego życia.

- Z pewnością. Ja wiedziałem, że atakowanie Wamby jest dla mnie skrajnie niebezpieczne. Ale musiałem. Tylko ja i miecz rycerzy... tylko my mogliśmy go unicestwić.

Unni wyjęła mu z rąk wielki miecz.

- Promienieliście światłem, i ty, i miecz, wiedziałeś o tym? To było wspaniałe! Będziesz już w stanie iść?

Parę razy wciągnął ze świstem powietrze i wstał, podpierany przez Unni.

- No, teraz jest lepiej. Możemy iść. Dziękuję ci za ciepło.

Unni roześmiała się nerwowo.

- Przynajmniej zyskaliśmy dowód na to, że jesteś człowiekiem. Z organami, które funkcjonują...

Zamilkła skrepowana. Jej uwaga nie była chyba na miejscu.

Ale on ścisnął jej rękę.

- To oczywiste, że funkcjonują - powiedział. - To oczywiste!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Leon, Emma i Alonzo, dysząc, biegli przez las, a poranne słońce prześwietlało złotym blaskiem korony drzew. W końcu Leon przyhamował.

- Dlaczego my właściwie tak lecimy? I dokąd? - wycharczał, spocony, czerwony na twarzy.

Alonzo pochylił się prawie do ziemi, żeby złapać powietrza. Emma rozglądała się dookoła. Znajdowali się na sporym wzniesieniu z widokiem na niezbyt rozległą dolinę.

Zmęczona, wolno unosiła rękę, żeby pokazać:

- Patrzcie! W dole są jakieś stare ruiny!

- Na jakieś bardzo stare to nie wyglądają - mruknął Leon. - Przypomina to dużą posiadłość.

- Zastanawiam się... - mówiła Emma wolno. - Zastanawiam się, czy to by nie mogła być ta posiadłość, która w swoim czasie należała do dziadka mojej babki ze strony ojca, to znaczy do Emile? Ta, którą ukradli złodzieje z przeklętego rodu Navarro i potem zamordowali ojca Emile. Jeśli tak, to właściwie, właściwie ona jest moja!

Przerwał jej Alonzo:

- Czy myślicie, że oni byli właśnie tutaj dzisiejszej nocy?

- Chodźcie! - rozkazał Leon ordynarnym głosem. - Idziemy na dół!

Zbiegali pospiesznie. Znaleźli lepszą drogę niż ta, którą w blasku księżyca przedzierali się ich poprzednicy.

- Ile ty wiesz o Emile? - burknął Leon.

- Żeby specjalnie dużo, to nie. Niewiele ponadto, że jakoby wychowywał się u Felipe Navarro w Granadzie, razem z dwoma synami tamtego, Santiago i Enrico. Emile ich nienawidził, zwłaszcza Santiago, który podobno był bardzo inteligentny, taki typ samotnego wilka, chodzącego własnymi drogami, wciąż pogrążonego w rozmyślaniach. Enrico natomiast to ojciec Elia.

Dlatego Elia musimy koniecznie złapać, on powinien dużo wiedzieć.

- Jeśli nie jest za późno - mruknął Leon. - Złapalibyśmy ich już dawno temu, żeby nie ten nieziemski stwór, którego ze sobą włączą! Ja już go gdzieś widziałem! Ale gdzie? W jakiej sytuacji?

Zeszli na dół. W milczeniu krążyli po ruinach, Emma zaciskała ze złością szczęki. Niespecjalnie bogato prezentował się ten jej spadek!

Leon wskazał na jedną ze ścian. Zostały tam nabazgrane dziecięcą ręką następujące słowa:

„Przekłęci Navarro! Śmierć im! Śmierć Santiago! Mój dom, mój!

Ja tu jeszcze wrócę!”

- Najwyraźniej twój przodek, uciekając, zabrał kawałek kredy - syknął Leon złośliwie do Emmy.

- Owszem. Tylko dlaczego Emile nie wrócił tutaj, jak zapowiadał? Dlaczego nie odbudował dworu dla mnie?

- Może uważał, że posiadłość leży za bardzo na uboczu? Ale Santiago zdążył dopaść?

- O, tak! W dwudzieste piąte urodziny tego nędznika. Zwabił go do piwnicy domu w Granadzie. Santiago był widocznie bardzo naiwny i łatwo go było podejść. Pewnie się nawet ucieszył, że znowu widzi Emile.

Emma zachichotała.

- No to Emile dzielił go w łeb, a potem powiesił. Piece ot cake.

Kaszka z mlekiem.

Leon zaśmiał się szyderczo. Emma spojrzała na niego spod oka.

- Do diabła, Leon, jak ty wyglądasz? Twarz masz okropnie obwisłą, chyba nie zaczynasz być stary?

Zanim Leon zdążył jej odpłacić się złośliwością, usłyszeli z dworu wołanie Alonza:

- Chodźcie no tutaj!

Wyszli do ogrodu. Alonzo pochylał się nad jakąś dziurą.

- Oni coś tu wykopali - stwierdził Leon coraz bardziej zły, po części z powodu tej pustej dziury, a po części z powodu słów Emmy, że on zaczyna być stary. Nie powinien był zabierać tutaj Alonza. Ten jest młody i urodziwy. Może lepiej byłoby się pozbyć tego mydłka? - No tak, nieśli coś, to pewnie była skrzynia - mówił z wymuszonym spokojem. - Ruszamy za nimi!

- Jak to, bez samochodu ani niczego? Myślisz, że to był skarb?

Nasz skarb? - dopytywała się Emma.

- Tego, do cholery, nie wiem! Przecież nic nie mogę zrobić, skoro mam do pomocy takie oferny!

Spojrzenie Emmy zapowiadało burzę, dodał więc pospiesznie:

- Nie ciebie, rzecz jasna, mam na myśli.

- Babcia Emilia wspomniała kiedyś o skarbie Santiago. Jej mąż, Esteban, też o nim przebąkiwał. On jednak nie wiedział, gdzie się ten skarb znajduje. Mówił tylko, że Santiago

wiedział.

- Cholera! - zaklął Leon, kiedy znowu ruszyli w drogę. - Elio musi wiedzieć więcej, on jest jego najbliższym krewnym. Santiago był chyba jego wujem, no nie?

- Owszem, ale nigdy się przecież nie spotkali. Elio urodził się jakieś czterdzieści pięć lat po śmierci Santiago. Najbliższym mu w czasie był Esteban, ale i on urodził się co najmniej w dwadzieścia lat po śmierci Santiago. Wiem o tym od mojego ojca, on zaś wiedział od swojej matki, Emilii, tej złej, wiesz, która z kolei poznała tę historię poprzez swego dziadka, Emile. Ojciec Emilii, ogniwo pośrednie między nimi, nie zasługuje na pamięć. To był dewot, który tylko chodził do kościoła i nie chciał nic słyszeć o wielkim skarbie ukrytym w lesie, w wysokich górach, i tym wszystkim. Natomiast babcia Emilia, w dorosłych latach prawdziwa żelazna dama, jako dziecko siadywała na kolanach dziadka Emile, uważnie słuchała i uczyła się.

Leon raz po raz musiał się pochyłać, czuł się marnie. Bolało go w miejscu, gdzie uderzyła głowa Wamby. Pewnie zrobił się tam wielki siniec.

Nie chciał jednak sprawiać wrażenia płaczka. Nie w obecności Alonza, który jest taki cholernie młody i sprawny. I nie wobec Emmy, która z pewnością flirtuje z młodzieńcem. Niech diabli wezmą oboje!

Cierpienie rozdrażniało Leona.

- Emile był głupi - warknął wściekle. - Powinien wydusić z Santiago wszystko, co ten nędznik wiedział, dopiero potem mógł go sobie wieszać.

- Emile był podobno w gorącej wodzie kąpany, łatwo się obrażał i długo pamiętał urazy - powiedziała Emma ze śmiechem. - Ja jestem do niego podobna!

- Oj, jesteś - westchnął Leon ze złością. - Niemniej jednak nasi szczęśliwi przeciwnicy położyli łapy na skarbie Santiago. Ja tego nie ścierpię, niech ich diabli porwą! Ale poczekajcie, już my was wytropimy!

Leon robił wrażenie człowieka niebezpiecznego.

Opuścili dwór i szybkim, zdecydowanym krokiem szli starą drogą.

Źle się czuli w tym lesie, nawetienne światło i blask słońca nie uwolniły ich od nieprzyjemnych, zimnych dreszczy. Wspomnienie tego, co widzieli w nocy, wciąż powracało.

Emma złościła się na Leona.

- Co się z tobą dzieje? Musisz tak okropnie sapać, prychać i jęczeć, jak idziesz? I wciąż nudzić o tym piwie? Przecież dobrze wiesz, że nie mamy tu piwa! Ja cię nie poznaję, zachowujesz się jak stary dziad! I dlaczego wciąż się drapiesz po brzuchu?

- Gównu cię to obchodzi - odburknął Leon ordynarnie. - Przygotuj się lepiej na to,

żeby ładnie i pociągająco wyglądać, kiedy znajdziemy się już na szosie. Może uda nam się złapać jakąś okazję.

Nie możemy tu tkwić przez cały dzień, to poniżej mojej godności. Jestem ważną osobą, znaną, ludzie się mnie boją!

Alonzo się nie odzywał. Zaczynało go to wszystko niepokoić.

Nagle Leon stanął jak wryty, po czym wydał z siebie wściekły ryk.

- A to co znowu? - spytała Emma.

- Ten niezwykły! Już wiem, gdzie go widziałem. Jako smarkacza. To jest Jordi Vargas! Ale, na wszystkich piekielnych diabłów, ten człowiek nie żyje!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Tu nie ma żadnego samochodu - oznajmił Jordi zmartwiony, kiedy dobrnęli do szopy dróżnika. - Co się stało z Pedrem i Elio?

- Mogli mieć problemy ze znalezieniem kryjówki dla skrzynki - odpowiedziała Unni, ocierając łzy, które zaczęły jej spływać po policzkach. - Okolica jest tutaj otwarta, a myślę, że nie ukryli skrzynki w lesie.

- Tak, mówili, że chcą pojechać trochę bardziej na południe.

- No właśnie, a przecież nie wiemy, jak tam jest. Myślisz, że powinniśmy iść dalej? To znaczy wyjść im naprzeciw?

- Owszem, tak by chyba było najlepiej. Zwłaszcza że Leon i jego kompani znajdują się w lesie, na górze. Ale, Unni, ty płaczesz? Nie martw się, wszystko będzie dobrze, zobaczysz!

- Och, głuptasie, ja nie płaczę z naszego powodu. Myślę o młodym, samotnym Santiago. Jak on się musiał wtedy czuć. A miał takie ufne oczy. I został zamordowany, przypuszczalnie przez swojego przyrodniego brata, Emile.

Jordi pogłaskał ją po policzku lodowato zimną dłonią.

- Santiago nie był chyba bardziej samotny niż inni nasi biedni kuzyni. Zwłaszcza że on miał ojca i brata Enrica.

- Ale w chwili śmierci został sam.

- Tak jak wszyscy.

Wciąż stali na skraju drogi, przytłoczeni smutkiem, bliźsi sobie w cieniu tragedii.

- Ale on wiedział, że musi umrzeć - Unni uśmiechała się przez łzy. - Z twojego powodu też kiedyś płakałam, Jordi. Płakałam nad twoim losem. Na cmentarzu. Zapaliłam na twoim grobie dwie świece, ale ciebie tam nie było!

Zaniósł się stłumionym, lekko desperackim śmiechem, kiedy przytulił ją i oparł policzek na jej włosach. Unni była rozdarta między sprzeczne uczucia: wzruszona smutnym przypomnieniem, dygotała w jego objęciach, z drugiej jednak strony bliskość Jordiego budziła w niej rozkoszne drzenie mimo płynącego od niego chłodu, który, szczerze powiedziawszy, przenikał ją do szpiku kości. Owo ciepłe drzenie próbowało pokonać chłód, ale Unni wciąż nie wierzyła, że to się uda. Starszy brat i młodsza siostra, nie zapominaj o jego idei rodzeństwa, powtarzała w duchu.

Nagle została wyrwana z rozmarzenia, Jordi odsunął się od niej gwałtownie.

- Słyszę samochód! Od północy, może Pedro i... Nie! To pozostali pomocnicy Leona

wracają przynajmniej jednym samochodem. Wiem, że mają taki w okropnym kolorze zupy pomidorowej.

Samochód wciąż jeszcze był dość daleko.

- To co teraz? - spytała Unni przestraszona.

- Do szopy, prędko!

Duże podwójne drzwi od strony drogi były zamknięte. Ale przy południowej ścianie znajdowała się mała komórka i drzwi do niej stały otworem.

Wewnątrz było bardzo ciasno i pełno kurzu. Unni zaczęła kaszleć.

Jordi ujął klamkę drzwi wiodących dalej, ale one też nie dały się otworzyć.

- Musimy czekać tutaj. Postaw miecz w kącie!

W murze znajdował się niewielki otwór, widzieli przez niego fragment drogi, a przy pewnym wysiłku również zjazd na leśną ścieżkę.

Szczególnie wielkiej możliwości ruchu w tej ciasnocie nie mieli, musieli stać blisko siebie i Unni znowu zaczęła marznąć. Jeszcze chwila, a zmienię się w słup jak żona Lota, tylko że w słup lodu, nie soli, myślała. Ale moja tęsknota jest gorąca. Och, jaka gorąca!

W końcu usłyszeli samochód.

- O, do licha, zatrzymują się - szepnęła Unni. - I wysiadają.

Jeden z dwóch przybyłych mężczyzn zbliżał się do szopy. Stanął twarzą do ściany, żeby oddać mocz. Unni i Jordi wcisnęli się jak najdalej w kąt, żeby ich nie zobaczył. I żeby sami nie widzieli.

Teraz nie było już miejsca na żaden ruch. Stali bardzo blisko siebie na tym małym kawałku miejsca, niewidocznego z zewnątrz.

Nie mogli też usiąść na podłodze, bo pełno było na niej potłuczonego szkła i innych śmieci.

Usłyszeli, że stojący przy szopie woła do swojego kompana po drugiej stronie drogi:

- Nie powinniśmy byli tu wracać. Myślę, że najlepiej będzie znowu zwiewać!

- A co się stanie potem, jak myślisz? - odpowiedział tamten. - Alonzo znajdzie nas wszędzie, a wtedy to nie tylko nóż na gardle, ale nóż w gardle. Widziałeś, jak załatwił Augusta?

Ten spod szopy skończył, wrócił do koleżki, usiedli obaj w otwartym samochodzie i zapalili papierosy. Widocznie mieli zamiar długo czekać.

Atmosfera w małym pomieszczeniu stawała się naprawdę dziwna. Unni była odrętwiała z zimna, ale czuła, że i jej dusza, i serce reagują na intymną bliskość Jordiego. No może nie tylko serce i dusza, pomyślała cierpko. Ręce Jordiego spoczywały na jej plecach,

płynął z nich lodowaty chłód. Jej policzki znajdowały się tuż przy jego twarzy i odnosiła wrażenie, że powieki zamieniają się jej w kawałki lodu. Mam nadzieję, że nie zaczną stukać przy mruganiu, pomyślała w przypływie wisielczego humoru.

Ale przecież naprawdę niebezpieczeństwo, że zostanie głęboko zamrożona, było wielkie. Jordi zdawał się nie pamiętać o takich drobiazgach, on przecież chłodu nie odczuwał. Teraz zajęty był tylko tym, by trzymać i ją, i siebie jak najdalej od okienka i żeby oboje zachowali spokój. Nieostrożny ruch ręką na przykład mógł zostać zauważony z zewnątrz. Oddychał z wysiłkiem, ciężko wciągał powietrze, Unni czuła, jak jego pierś podnosi się i opada. Ale, oczywiście, nie wyobrażała sobie, że to z jej powodu. Jordi ma bóle w płucach i trudności z oddychaniem, wytłumaczenie jest proste.

Czy wszystko musi być takie prozaiczne? Czy nie mogłaby przystroić trochę sytuacji odrobiną romantyzmu?

Ciało Unni zaczynało protestować. Walczyło zaciekle z zimnem, a równocześnie płonęło. Miała w sobie rozpalone jądro miłości, odczuwała niepohamowane pożądanie, a nie mogła się uwolnić od paralizującego ją powoli, ale nieprzerwanie mrozu.

Jordi całym ciałem przycisnął ją mocno do ściany i Unni załała falą podniecenia. Ledwo zdołała powstrzymać bolesny jęk tęsknoty.

Chciała się poruszyć, wyjść mu na spotkanie, ale ciasnota pomieszczenia i paralizujące zimno pozbawiały ją sił, nie była w stanie nic zrobić.

- Masz bóle? - zapytała cichutko przez zdrtwiałe wargi. - Gdybyśmy teraz wykorzystali te nasze pół minuty, to może poczułbyś się lepiej?

Czy on ją przejrzy? Czy się domyśli, że nie tylko o jego zdrowie jej chodzi?

- Tak - wyszeptał tuż przy jej uchu. - Tak, zrobmy to. Ale co on ma na myśli? Czy knuje równie podstępne plany jak Unni? Czy on też tęskni tak jak ona?

Chłód jednak paraliżował jej mózg, pozbawiał zdolności myślenia.

Jordi drgnął, gdy zauważył, że Unni traci świadomość. Nie było już czasu, by wzywać rycerzy i prosić o te obiecane pół godziny normalnej, ludzkiej bliskości.

- Nie, Unni, nie odchodź ode mnie!

Odsunął się od niej tak daleko, jak to było możliwe, Unni zaczęła wolno wracać do życia.

- Dzięki ci, Boże - mamrotał Jordi. - Nie, Unni. Moglibyśmy wykorzystać nasze pół godziny teraz, ale na Boga, nie tutaj! Nie w tym brudzie, nie z tymi nasłuchującymi facetami po drugiej stronie drogi! Nie marnujmy jedyne go czasu, jaki nam podarowano.

Oczywiście, Jordi miał rację.

Głęboko zatroskany tym, co zrobił, zdjął wiatrówkę i okrył jej ramiona.

- Czy moje ubranie też jest zimne?

- N - nie - dzwoniła zębami, ale odzyskiwała zdolność ruchu, bo Jordi odsunął się naprawdę jak na te warunki daleko. - Nie, już m - m - mi ciep - pło.

Jordi ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

- Oni wciąż tam są.

Nagle Unni jakby się przestraszyła i wyszeptała:

- Jak to dobrze, że Pedro i Elio nie wrócili. To by dopiero było!

- Ale mogą wrócić w każdej chwili - rzekł Jordi ponuro. - Przekłęci idioci, jak długo oni mają zamiar tu siedzieć?

- Dopóki nie przyjedzie Leon z resztą grupy - mruknęła Unni.

Tak więc widoki na przyszłość rysowały się nieszczerólnie.

Jordi siedział w kucki. Teraz, kiedy Unni musiała mieć cały kąć dla siebie, tylko w takiej pozycji Jordi nie mógł być widziany z drogi.

Zresztą i tak nie mógłby jej rozgrzewać, bo po prostu nie wolno mu było jej dotykać.

- Tak mi przykro z twojego powodu - szeptał zrozpaczony. - Jesteś mi przecież taka bliska, a ja stanowię dla ciebie zagrożenie.

W dodatku zbyt często o tym zapominam.

Choć te słowa rozgrzewały przemarznięte ciało Unni, uważała, że mógłby używać nieco mocniejszych określeń. „Jesteś mi przecież taka bliska”. Co to właściwie oznacza? Może znaczyć dużo, ale też niewiele. Że traktuje ją jak przyjaciółkę, jak siostrę, czy może coś więcej?

- Ty też znaczysz dla mnie bardzo wiele - odparła z lekkim wahaniem. Skoro on używa takich letnich słów, to i ona nie powinna wytaczać cięższych dział. - Jakoś to wytrzymamy. Martwi mnie tylko, że jesteś taki blady i masz spocone czoło.

- Siły życiowe ze mnie uchodzą. Jestem potwornie zmęczony, Unni. A ty omal nie zamarzałaś.

Musiała mu więc wybaczyć. Nie mogła oczekiwać płomiennego uwielbienia od kogoś, kto się ledwo trzyma na nogach.

Uśmiechnęła się blado.

- Nasza szczerza przyjaźń złagodzi zarówno gorączkę, jak i chłód.

Roześmiali się oboje. Desperacko. Unni z kluchą w gardle.

Z troską spoglądała na Jordiego. Siedział skulony, z twarzą ukrytą w dłoniach, łokcie opierał na kolanach, całe ciało drżało jak w febrze.

Wreszcie usłyszeli start silnika. Unni pozwoliła sobie zerknąć przez otwór.

- Jordi - wyszeptła. - Oni jadą w stronę lasu. Jordi podniósł się udęczony.

- Aż tacy są głupi? Byłoby dla nich najlepiej, gdyby poczekali na Leona i jego bandę tutaj. Ale nam wyświadczyli przysługę.

Gdy tylko samochód zniknął w lesie, Unni i Jordi wyszli na drogę.

O mało nie zapomnieli o mieczu, musieli po niego wracać. Nie zwlekając, ruszyli na południe, Jordi jedną ręką wspierał się na ramieniu Unni i dziewczyna ze zgrozą obserwowała, jak ciężko mu iść.

Uszli jednak ledwo kilkadziesiąt metrów, gdy wyjechał im na spotkanie samochód Pedra. Wkrótce znaleźli się na swoich miejscach, na tylnym siedzeniu, i Pedro zawrócił.

- O rany - westchnął Jordi z ulgą. - To się nazywa szczęśliwy traf!

- Wcale nie - roześmiał się Pedro. - Przyjechaliśmy niemal równocześnie z wami, widzieliśmy ten samochód i że wy ukryliście się w szopie. Czekaliśmy dosłownie za drzewem, dopóki teren się nie oczyści.

Unni zobaczyła w wyobraźni, jak wielki samochód kurczy się do rozmiarów karty do gry i ukrywa za drzewem, ale właśnie mijali wysokie skały i Elio wyjaśnił, że to za nimi stali i stamtąd wyglądali na drogę.

Było tak, jak Unni przypuszczała: mieli problem ze znalezieniem kryjówki w tym pięknym, ale otwartym skalistym terenie. W końcu postawili skrzynkę za wysokimi kamieniami i starannie ją przykryli, kiedy jednak znowu znaleźli się na drodze, pojawił się tam jakiś chłop ze stadem kóz, niesłychanie gadatliwy. Żeby nie wzbudzać w nim żadnych podejrzeń, musieli chwilę porozmawiać, a tymczasem jedna melancholijna koza obgryzła brzeg wiatrówki Pedra.

Unni wybuchnęła śmiechem. Wszyscy byli szczęśliwi, że znowu są razem.

- Ale Jordi jest chory - powiedziała zaraz zmartwiona.

- No właśnie, widzę - rzekł Pedro, przyglądając mu się w tylnym lusterku. - Zaziębienie?

- Gorzej - odparł Jordi. - To skutek kontaktu z ogniem Wamby.

- Mój Boże! - przestraszył się Pedro. - Musimy cię zawieźć do szpitala.

Nikt się nie odezwał.

Jordi do szpitala? Ciekawe, co by lekarze u niego znaleźli?

Uznaliby, że jest żywym człowiekiem, czy...?

- Chyba raczej powinniśmy zatelefonować do Antonia i zapytać - powiedziała Unni.

- Dobry pomysł - przyznał Pedro. - Chcieliśmy zresztą dzwonić do was, ale baliśmy

się, że tamte zbóje mogą usłyszeć sygnał. O, tam wyżej jest ukryta skrzynka. I żadnych kóz na horyzoncie.

Świetnie! Ale bardzo mi przykro, że przyjechaliśmy po was za późno.

Że musieliście tak długo czekać w tej szopie.

- Unni bardzo dobrze się mną zajmowała - powiedział Jordi i klepnął ją po bratersku w ramię.

Idź do diabła! pomyślała. Może mógłbyś mnie pogłaskać po głowie. O, jaka dzielna siostrzyczka!

- Nic nie szkodzi, że musieliśmy poczekać - rzekła przez zaciśnięte zęby. - Przeżyliśmy bardzo pouczające chwile.

- Niezwykle pouczające - potwierdził Jordi. Pedro połączył się z szefem najbliższego posterunku policji i odbył z nim krótką, ale ważną rozmowę...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zatelefonowali do Norwegii.

Antonio był bardzo wzburzony. Nie, Jordi nie może być leczony w Hiszpanii. Powinien wrócić do Norwegii. Natychmiast!

Pedro protestował. Czy Antonio nie ma zaufania do hiszpańskich szpitali?

- Nie, dobrze wiem, że w niczym nie ustępują norweskim, a może nawet je przewyższają poziomem - tłumaczył Antonio. - To nie o to chodzi. Ale Jordi opiekował się mną przez całe życie, ciężko pracował, by starczyło na moje studia medyczne. Teraz on potrzebuje mnie i jest okazja, żebym mu się odwdzieczył. Musisz mi na to pozwolić!

- A gdzie ty jesteś?

- W domu. Właśnie przyjechali do mnie Morten z Gudrun. Nie byli bezpieczni w Molde. Tutaj też pewnie tak do końca nie są, ale przynajmniej mogę o nich zadbać. Vesla znalazła duży, bardzo ładny dom, zamieszkamy tam wszyscy. Jeszcze go nie umeblowaliśmy, ale na pewno będzie nam tam bardzo dobrze.

- A co mamy tymczasem robić z Jordim?

- Nie mam pojęcia, jak postępować z chorymi zatrutymi przez trolla, ale może na początek spróbujecie antybiotyku? Możecie tam coś zdobyć?

- Drogi przyjacielu, ja mam z sobą cały swój magazyn leków.

Nie przypuszczałem, że wyzdrowieję, i to tak, za jednym machnięciem ręki. Tak więc z tym damy sobie radę.

Pedro dostał od Antonia dokładne instrukcje. Przedyskutowali też obaj, jak się cała grupa powinna zachować, Pedro miał swoje plany.

Najpierw pojedą do Saragossy, gdzie w jakimś położonym na uboczu hotelu przyjrzą się dokładniej papierom Santiago, wykapią i wyśpią. Są przecież na nogach ponad dobę. A później zastanowią się, co dalej, i zadzwonią do Antonia. Wszystko będzie zależeć od samopoczucia Jordiego.

Unni była zrozpaczona, że nie może mu pomóc. Siedzieli, jak zawsze, na tylnym siedzeniu, każde w swoim kącie. Unni nie chciała się skarżyć, ale marzyła jak pies. Powinna się zamienić miejscami z Eliem, ale żaden z mężczyzn nie wpadł na taki pomysł. Z drugiej strony, ona sama chciała być blisko Jordiego, przynajmniej uśmiechem i przyjaznym słowem dodawać mu odwagi. Cóż innego mogłaby zrobić? Nic. Jest przecież tylko do niczego nieprzydatną młodszą siostrą.

Kiedy dotarli do Saragossy, Jordi był tak wyczerpany, że nie mógł o własnych siłach wejść po schodach, dosłownie wciągał się na górę, trzymając się poręczy. Unni była sztywna z zimna i taka sina, że Elio i Pedro mieli straszne wyrzuty sumienia. Ale przecież chyba mogła powiedzieć?

Pierwsza dawka penicyliny w ogóle nie podziałała na Jordiego.

Spróbowali więc ponownie, tym razem z kortyzonem. W swoim pokoju Jordi po prostu zwał się na łóżko. Elio pomógł mu się rozebrać. Widząc, jak się kuli na posłaniu, dygocze jak w febrze, choć jest równocześnie mokry od potu, postanowili, że właśnie w jego pokoju będą przeglądać papiery. Tylko wówczas Jordi będzie mógł w tym uczestniczyć, a nie ma czasu do stracenia.

Kelner przyniósł gorący, smakowicie pachnący obiad i nagle wszyscy uświadomili sobie, jacy są głodni. Może z wyjątkiem Jordiego, on nie miał ochoty na nic, ogarniało go coraz większe pragnienie, by umrzeć. A przecież wiedział, że w głębi duszy bardzo tego nie chce, miał tyle spraw, dla których powinien żyć. Tylko jakoś teraz nie potrafił o tym myśleć, umysł nie chciał pracować jak należy.

Unni starała się go zmusić do jedzenia i szczęśliwie trochę jej się udało. Dała mu też wina. Może to nie było za bardzo rozsądne, ale po posiłku Jordi sprawiał nieco przytomniejsze wrażenie. A może to działanie kortyzonu?

Kiedy posprzątano pokój po obiedzie, Unni siedziała w głębokim fotelu, opatulona wełnianym kocem, Jordi na swoim posłaniu, podparty poduszkami, a Elio i Pedro przy stole. Uwaga wszystkich czworga skupiała się na zwojach papieru, wyjętych ze skrzynki.

Wciąż nie wiedzieli, czy nazywać to skrzynką, czy raczej szkatułką, była długa dokładnie tak samo jak miecz, i wąska. Ani skrzynia, ani szkatuła, coś pośredniego między jednym a drugim, po prostu.

- Musimy się bardzo ostrożnie obchodzić z papierami - powiedział Pedro.

Już dawno zorientowali się, że owej skrzynki czy szkatuły, zawierającej cenne starocie, nie przeszmyglują przez cło na żadnym lotnisku. Pedro nawiązał więc kontakt z jednym ze swoich służących, który właśnie teraz jechał największym samochodem Pedra z Madrytu do nich tutaj. Potem służący odda wypożyczony samochód w Granadzie, oni sami zaś będą mogli wyruszyć w długą drogę na północ, do Norwegii. Problem tylko, jak Jordi to znieśie.

Zastanawiali się już nawet, by Jordi poleciał z Unni samolotem, ale umieszczać tak wyczerpanego i chorego człowieka razem z innymi pasażerami... nie, lepiej nie ryzykować. Nie odważyli się też wezwać hiszpańskiego lekarza do hotelu, musiały wystarczyć

konsultacje z Antoniem. Było jasne, że teraz Jordi należy bardziej do świata rycerzy niż zwyczajnych śmiertelników, serca ścisnęły im się z bólu, kiedy na niego patrzyli.

Poza tym Elio powinien pojechać do swojej rodziny, czekającej na niego we Włoszech. Pedro miał załatwić wyjazd, jak tylko się wszyscy wyśpią.

Ale najpierw najważniejsze: papiery. Jordi też nie miał czasu na nie czekać. Może nawet obawiał się, że wcale nie będzie w stanie ich zrozumieć, jeśli najpierw zdecyduje się przespać?

Unni z rozpaczą myślała właśnie o tym. Co będzie, jeśli on się już więcej nie obudzi?

- Muszę porozmawiać z Flavią o przyjeździe Elia - mruknął Pedro pod nosem. - Teraz, kiedy znowu jestem zdrowy, może odważę się z nią ożenić?

Wszyscy przyjęli z uśmiechem te jego, wypowiedziane na marginesie wszystkich zmartwień, słowa o szczęściu.

Pedrowi zostawili pracę nad rozkładaniem posklejanych arkuszy.

Okazało się, że większość to kruchy pergamin.

Zdumiony Hiszpan potrząsał głową:

- Dlaczego oni to wszystko pozakopywali? Przecież tylko oni dwaj: don Felipe i Santiago, znali kryjówkę. Enrico ani jego potomstwo niczego się nie dowiedzieli.

- Wygląda to podejrzanie - przyznał Jordi ostrym, zmienionym nie do poznania głosem. - I po co jeszcze ta ochrona w postaci małego pudełka ze znakiem rycerzy na wieczku? Unni ostrzegła nas, byśmy tego nie dotykali.

- Musiałam - szepnęła.

Przeglądali się małemu pojenniczekowi, oddzielonemu od reszty zawartości skrzynki drewnianą przegrodą tak, by nie mógł się przesuwać i, być może, uszkodzić pozostałych przedmiotów? Między pudełko a przegrodę zatknięto święte obrazki na metalowych płytkach. Emaliowane srebro, domyślali się. Niczego jednak nie dotykali.

Najbardziej interesowało ich to, co zapisane.

Kiedy rozłożyli rulon, znaleźli na wierzchu jakiś list.

Musiał być napisany tuż przed zakopaniem wszystkiego w ziemi.

Różnił się wyraźnie od pozostałych dokumentów, sprawiał wrażenie o wiele młodszego. Papier był ekskluzywny, gruby, pismo ozdobne, w czarnym tuszu.

Gdy tylko Pedro puścił jeden narożnik, papier ponownie się zwinął.

- Nie mamy gdzieś jakiejś pluskiewki?

- Spróbuję coś zdobyć - rzekł Elio i wyszedł.

Kiedy arkusz leżał już umocowany i nic się nie mogło stać, Pedro zaczął czytać. Unni,

ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, odkryła, że rozumie dużo więcej po hiszpańsku, niż przypuszczała. Bardzo tym zaimponowała całemu towarzystwu. Ale mówić w tym języku nie potrafiła, na taki skok jeszcze nie mogła się zdobyć. Była zadowolona, że bez większych kłopotów może śledzić tekst.

Trudniejsze słowa koledzy bardzo chętnie jej tłumaczyli.

Pedro zaczął uroczyście:

„Casa Escobar de Navarra, w sierpniu 1878 roku.

Niechaj Niebiosa nie pozwołą, by ktokolwiek odnalazł tę skrzynkę! Jeśli jednak tak się zdarzy, że mój syn, Enrico, lub ktokolwiek z jego następców, mieszkających w naszej dumnej rodzinnej posiadłości, którą ja obecnie odebrałem i objąłem w prawomocne posiadanie, miałby ją odnaleźć, to proszę i stanowczo nalegam, by najpierw przeczytał niniejsze wyjaśnienia!

Ja, Don Felipe, d'Escobary Navarra...”

Pedro przerwał.

- Coś się tutaj nie zgadza. Nazwisko ojca powinno być pierwsze.

On się nazywał „Felipe z Escobar i Nawarry”, ale był jednym z rodu Navarra, podobnie jak ty, Elio, jego wnuk. Czy wiesz, w jaki sposób nazwisko Escobar pojawiło się w rodzinie, żeby potem znowu zniknąć?

Elio wzruszył ramionami.

- Nie więcej, niż wcześniej mówiłem, że to chyba przez małżeństwo. Nigdy się nie dowiedziałem, jak to było.

- A teraz jest za późno - westchnął Pedro. - No dobrze, czytamy dalej:

„Ja, don Felipe... postanowiłem dzisiaj zakopać w ziemi świętości mojego rodu, a wraz z nimi wieczne przekleństwo. Santiago, mój najstarszy syn, zgadza się ze mną, on również uważa, że należy to zakopać. Może w ten sposób zapewnimy spokój naszym następcom, przerwiemy ową karę, ciążącą na nieszczęsnej rodzinie. Może Santiago będzie mógł żyć. Niech Bóg sprawi, by tak się stało!

Przede wszystkim jednak proszę z całym naciskiem, by ten, kto być może znajdzie naszą kryjówkę, nigdy, pod żadnym warunkiem nie dotykał srebrnego pudełka z naszym zwiastującym smutek znakiem na wieczku. To bardzo ważne, właśnie bowiem z tego pudełka nasze demony wzięły to, za co teraz życiem płacą pierworodne dzieci naszego rodu. Zakopcie ponownie pudełko w bezpieczniejszym miejscu, błagam was, wygląda bowiem na to, że czczeni przez nas święci nie są w stanie odwrócić nieszczęścia”.

- Pogrzebać pudełka też nie potrafili - mruknęła Unni. - Nie pomogli donowi Felipe...

- Niestety, masz rację - przyznał Pedro i po chwili czytał dalej:

„Miecz miał jakoby należeć do naszego dumnego przodka, dona Ramiro de Navarra, tego, którego śmiałe poglądy i poczynania ściągnęły na nasz ród tragedię. Ubolewam nad tym, że muszę miecz złożyć w ziemi, nie wiem jednak, jaki jest jego udział w całej sprawie. Dlatego żegnaj, symbolu naszej dumy!

Ponadto zakopuję też drzewo genealogiczne naszego rodu, jak daleko w przeszłość jest ono znane...”

- No, znakomicie! - ucieszył się Elio, a reszta mu przytakiwała.

Powstrzymali jednak chęć natychmiastowego przestudiowania dokumentu i Pedro mógł dokończyć:

„Nie wszystkie imiona zostały w nim wymienione. Tylko ludzie bezpośrednio związani ze sprawą. Jak widzicie, jest imię Escobar.

Ale to tylko potwierdzenie istnienia osoby, która wżeniła się w ród de Navarra, z pewnością ze względu na znakomite nazwisko. Nie miał on nic dobrego do dania, jedynie pychę i brak miłosierdzia. To on zmienił nazwę tej posiadłości na Casa d'Escobar, a po jego śmierci nikt nie przywdział żałoby. Teraz majątek znowu będzie się nazywał Casa de Navarra, skoro my, moi synowie i ja, odzyskaliśmy do niego prawa”.

- Powiedz mi, Elio - poprosił Pedro. - Czy Emile pochodził z rodu Escobar?

Starszy pan zaczął się zastanawiać.

- Nie, nigdy o tym nie słyszałem. Nie, nie, mogę zagwarantować, że nie pochodził. Nosił całkiem inne nazwisko, tylko że nie mogę sobie teraz przypomnieć, jakie.

- Dziękuję. W takim razie czytam dalej:

„A zatem, będę na zawsze wielce rad, że mogłem zakopać tę skandaliczną książkę, napisaną przez grzeszną Estellę w klasztorze, w którym trzeba ją było umieścić. Bardziej oburzającego dzieła, od początku do końca, nigdy nie czytałem!”

- No, przyjemniaczek - mruknęła Unni. - Dlaczego w takim razie czytał? I to całą książkę?

- Otóż to! I dlaczego jej, na przykład, nie spalił?

- Być może utwór ma wielką wartość literacką? - uśmiechnęła się Unni. - A poza tym jest z pewnością podniecający. Czy reszta papierów to właśnie książka? Wygląda coś cieniutko. Chyba na niewiele skandali znalazło się tam miejsce!

Pedro przewracał kartki swymi wypielegnowanymi dłońmi wysokiego urzędnika.

- Nie, to mi nie wygląda na książkę. Jakieś szpargały z dawnych czasów, teoria Santiago, jakiś protokół sądowy, list pisany w starym języku hiszpańskim... Nie, to tylko

papiery, papiery. Czekaćcie no, na dnie skrzyni...

Uniósł w górę kilka przedmiotów, wspaniałe krzyż, wysadzany szlachetnymi kamieniami, oraz coś zawinięte w zbutwiały jedwab.

Dopiero wtedy pokazało się dno.

- Ale dno nie jest z drewna, to skóra! Och, kochani, to książka!

Rozłożona tak, by pokryła całe dno.

- Z wyjątkiem miejsca przeznaczonego na srebrne pudełko - wtrącił Elio. - Ale to chyba nie miało wielkiego znaczenia. Skoro książka jest taka skandaliczna, a przynajmniej nieprzyzwoita, to pewnie zawartość pudełka nie może jej zrobić krzywdy?

- Może nawet książka szkodzi temu, co leży w pudełku - powiedziała Unni złośliwie. - Czy można by przeczytać wynurzenia grzesznej Estelli? Moim zdaniem opinia o nich brzmi bardzo ekscytująco.

- Później - uśmiechnął się Pedro. - Teraz zrobimy sobie przerwę.

Dobre cygaro mogłoby smakować, co, Elio?

Elio uznał, że pomysł jest świetny. Jednocześnie Pięciu rycerzy spotkało się w umówionym miejscu.

- Przyjaciele, bardzo się martwię - powiedział don Federico de Galicia.

- Ja także - przyznał don Ramiro de Navarra.

- To wszystko może się skończyć fatalnie - rzekł don Sebastian de Vasconia z powagą.

- A my nic nie potrafimy zrobić - westchnął don Garcia de Cantabria.

- Szybko, szybko, moje dzieci, byliście już na dobrej drodze - prosił don Federico.

- Zwracajcie uwagę na niewidzialne zagrożenia, nie przejmujcie się za bardzo tym, co widzialne - zakończył don Galindo de Asturias.

Przygnębieni rycerze odjechali.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Na lesistych wzniesieniach Nawarry, na drodze do ruin starego majątku, samochód złodziei i oszustów zakopał się po osie w błocie.

Próbowali sforsować zdradziecką krawędź pobocza i wtedy ziemia się osunęła, samochód przechylił się, po czym wolno ułożył na boku, jakby zamierzał udać się na spoczynek.

Obaj mężczyźni pocili się obficie, przeważnie ze strachu. No to dostanie im się bura, i od Leona, i od Alonza.

Pchali samochód i ciągnęli, zakładali linki na hak holowniczy, zapalali silnik, ale samochód ani drgnął.

No i ci, na których czekali tak długo, musieli oczywiście przyjść akurat w takiej chwili. Emma i Alonzo najpierw, biegli z przerażeniem w oczach. Leon, potykając się, podążał za nimi.

A jak on wyglądał! Mężczyźni przy samochodzie na jego widok odskoczyli w tył.

Włosy miał zmierzwione, twarz obrzmiała i spoconą, w zapadłych oczach tliło się szaleństwo.

I wydawał się taki wielki! Barczysty, z obwisłym brzuchem piwosza, na który przedtem nie zwracali uwagi, posuwał się też jakimś dziwnym, kołyszącym się krokiem. Leon był zupełnie do siebie niepodobny, to po prostu ruina człowieka...

A może on udaje, odgrywa jakiegoś zbłąkanego dzikusa, czy...?

Zauważyli, że Leon z wielką irytacją drapie się i czochra po jednym boku jak pies, który wciąż nie może trafić w miejsce swędzące po ugryzieniu pchły.

Byli przygotowani, że ich zwymyśla za to, co się stało z samochodem, ale przecież nie na to, że oszalały z wściekłości wymierzy jednemu z nich taki cios w szczękę, że tamten przewróci się, uderzając głową w maskę wozu.

Emma też była wściekła i przerażona.

- Leon! - warknęła ostro. - Nie zachowuj się jak idiota! Pomóż postawić samochód i więcej stąd jak najprędzej!

Spoglądał na nich spod oka, zły jak pokrzywa, mamrotał coś pod nosem, ale zabrał się do roboty z takim samozaparciem, jakby wstąpiły weń siły jakiegoś olbrzyma. Wkrótce pojazd stał znowu na drodze. Leon nie spuszczał oczu z Emmy i Alonza. Podejmowali już próbę ucieczki bez niego, pod pozorem, że muszą odejść na bok i zapalić papierosa. Leon nie

miał zaufania do Alonza, który mógł próbować uwieść nie domyślającą się niczego Emmę.

Nie przychodziło mu do głowy, że sprawy mają się dokładnie odwrotnie.

Po wielu próbach zawrócenia samochodu w błotnistym podłożu udało im się w końcu ustawić go we właściwej pozycji i ruszyli wolno w kierunku szosy.

Wszyscy, z wyjątkiem jednego, skarżyli się na okropny smród w aucie.

Koło szopy dróżnika czekało na nich trzech policjantów.

- Zawracaj! - wrzasnął Leon do kierowcy. - Zawracaj natychmiast!

Łatwo powiedzieć! Leśna droga nie stwarzała możliwości dla takich manewrów. Auto w kolorze zupy pomidorowej próbowało się cofać i utknęło ostatecznie w błocie.

Pasażerowie rzucili się do ucieczki, ale policjanci byli szybsi, poza tym, jak się rychło okazało, mieli też przewagę liczebną. Wyłapali uciekinierów, zanim ci zdążyli dobiec do lasu.

- Do cholery! - klęli słudzy prawa, którzy schwytali szarpiącego się rozpaczliwie Leona. - W czym ty się wytarzałeś, człowieku? W ludzkim truchle?

Leon próbował na nich pluć, został jednak sprawnie zakuty w kajdanki i wepchnięty do policyjnego samochodu.

- Co ty tak piszesz, Unni? - spytał Elio. - Pedro chce z nami rozmawiać, pójdziesz?

Wzięła swój kołonoatnik oraz długopis i poszła za nim.

Czwórka przyjaciół zebrała się znowu nad listem dona Felipe.

- Ciekawa jestem, o jakim to skarbie gadał Leon i jego ludzie?

Czy im chodziło o ten tutaj, skarb Santiago? Ten piękny krzyż, na przykład? Z pewnością jest dużo wart.

- Niewątpliwie. Chociaż nie. Takie krzyże można w katolickim świecie znaleźć w wielu miejscach - odparł Pedro. - Nie, szczerze mówiąc, nie wiem, na co oni polują.

- A czy można w tych okolicach znaleźć jakieś zaginione skarby?

- Cóż za pytanie! Mnóstwo, moje dziecko. Mnóstwo! Pamiętaj, że północna Hiszpania została w ciągu dziejów zdeptana wzdłuż i wszerz przez rozmaitych najeźdźców. Pojawiali się tutaj coraz to nowi zdobywcy. Rzymianie, Wizygoci, to znaczy Goci Zachodni, Maurowie... a wszyscy gromadzili nieprzebrane skarby. Aż doszło do tego, że chrześcijanie zaczęli się buntować przeciw Maurom i narzucanemu przez nich islamowi. Tak naprawdę bunty rozpoczęły się w Asturii, w Covadonga.

- Asturia - uśmiechnęła się Unni. - Tę nazwę już znamy.

- Oczywiście. Później Kościół prześladował katarów, a następnie przyszła inkwizycja, która dokończyła dzieła ich zmiżdżenia.

Określenie „katarzy” oznacza ryle samo co heretycy... Tak, no na tym możemy chyba

poprzestać, bo, jak się zdaje, tak zwany skarb Leona pochodzi z czasów rycerzy.

- Ale czy można przypuszczać, że oni szukają jakiegoś konkretnego przedmiotu?

Pedro musiał się zastanowić.

- Mówi się wprawdzie, że Józef z Arymatei zabrał ze sobą świętego Graala do Europy. I że klejnot zaginął gdzieś w Anglii lub w Hiszpanii, może nawet w południowej Francji, w każdym razie ostatnio mieli go katarzy.

- Nie, w świętego Graala to ja nie wierzę - zaprotestował Jordi.

- Jest tak nadużywany w książkach i filmach, że w końcu stało się to śmieszne.

- Owszem, masz rację. W takim razie może to być złoty ptak z Ofir.

- Ofir? Istnieje ten kraj złota?

- Oczywiście. Są tylko kłopoty, gdzie go zlokalizować. Indie, południowa Afryka, Arabia Saudyjska - brać i wybierać! Wszędzie tam Fenicjanie prowadzili handel i sądzi się, iż to oni zabrali bezcenny klejnot z Ofir, złotego ptaka z masywnego złota, wysadzanego szlachetnymi kamieniami.

- Ale to chyba nie to samo co rycerski sokół z Malty?

- Nie, nie, tamten jest o wiele starszy. Ofir zostało wymienione w Starym Testamencie, potem już nigdy. Fenicjanie osiedlili się w Kartaginie, a kiedy Maurowie, przybywając z północnej Afryki właśnie, podbili Półwysep Iberyjski, to znaczy Hiszpanię, przynieśli ze sobą tutaj złotego ptaka. Potem klejnot przepadł, a stało się to w czasie wojny niebywale uzdolnionego mauryjskiego wodza, Almanzora, z chrześcijańskimi rebeliantami w Asturii. Podobno Almanzor był wściekły. Pedro zastanawiał się.

- Istnieje też trzecia możliwość...

Nieoczekiwanie Jordi jęknął boleśnie.

Przerazili się, kiedy zobaczyli, jak on wygląda, musiał bardzo cierpieć, z trudem oddychał, krew odpłynęła mu z twarzy, ale zachowywał przytomność.

- Jordi! - krzyknęła Unni przestraszona i uklękła przy nim. - Nie możesz nas opuścić!

- Jordi - rzekł Pedro z naciskiem. - Rycerze uzdrowili mnie.

Uratowali wielu ludzi, dlaczego ich nie wezwiesz?

- No właśnie - wtrąciła Unni błagalnie. Pedro mówił dalej:

- Zresztą i tak chciałem cię prosić, żebyś wezwał dona Galindo de Asturias. Ale to jest ważniejsze. Wezwij ich, wszystkich pięciu, tu chodzi o twoje życie!

- I pospiesz się - prosił Elio. - Przecież tylko ty możesz to zrobić!

Jordi był w stanie mówić jedynie szeptem:

- Już to robiłem. Oni nie przybędą.

- Nie przybędą... - powtórzyła Unni głucho. - Ale przecież...

- Tak, gdzie oni się podziewają? - spytał Elio. - Już dawno się nie pokazywali. Tylko ten jeden z mieczem, ale on był ostatni.

Jordi nie był w stanie odpowiedzieć. Unni zwróciła się do Pedra:

- Nie masz czegoś na płuca? - spytała gorączkowo.

Pedro zaczął przeszukiwać swoją torbę.

- Już o tym myślałem. Maseczka tlenowa, proszę! Szybko trzeba ją założyć!

Pomagali wszyscy troje. Ręce im drżały z niecierpliwości i lęku, przeszkadzali sobie nawzajem, a Unni była zdumiona własnym zachowaniem. Wydawało jej się, że powinna gorzko płakać, ale tego nie robiła, jej umysł funkcjonował chłodno i trzeźwo. Myśl, Unni, myśl, co należy robić. Myśl!

Pedro wyjął strzykawkę, którą napełnił jakimś lekarstwem.

- Sam zażywałem to wielokrotnie, mam nadzieję, że jemu też pomoże.

- Choć to zabrzmi okropnie, to ja się cieszę, że jest wśród nas człowiek chory - powiedziała Unni.

- Ekschory - skorygował Pedro spokojnie i zrobił Jordiemu zastrzyk. - Szkoda tylko, że działamy tak strasznie po omacku. Kto wie, co pomaga na czarodziejskie trucizny?

Wszyscy jednak stwierdzali, że Jordi nie dyszy już tak ciężko, a jego kaszel nie jest już taki rozdzierający. Leżał wyczerpany, z przymkniętymi oczyma.

Nie opuszczaj mnie, Jordi, prosiła Unni w duchu. Nie mogę cię utracić. Wielki, silny i troskliwy Jordi. Ty, który zawsze myślisz o dobru innych, kto teraz tobie pomoże?

- Nie powinniśmy go jednak mimo wszystko zawieźć do szpitala? - spytała. - Gdybyśmy powiedzieli, że uległ zatruciu gazem?

Sam Jordi potrząsnął głową. Wykrztusił, że nie może jechać do szpitala, bo lekarze natychmiast by stwierdzili, że coś jest nie tak jak należy, poddali go długim badaniom i oględzinom, traktowali go jako obiekt studiów, doszliby do wniosku, że jest istotą nieziemską, może nawet by go zabili, żeby ratować ziemię.

- Nie zmuszajcie mnie, bym przez to przechodził - prosił, dzwoniąc zębami.

- A czego ty sam byś chciał? - spytała Unni, trzymając go za rękę.

- Wrócić do Norwegii - wyszeptał. - Do Antonia! Może rycerze też tam są.

Nikt w to specjalnie nie wierzył, ale poddali się jego woli.

A poza tym lekarstwa Pedra wyraźnie złagodziły cierpienia Jordiego. Na razie zostawili skarb Santiago. Pedro zabrał Jordiego do swego dużo większego pokoju, żeby być pod ręką, gdyby chory potrzebował lekarstwa. Unni najchętniej sama by go doglądała, ale nie

mogła. Ręka, którą trzymała dłoń Jordiego, była już odmrożona.

Papiery nadal leżały na stole.

- Elio, jak sądzisz, mogłabym je przejrzeć?

- Nie wiem - odparł niepewnie. - Jeśli będziesz ostrożna... I nie dotykaj książki, kartki mogą się rozsypać. No to dobranoc!

Unni wyjęła swój kołonoratnik i zaczęła przepisywać arkusz zatytułowany „Teoria Santiago”, bo przetłumaczyć tekstu nie potrafiła, był dla niej za trudny. Kopiowała dokładnie tak, jak było napisane, nie rozumiejąc za wiele. Długo jednak nie mogła tak pracować, pismo było trudne do odczytania, język bardzo staroświecki.

Dała za wygraną i ostrożnie odłożyła papiery na miejsce.

Ukryła skrzynkę pod materacem tak, że na łóżku pojawiło się duże wybrzuszenie, ale co tam. W końcu zamknęła pokój na klucz i poszła do siebie.

Myślała o Jordim i serce jej się ścisnęło. Przekłęci rycerze!

Dlaczego oni wciąż ściągają na nich nieszczęścia? Dlaczego nie przychodzą, kiedy są najbardziej potrzebni?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Unni siedziała w swoim pokoju na krawędzi wysokiego łóżka i machała nogami. Było jeszcze wcześniej i chociaż brak snu dawał jej się we znaki, na razie nie była gotowa się kłaść. Pisać też nie mogła.

Uczucia wciąż wracały do czegoś, czego nie potrafiłaby nazwać.

Podjęmowała rozpaczliwe próby wezwania rycerzy, chociaż wiedziała, że tylko Jordi może to zrobić. Zwraçała się do swojego przodka, dona Sebastiana de Vasconia. W wielkim skupieniu i natrętnie raz po raz powtarzała jego imię.

- Usłysz mnie, szlachetny książę (księciem to on chyba nie był, ale może taki tytuł uczyni go łaskawszym, myślała, zdając sobie sprawę z tego, że to niezbyt piękne postępowanie), don Sebastianie de Vasconia... znaleźliśmy się w wielkiej potrzebie, konieczna jest pańska pomoc. Jedyna miłość mojego życia, Jordi, chyba nas opuszcza. Zwróć mu zdrowie, szlachetny panie! Uratuj go, ja nie potrafię... my nie potrafimy bez niego nic zrobić.

I powtarzała swoje modły wielokrotnie, a tymczasem w mieście domy w tej godzinie zachodu nabierały złocistoczerwonej barwy.

I oto... Nie wiedziała, co to jest, nie umiała zdefiniować, jakby jakaś rozedrgana myśl przeniknęła pokój.

Nateęzała uwagę, jak tylko mogła. Czy to jedynie wytwór jej zmęczonego umysłu, czy...?

„Nie mogę przybyć. Źle! Źle!”

Unni zeskoczyła z łóżka i przestraszona stała na podłodze.

- Tak! To właśnie wyczuwałam! To było to! Źle! Coś ułożyło się strasznie źle!

Atmosfera powoli wracała do normy, owo dziwne rozedrganie ustało. Unni wierzyła i miała nadzieję, że don Sebastian tutaj był i starał się przekazać coś bardzo ważnego pozbawionej odpowiednich zdolności współczesnej osobie. Swojej dalekiej potomkini, obdarzonej odrobiną umiejętności jasnovidzenia.

Nie odważyła się pójść z tym do przyjaciół. Elio i Pedro układają się pewnie na spoczynek, nieprzyzwoitością byłoby do nich wpadać. Postanowiła zadzwonić do pokoju Pedra.

Kiedy podniósł słuchawkę, opowiedziała mu o tym, co się stało, tak szybko, że połykała słowa.

Minęła dłuższa chwila, nim odpowiedział.

- To bardzo dziwne, Unni. Wiesz chyba, że ja mam swego rodzaju kontakt z rycerzami. Nie tak bliski jak Jordi, rzecz jasna, ale jestem jak gdyby numer dwa, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Wygląda mi na to, że ty jesteś numerem trzy. Ja także próbowałem ich wzywać i przeżyłem coś podobnego jak ty. Nie mogą przybyć, nie wiem, dlaczego. Ale mam też weselsze nowiny...

- Jordi? - wykrzyknęła z nadzieją.

- Nie, u niego nie ma żadnej zmiany, natomiast rozmawiałem z Flavią. Rodzina de Navarra czuje się znakomicie i Flavia przyjedzie jutro przed południem, by spotkać Elia na lotnisku w Barcelonie. I przyjedzie z nią też pewien mówiący po hiszpańsku pan, który odwiezie Elia do Włoch. Flavia zaś pojedzie z nami do Norwegii.

Szczerze powiedziawszy, jest to niezbędne, bo sam nie byłbym w stanie siedzieć bez odpoczynku za kierownicą, a przecież ze względu na Jordiego musimy jechać bez przerw.

- O, jak to dobrze - ucieszyła się Unni. - Nareszcie będę miała damskie towarzystwo.

Unni mogła się w końcu położyć. Była śmiertelnie zmęczona, brak snu dawał jej się porządnie we znaki, mimo to zdobyła się jeszcze na szczerą, prostą modlitwę do wszystkich, kto tylko przyszedł jej na myśl: Do Boga, pięciu rycerzy, świętego Jerzego, ponieważ imię Jordi jest odmianą imienia tego właśnie świętego, a także do czarownicy Urraki, wszelkich możliwych istot nadprzyrodzonych, do długiego szeregu świętych, archaniołów i na koniec do własnego Anioła Stróża. Błagała wszystkich, by uratowali Jordiego, zabliznili rany na jego ciele. Bo co by było, gdyby Jordi umarł? Jakby wtedy wyglądało jej dalsze życie? Byłaby to niekończąca się pustka, droga bez celu.

Zasnęła z myślą „Źle! Źle!” Było to w najwyższym stopniu frustrujące.

Następnego ranka stan Jordiego się ustabilizował. Wszyscy wstali wcześniej i siedzieli już w jadalni, kiedy zeszła zasnana Unni. Ale mój Boże, jak ten Jordi wyglądał! Uśmiechnął się wprawdzie do Unni tym swoim przyjaznym, jakby pospiesznym uśmiechem, ale ona się przestraszyła. Pedro i Elio podawali mu jedzenie, widać było bowiem, że kelnerki patrzą na niego z lękiem.

Jeśli można mówić, że ktoś został naznaczony śmiercią, to to był właśnie ten przypadek. Wyglądał teraz gorzej niż tamtego dnia, kiedy spotkali go w Stryn. Rozgorączkowane oczy płonęły, policzki miał zapadnięte pod wystającymi kośćmi, a wzrok jakiś bezradny, desperacki, twarz trupio bladą. Cała postać przypominała Śmierć.

Wszystko, co dla niego w ostatnich czasach zrobili, by go wzmocnić i postawić na

nogi, zniszczył ogień ciśnięty przez Wambę.

Ale dla Unni Jordi nigdy jeszcze nie był taki pociągający.

I jeszcze raz pomyślała: muszę chyba być szalona. To jakaś perwersja odczuwać taki pociąg do anioła śmierci. Nie domyślała się, że to jego rozpaczliwa sytuacja tak na nią działa, apeluje do jej współczucia. Jej miłość trwała niezłomnie od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyła go na pewnym lotnisku. Teraz, kiedy siedział przed nią taki złamany, taki przeraźliwie samotny, odezwały się też inne uczucia. Właśnie współczucie, zrozumienie. Poczucie wspólnoty. Pragnienie, by móc stać u jego boku niezależnie od tego, co z nim będzie.

I męczyło ją to, że nie potrafi do końca rozeznąć się w jego uczuciach. A Unni nie należała do tych kobiet, które potrafią zapytać wprost. Na to miała za wiele autokrytycyzmu i zbyt duży kompleks niższości.

Och, świetnie wiedziała, że człowiek nie powinien się zakochiwać w kimś, kogo dobrze nie zna, ale tak właśnie zrobiła wiele lat temu na tamtym lotnisku. Każdy może przecież mieć wiele złych cech, które dopiero z czasem wychodzą na jaw, ale ją ujęła i oczarowała wewnętrzną dobroć wypisana na jego twarzy, całkiem niezależnie od jego wyglądu.

A teraz Jordi potrzebował jej bardziej niż kiedykolwiek. I Unni chciała przy nim być, chciała pozostać przy nim na zawsze.

- Czas nagli, musimy ruszać jak najszybciej - powiedział Pedro, gdy wszyscy siedzieli już przy stole. - Z papierami Santiago, czy raczej don Felipe, musimy poczekać na jakąś spokojniejszą chwilę. A ja zapewniam, że ukradkiem do nich nie zaglądałem, nawet do drzewa genealogicznego, choć to takie kuszące. Musimy dojechać do lotniska w Barcelonie na czas.

- Czy jednak mogę zjeść swoje płatki do końca? spytała Unni.

- Oczywiście! Czy wszyscy mogą zjawić się przy samochodzie za dwadzieścia minut?

Zdążyli. I podróż na wschód, w stronę Morza Śródziemnego, mogła się rozpocząć.

Trudno było się żegnać z Eliem, zdawali sobie bowiem sprawę, że prawdopodobnie więcej go nie zobaczą. On jednak nawet słyszeć o tym nie chciał. Przede wszystkim domagał się, by go informowano o postępach spraw, co akurat rozumieli. To przecież także jego historia. Był bliższym krewnym Santiago niż rodzina w Norwegii i był też najstarszym potomkiem rodu de Navarra z tamtych tajemniczych lat. Chętnie zostałby z całym towarzystwem do końca tej niezwyklej przygody, ale na zbyt długo już opuścił własną rodzinę. Teraz to oni najbardziej go potrzebują. W końcu Pedro obiecał utrzymywać z nim

kontakt telefonicznie, przyrzekł, że wezwie Elia natychmiast, gdyby jego wsparcie było konieczne.

I z tą obietnicą się rozstali.

Miejsce Elia zajęła Flavia.

Unni musiała siedzieć na przedzie, obok Pedra, by nie być za blisko Jordiego. A Flavia nie przestawała mówić. Pytała i dyskutowała, chciała znać całą historię do najdrobniejszych szczegółów, a równocześnie zajmowała się swoim starym przyjacielem, Jordim, tak, że Unni ogarniał wstyd.

Dlaczego to ja nie wpadłam na pomysł, żeby go otulić kocem?

Dlaczego nie poiłam go gorącą, dodającą sił kawą z termosu?

Dlaczego nie miałam dla niego pożywne drugie śniadanie?

- O, jak ja wam zazdroszczę tej podniecającej wyprawy do starej posiadłości! - westchnęła Flavia.

Pedro, który z wielką czułością powitał ją w Barcelonie, teraz śmiał się z niej.

- Ty, Flavio, na takiej wycieczce? Ty byś się martwiła połamanymi paznokciami i tym, że kolczaste krzewy podrą ci kosztowne ubranie, a kamienie na drodze zniszczą piękne buty na wysokich obcasach. Ty byś zalała las strugami perfum, żeby zlikwidować odór Wamby, a poza tym byłabyś śmiertelnie przerażona wszystkim, co żyje w lesie i co wybiega na twoją drogę.

Stałabyś się bardzo łatwą zdobyczą dla Leona i jego kompanów.

- W takim razie ty mnie wcale nie znasz - powiedziała elegancka Włoszka nieco urażona. - Kiedy naprawdę trzeba, jestem silna.

- Wiem o tym. Tak tylko się z tobą droczę. Flavia przybrała trochę na wadze, od kiedy widzieli ją po raz ostatni, ale wyglądała i tak znakomicie. Niebywale wytworna i zadbana, z długimi rzęsami nad ciemnymi oczyma. Niebieskawoczarny kolor włosów musiał chyba powstać pod ręką doświadczonego fryzjera, ale to nic nie szkodzi. Unni uważała, że rzeczą naturalną jest, iż kobiety starają się ująć sobie trochę lat. Jej matka również zaczęła malować siwiejące włosy i to czyniło ją o kilka lat młodszą. Unni nie mogła raczej zrozumieć, dlaczego mężczyźni tego nie robią, dlaczego tak uparcie trwają przy naturze? Czy to bardziej męskie? Głupstwa!

Flavia dowiadywała się o samopoczucie swego pasierba, Mortena. Zgodnie z ostatnimi raportami, chłopak czynił wielkie postępy. Chodząc, używa już tylko laski.

Miło będzie znowu zobaczyć Mortena, pomyślała Unni zaskoczona. Zaskoczona tym, że tak całkiem zapomniała o swoim dawnym świecie. O życiu w Norwegii. Teraz ono znowu

do niej wraca, jakby idzie jej na spotkanie, kiedy ona wraca samochodem do domu.

Spontanicznie odwróciła się i wyciągnęła rękę.

- Jordi, teraz wyjeżdżamy z Hiszpanii. Ale ja bardzo bym chciała znowu zobaczyć twój kraj - jak najszybciej!

- Obawiam się, że zbyt szybko - mruknął Pedro. Ale Jordi ujął jej rękę i uśmiechnął się.

- Dziękuję ci, Unni! Wiedziałem, że polubisz Hiszpanię. Antonio przynależy jakby bardziej do Norwegii, ale ja chyba bardziej tutaj.

Chociaż i w Norwegii czuję się dobrze. Wiesz, to pewnie wrodzone.

To coś, co człowiek czuje w głębi, gdzie tak naprawdę jest jego dom.

- Tak. Ale ja nie mogłabym powiedzieć, że Chile to jest ten kraj, który noszę w sercu.

- To coś całkiem innego. Ty przyjechałaś do Norwegii jako niemowlę.

- Jordi, mam wrażenie, że wyglądasz trochę zdrowiej. Nie odpowiedział jej na to, odwrócił głowę i patrzył przez okno. I Unni pojęła, jak wiele wysiłku kosztowało go to, by rozmawiać z nią normalnie. Krótco ucisnęła jego rękę i powróciła do normalnej pozycji. Zaczął mówić Pedro:

- Najpierw zastanawiałem się, czy by nie pojechać inną drogą i nie wyprowadzić Leona w pole, gdyby się przypadkiem za nami wybrał. I wtedy moglibyśmy jechać przez Albi w południowej Francji, gdzie w trzynastym wieku miała miejsce tragiczna wojna przeciwko katarom. Uświadomiłem sobie jednak szybko, że Jordi nie ma czasu na objazdy.

- Kim właściwie byli katarzy? - Chrześcijańską sektą, jeśli tak to można określić.

Około roku tysięcznego przybyli ze wschodu i ich nauka rozprzestrzeniała się w Europie Zachodniej. Byli cierniem w oku władzy papieskiej, ich nauka bowiem pozostawała w ostrej sprzeczności z nauczaniem Kościoła katolickiego. Odrzucali między innymi cały Stary Testament...

- Moim zdaniem to nie takie dziwne - powiedziała Unni. - Cały Stary Testament mówi przecież o tym, że należy się przypochlebiać drażliwemu i mściwemu Bogu. Nowy Testament jest znacznie bardziej wiarygodny, tak uważam.

Pedro pozostawił jej słowa bez komentarza.

- Papież Innocenty Trzeci prowadził bezlitosną wojnę z katarami, którzy naprawdę stanowili zagrożenie dla atakowanej wiary. Później walczyła z nimi inkwizycja, a gwoździem do ich trumny stało się odnowienie dominikańskiej reguły zakonnej.

Najcięższe walki toczyły się wokół miasta Albi, zresztą tutejszy odłam katarów nazywany bywa albigenami. Trudno zliczyć, ilu ludzi zostało spalonych w domach lub na

stosach, ilu torturowano i mordowano na wszelkie bestialskie sposoby. W końcu władza papieska zdołała ich pokonać, choć całkiem nie zdławiła. Ich wiara przetrwała wiele stuleci i była potajemnie wyznawana w całej Europie.

- I to oni w swoim czasie posiadali świętego Graala?

- Tak mówiono. Nadal każdego roku tysiące pielgrzymów odwiedzają ruiny zamku w Montsegur, w południowej Francji, wierzą bowiem, że Graal znajduje się w głębokich grotach pod zamkowym wzgórzem, gdzie ukrywali się ostatni katarzy. Ale mówi się też, że kielich znajduje się w Montsalvy, niedaleko Albi, lub w hiszpańskim klasztorze Montserrat, tu w pobliżu. W każdym razie, drodzy przyjaciele, znajdujemy się na obszarze, na którym ma przebywać święty Graal.

- Ale ty nie wierzysz, że to święty Graal jest tym skarbem, którego szuka Leon?

- A jeśli naprawdę on szuka kielicha, to jest głupi. Bo święty Graal nie istnieje. To tylko legenda, na której, na przykład, zbudowany został cały krąg opowieści o królu Arturze.

Wszyscy pograżyli się w rozmyślaniach. Po jakimś czasie Flavia zamieniła się miejscami z Pedrem i samochód przyspieszył. Unni, która nadal siedziała z przodu, musiała się mocno trzymać. Ależ ta kobieta prowadzi! Czy policja byłaby równie zachwycona, to już całkiem inna sprawa.

Jordi dużo spał albo wyglądało na to, że śpi, oparty o drzwi samochodu. Unni podejrzewała, że on tylko odpoczywa, ludzie śpiący bowiem otwierają usta, Jordi zaś tego nie robił. Może zresztą męczyło go nieustanne gadanie Flavii i Pedra? Unni nie spuszczała z niego oczu, wdzięczna losowi, gdy widziała, że jego klatka piersiowa się porusza.

Pędzili przez Europę na północ. Jechali dzień i noc, sypiali na zmiany tak, by zawsze ktoś przytomny siedział za kierownicą. Gnali przed siebie, zatroskani o stan Jordiego. Tylko raz się zatrzymali, żeby odpocząć w ludzkich warunkach choćby kilka godzin, wykapać się i doprowadzić do porządku. Miało to miejsce w eleganckim pensjonacie w Niemczech. Pedro i Flavia przyzwyczajeni byli do luksusu, ale Unni i Jordi czuli się tu nie bardzo na miejscu i w ogóle niepotrzebnie rozpieszczani. Unni bała się, że później nie zdoła się przyzwycząić do prostych hotelowych pokoi. Oczywiście, jak się nie ma, co się lubi i tak dalej, ale wspomnienia, porównania pozostaną niczym u jakiegoś snoba. No cóż, człowiek nie jest doskonały.

Nie, no Unni daleko do wszelkiej dekadencji!

Podczas przerwy w podróży znaleźli nareszcie możliwość, by w spokoju przejrzeć skarb Santiago.

I Unni mogła mieć czas, by pisać porządnie podczas jazdy, a nie bazgrać jakieś słowa

- klucze w swoim notatniku.

Reszta towarzystwa śmiała się szczerze z jej pisaniny i nieustannie dopytywała, co to takiego. Pamiętnik? Powieść?

Nie, to nic specjalnego, odpowiadała zwykle Unni lekkim tonem.

To taka jej drobna prywatna sprawa, nawet Jordiemu nie powiedziała, czym się zajmuje.

Z czasem pewnie o tym opowie, a wtedy wszyscy będą zaskoczeni, co do tego nie miała wątpliwości.

JEDNOCZEŚNIE

Czarne kaptury aż drżały z podniecenia, gdy mnisi obserwowali wysiłek dźwigających.

„Oni to mają! Oni to mają!”

„Wydobyli to z ziemi”.

„To jest nasze, my to powinniśmy mieć!”

„Nie można, nie można, na tym są takie okropne rzeczy!”

„Nie możemy się nawet zbliżyć, za dużo świętych wizerunków”.

„Co tam święte wizerunki, tym się wcale nie przejmujemy! To znak nas powstrzymuje”.

„Znak! Musimy natychmiast usunąć pokrywę ze znakiem!”

„Plan, bracia! Musimy opracować pian!”

„Zatrzymali się, już nie jadą dalej tym przeklętym powozem bez koni, szybszym od wiatru. Zmusimy ich, by usunęli pokrywę!”

„Może dziewczyna?”

„Nie! - wrzasnęło siedmiu pozostałych głosami przestraszonych ptaków. - Nie! Tylko nie dziewczyna! Ona jest niebezpieczna. Ona jest silna!”

„To może ten chory? Ten, którego szacowny Wam - ba prawie zmiądzzył?”

„Nie, ten jest dwa razy taki groźny. Czy może nie uśmiercił Wamby?”

„I pamiętajcie, bracia, że on ma znak na ramieniu!”

88”No to kto? Kobieta? A może ten stary?” „Tak, wybierzmy raczej któreś z nich!”
Odlecieli niczym stadko ptaków. Dali się unosić wiatrowi ponad Niziną Niemiecką.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy ulokowali się w małej salce konferencyjnej hotelu każde ze swoją szklaneczką miejscowego białego wina w dłoni, Jordi powiedział:

- Chyba najpierw powinniśmy przeczytać list don Felipe?

Stan Jordiego poprawił się na tyle, że mógł już sam siedzieć w fotelu, ale innych oznak zdrowienia nie było widać.

Pedro rozłożył arkusz.

- Owszem, skandaliczną książkę zostawimy na koniec. Niech sobie grzeszna Estella na razie spoczywa w pokoju. No więc czytam dalej:

„Wielki krzyż, który należał do brata Jorge, ułożyliśmy na dnie jako ochronę przed owalnym pudełeczkiem. Mały krzyżyk...” A co to znowu za mały krzyżyk?

- To jedna z zapakowanych rzeczy - podpowiadała mu chętna do pomocy Unni.

Pedro pomacał zbutwiały jedwab na wszystkich trzech paczuszkach, skinął głową i otworzył jedną z nich. Jedwab się rozsypywał pod jego palcami, choć dotykał go przecież bardzo ostrożnie.

- Tutaj mamy mały krzyżyk, tak jest. Co mówi o nim don Felipe?

- Pedro wrócił do listu: „Mały krzyżyk i wianuszek z róż...” Musi być w drugim pakiecie, zdawało mi się, że wyczułem coś takiego. Otóż to, tutaj, trzeci pakiet jest za mały.

Pedro wysupłał z jedwabiu czarny wianuszek z róż, bardzo piękny, jak zwykle bywają dzieła sztuki z dawnych czasów. Unni po raz kolejny zadawała sobie pytanie, które wielu ludzi stawia: Jak to się działo, że w odległych epokach ludzie mogli siedzieć i pracowicie wyrabiać takie cuda, nawet przeznaczone do całkiem zwyczajnego użytku? I to bez elektrycznego światła, bez tych wszystkich dostępnych dzisiaj technicznych ułatwień, kiedy wszystkie czynności trzeba było wykonywać ręcznie, powoli i z wysiłkiem, niszcząc sobie przy tym ręce i zdrowie. Natomiast dzisiaj, gdy wystarczy nacisnąć jeden czy drugi guzik, na nic nie mamy czasu.

Ten paradoks jest i pozostanie niepojęty.

Pedro czytał:

„I mały krzyżyk, i wianuszek z róż są skalane. Należały do bezwstydney Estelli, muszą więc być traktowane jako narzędzia szatana i zakopane w ziemi na zawsze”. No i na tym don Felipe kończy swój list, dalej są tylko eleganckie formułki grzecznościowe i różne takie.

Odłożył arkusz i sięgnął po następny.

- Tak, tutaj mamy drzewo genealogiczne, ale spisane w odmienny sposób. Don Felipe czy ktoś inny dołączył do każdego imienia komentarz w postaci krótkiego opisu odnośnej osoby.

- No to wspaniale! - ucieszyła się Flavia.

- Oczywiście! Będziemy mogli na tej podstawie sporządzić prawdziwe drzewo genealogiczne, ale strzeżcie tych papierów, bo są bardzo ważne. Jak widzę, autor cofa się w przeszłość, zaczyna od najmłodszych, od swoich synów Santiago i Enrica. No tak, to musiał napisać don Felipe.

Kiedy skończyli czytać, przystąpili do układania drzewa genealogicznego, wykorzystując informacje, jakie don Felipe spisał o swojej rodzinie, oraz o przodkach. Wszyscy się zdumiali, jak daleko w przeszłość sięgała jego wiedza. Żeby dzieje rodu połączyć w jedną całość, sami dołożyli pokolenie Any, Margarity i Elia. Moje, don Felipe, krótkie zapiski na temat naszego rodu:

Moi ukochani synowie: Santiago, spokojny. Santiago wiele rozmyśla, przypuszczałnie o swoim gorzkim losie i o tym, jak można by zapobiec przeznaczeniu. Czasami pozwala, by radość i ożywienie nad nim zapanowały, dzieje się to wówczas, gdy myśli, że udało mu się znaleźć jakieś rozwiązanie albo wyobraża sobie, że to tylko taka baśń. Och, żebyż mogło tak być! Mój nieszczęsny syn. Muszę go uratować.

Enrico, zwany dobrym. Czyż to nie mówi wszystkiego o moim młodszym synu? On życzy szczęścia każdemu, ludziom i zwierzętom, w jego sercu jest miejsce dla wszystkich.

Moja siostra, Cristina. Ona nie wierzyła w przekleństwo. Ale to ona zwróciła mi uwagę na małe, owalne pudełeczko. Ku zgrozie naszej matki, Cristina przeczytała wyuzdaną książkę Estelli, w której właśnie jest mowa o niebezpiecznym pudełeczku. Kiedy więc się o nim dowiedzieliśmy, mogliśmy podjąć kroki przeciwko jego śmiertelnośnemu działaniu. My, mama i ja, czuwaliśmy przy łożu śmierci Cristiny. Ale w pewnym momencie coś się stało, oboje utraciliśmy świadomość czy też może zasnęliśmy. Tylko niezmiernym wysiłkiem woli udało mi się wrócić do przytomności, i wtedy zobaczyłem pudełko stojące na nocnym stoliku Cristiny.

Natychmiast rzuciłem na nie krucyfiks tak, że musiało pozostać na swoim miejscu. Wtedy jednak moja biedna siostra już nie żyła i mógłbym przysiąc na Biblię, że widziałem, jak coś mrocznego ucieka ku drzwiom. To, oczywiście, przywidzenie, ale wtedy było takie rzeczywiste, takie straszne!

Oboje z mamą zdołaliśmy unieszkodliwić pudełko, obstawiając je mnóstwem świętych obrazków, a ja wryłem na wieczku nasz ochronny znak. To miało zabezpieczyć

przyszłość Santiago, a także przyszłość potomstwa Enrico”.

- Jego nadzieje, niestety, się nie spełniły - westchnął Jordi. - Tylko że przedtem nigdy o tym pudełku nie słyszeliśmy.

- Rzeczywiście - potwierdził Pedro. - I Elio najwyraźniej też nie.

W każdym razie mamy odpowiedź na pytanie, dlaczego wyryto na tym pudełeczku znak rycerzy. Nigdy bym nie uwierzył, że może ono być częścią czegoś złego.

- Moi zdaniem powinniśmy być posłuszni ostrzeżeniu don Felipe - rzekła Flavia z powagą. - Absolutnie nie wolno otwierać tego pudełeczka.

- Teraz nie - zgodził się z nią Jordi. - Ale Antonio ma dostęp do laboratoriów. Sądzę, że jeśli się spełni wszelkie warunki bezpieczeństwa, będziemy mogli poznać przynajmniej część jego zawartości.

Reszcie nie podobał się ten pomysł, na razie jednak mogli odstawić fatalne znalezisko na bok. Pedro wrócił do przeglądania papierów.

„Ojca mojego, dona Pablo, nigdy nie znałem. Umarł w tym samym roku, w którym ja się urodziłem. Mama opowiadała mi, że miał bardzo trudne dzieciństwo. Oboje rodzice obdarzeni byli żelazną wolą. Zresztą matka ojca, dona Inez, osierociła go, kiedy miał pięć lat, zmarła w wyniku przekleństwa jako osoba zaledwie dwudziestopięcioletnia, i chłopiec został sam ze swoim niezbyt miłym ojcem, Agosto d'Escobarem. Był to zarozumiały snob, domowy tyran, który źle traktował podwładnych w posiadłości. Poza tym tak nieudolnie prowadził swoje interesy, że wkrótce musiał opuścić majątek...”

- A więc to tak toczyły się losy rodu - rzekł Jordi. - A później don Felipe próbował to wszystko odtworzyć. Zatem Agosto d'Escobar był jego dziadkiem.

- To się zgadza. Don Felipe często wspomina swoją matkę, nigdy jednak nie było nic o niej wiadomo. Coś mi jednak mówi, że to ona wniosła rodowi dom w Granadzie.

- Bardzo prawdopodobne - zgodził się Jordi. - Czytaj dalej!

„Ojciec donii Inez, młody don Esteban, miał przydomek dzielny, ponieważ walczył z Francuzami tutaj, w Nawarrze. Tutaj też zginął w wieku dwudziestu pięciu lat. I mówiono, że jeden z żołnierzy widział czuwający nad umierającym Estebanem czarny cień. Wyglądało na to, jakby ten cień coś młodzieńcowi dawał. Tylko że inni żołnierze niczego nie zauważyli”.

- No i znowu to samo - wtrąciła Unni gorączkowo. - My, biedni nieszczęśnicy, którzy od czasu do czasu doświadczamy czegoś ponadnaturalnego, nigdy nie możemy tego potwierdzić. Jest bardzo niewiele tego rodzaju wydarzeń, które mają licznych świadków.

Pedro nie skomentował jej wybuchu.

„Tamten żołnierz jednak twierdził także, że Esteban otrzymał jedynie powierzchowną

ranę. Nie powinien był umrzeć, ale tak się właśnie stało, i doszło do tego wówczas, gdy siedział przy nim ów cień”.

- Uff - zadrżała Unni. - Nie chcę mieć przy sobie żadnego mistycznego cienia, kiedy będę umierać!

- Nie będziesz miała, nie bój się - obiecał Jordi. Pedro czytał przez chwilę tylko dla siebie, potem podniósł wzrok.

- Tutaj jest mnóstwo nazwisk, które w gruncie rzeczy nic nie mówią, więc je sobie darujemy. Zaraz pojawia się jednak interesujące towarzystwo. „Rodzeństwo Estella i Juan byli naznaczeni przez diabła. Ale nie żyli w tym samym czasie, Juan urodził się w dziesięć lat po śmierci Estelli”. Wrócimy jeszcze do niego później, gdyby się to okazało konieczne. To przecież Estella napisała tę fatalną książkę, którą mamy w skrzyni. Czytam dalej:

„Ich ojciec, don Sevastino krwawy, nigdy nie przebywał w domu.

Nieustannie walczył. Jeśli tylko gdzieś toczyła się wojna, mała czy duża, rzucał się do boju wszystko jedno z kim. Walczył mieczem, im bitwa bardziej krwawa, tym lepiej. Nic więc dziwnego, że dzieci, które, rzecz jasna, miały różne matki, rosły jak dzikusy!

W końcu trzeba było donę Estellę oddać do klasztoru. A czas był najwyższy, nie można jej było pozwolić na więcej skandali. Estella umarła w klasztorze w wieku dwudziestu pięciu lat. Mówiono, że w noc, kiedy konała, sam Zły znajdował się w jej klasztornej celi, przybył jako wysoka, chuda, ubrana na czarno postać.

Choleryczny ojciec Estelli, don Sevastiano krwawy, żył niezasłużenie długo. Przekleństwem został dotknięty jego starszy brat, łagodny Jorge, który odbywał nowicjat w klasztorze benedyktynów San Salvador de Leyre, niedaleko stąd. Pewnego ranka został znaleziony martwy w swoim spartańskim łożu. Właśnie skończył dwadzieścia pięć lat.

Wcześniejsza historia rozplywa się w mroku. Długie szeregi imion aż do legendarnego don Ramiro de Navarra, rycerza, który przyczynił się do tego wszystkiego wraz z czterema swoimi towarzyszami broni, czy kim oni tam byli.

Santiago mówi, że widział owych pięciu rycerzy. Podobno mieli się też ukazywać donowi Estebanowi dzielnemu. Nie wiem, co to znaczy.

Możliwe, że przodkowie zostali dokładniej opisani w książce grzesznej Estelli, ale nie odważyłem się na więcej, niż pobieżne zerknięcie na karty tego dzieła. Jest to coś tak obrzydliwego, że każdego przyzwoitego człowieka musi odpychać. Ja sam najchętniej spaliłbym książkę, ale matka mi zabroniła. To dokument wcześniejszej historii naszego rodu, powiedziała. Nie pojmuję jednak, w jaki sposób te wstrętne, wyuzdane opowieści miałyby sprawić przyjemność naszym następcom”.

- A więc don Felipe nie przeczytał całej książki - stwierdził Pedro.

- Daj no ją, daj ją - mruczała Unni pod nosem. Pedro uśmiechał się.

- Jeszcze zdążysz przeczytać. Wszyscy ją przeczytamy, ale ostrzegam, wygląda na to, że nie będzie to łatwa lektura. Na ile ty właściwie znasz hiszpański? Nie wzbudisz naszego zachwytu, jeśli co pięć minut będziesz pukać do czyichś drzwi, by zapytać o znaczenie jakiegoś słowa.

- Co pięć minut? - roześmiała się Unni. - Naprawdę wierzycie, że będę przychodzić tak rzadko? A poważnie mówiąc, to przecież istnieją słowniki.

- Ja ci pomogę - obiecał Jordi. Unni zerknęła na niego zamyślona.

- Chyba nie chciałabym czytać jakichś obrzydliwych historii w twoim towarzystwie.

Wszyscy się roześmiali.

- Ale nareszcie mamy pełne drzewo genealogiczne - przypomniał Pedro i ostrożnie odłożył papiery na miejsce. - Bardzo mnie to cieszy.

- I mamy jeszcze coś bardzo wartościowego - dodał Jordi. - Rok śmierci dona Ramiro. Tysiąc czterysta osiemdziesiąty pierwszy.

- No właśnie - przytaknęła Flavia. - Wiemy dokładnie, kiedy się wydarzyły te straszne rzeczy.

- I, drodzy przyjaciele, było to już po tym, jak Ferdynand i Izabella zjednoczyli większą część Hiszpanii - oznajmiła Unni.

- Wiemy ponadto coś, nad czym się tak długo zastanawialiśmy: działo się to mniej więcej w tym samym czasie, gdy Tomas Torquemada został wielkim inkwizytorem - zakończył Pedro.

- Czy myślicie, że on uczestniczył w torturach i morderstwie dokonanym na rycerzach?

- Nie, ale jego duch się nad tym unosi. Mnisi musieli otrzymać jego najszczęszone błogosławieństwo dla swoich barbarzyńskich praktyk.

Unni rozmarzyła się.

- Myślicie, że don Ramiro był katarem?

- Nie, nie, katarzy zostali wytepieni sto lat wcześniej. Ale jego przodkowie mogli być, nic o tym nie wiemy, choć i tak powinniśmy się cieszyć wspaniałym rezultatem poszukiwań.

Spotkanie dobiegło końca.

Unni i Flavia szły razem w stronę swoich pokoi. Perfumy eleganckiej Włoszki miały silny zapach. Wychowana w Skandynawii Unni nie przywykła do takich wyrazistych woni.

- Podziwiam cię za twoją odwagę - powiedziała Flavia ciepło.

- Za odwagę? - spytała Unni ze zdumieniem.

- Że tak wiernie trwasz u boku Jordiego. Nie jest to przecież zwykły towarzysz. Muszę przyznać, że dostaję gęziej skórki, kiedy na niego patrzę.

- Dla mnie on jest po prostu najodpowiedniejszy - odparła Unni z prostotą. - I nigdy nie było nikogo innego.

- Jesteś jeszcze taka młoda - uśmiechnęła się Flavia ze smutkiem. - Z pewnością odkryjesz kiedyś, że istnieje wielu „najodpowiedniejszych”.

Unni potrząsnęła głową.

- Uwierz mi - powiedziała Flavia. - Ja to wiem. No tak, ona musiała coś takiego odkryć. Najpierw wyszła za ojca Mortena, a teraz ona i Pedro są w sobie zakochani.

- Mówię to tylko na wypadek, gdybyś miała go stracić, Unni.

Życie Jordiego wisi przecież na włosku, poza tym naprawdę nie jest to najbardziej normalny człowiek, jakiego można sobie wyobrazić.

- Wiem - bąknęła Unni z pochyloną głową. Była bardzo zgnębiona. - Ale on mnie potrzebuje, a i ja nie potrafiłabym bez niego żyć, choć traktuje mnie jak młodszą siostrę.

- Naprawdę tak cię traktuje? - zdziwiła się Flavia.

- Możesz mi wierzyć, w jego stosunku do mnie nie ma nic romantycznego!

Flavia roześmiała się.

- Ach wy, Skandynawowie! Jeśli sądzicie, że w waszym wzajemnym stosunku nie ma nic romantycznego, to jesteście ślepi!

To przecież takie piękne!

- Naprawdę? Dla mnie ta cała sprawa to tylko czarna rozpacz i płomienna tęsknota. Czasem mnie jedynie po bratersku pogłaszczę po głowie, a wtedy to jest tak... jak bym musiała kielich goryczy wychylić do dna. Mimo to mojej miłości on może być pewien.

- Ale powinnaś mu ją okazywać!

- Nie, nie odważyłabym się. No i widzisz, nie jestem taka dzielna, jak myślałaś.

- Dzielności ci nie brak, okazałaś to w ostatnich dniach. Brak ci natomiast wiary w siebie.

- Powiedziałaś mi tyle pięknych słów - westchnęła Unni z uśmiechem, kiedy już się żegnały przed drzwiami jej pokoju.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tutaj, w pensjonacie, było oczywiste, że stanowią dwie pary.

Pedro i Flavia trzymali się razem, a kiedy Jordi napomknął, że chciałby się trochę rozruszać, przejść się po okolicy, wydawało się wszystkim sprawą naturalną, że to Unni dotrzyma mu towarzystwa.

Po to, by o niego zadbać, ale też i dlatego, że ma na to ochotę. On też pragnął takiego właśnie rozwiązania.

Ze względu na stan Jordiego szli bardzo wolno. Rozmarzeni i zamyśleni rozmawiali o ostatnich wydarzeniach i nie zauważyli, jak bardzo oddalili się od pensjonatu. Przyglądali się płaskim łodziom i tratwom, które szybko pływały po szarej, połyskującej Wezerze, i nie myśleli o odległości, dopóki Jordi nie stwierdził, że jest zmęczony.

Usiedli na trawie przy alejce. Ostrożnie, by nie pognieść delikatnych kwiatków.

- Oj, wcale nie widzę naszego pensjonatu! - wykrzyknęła Unni przestraszona. - Gdzie my właściwie jesteśmy?

Jordi oddychał z trudem.

- Myślałem, że jestem w dobrej formie - szepnął. - Nagle jednak zabrakło mi powietrza.

- Odpocznijemy tu trochę - rzekła Unni lekko, by pokryć niepokój. Kogo miałyby prosić o pomoc, gdyby coś się stało? Tutaj, nad rzeką, nikogo nie widziała, a wzywanie ludzi na łodziach byłoby pewnie beznadziejne.

Na szczęście Jordi jakoś dochodził do siebie, oddychał nieco bardziej normalnie, choć nadal był bardzo blady, niemal siny.

Musieli czekać, aż odzyska siły. Nagle Unni się wyprostowała.

- Jordi - szepnęła. - Rycerze!

Poszedł za jej wzrokiem. W oddali, na brzegu rzeki, rycerze siedzieli na koniach.

- Ile razy widzieliśmy ich gdzie indziej niż na brzegu rzeki? - zastanawiała się. - Ale dlaczego oni nie podjadą bliżej? Wyjdę im na spotkanie - zdecydowała i podniosła się z miejsca.

- Tak, idź - zgodził się Jordi, z trudem łapiąc powietrze. - Akurat w tej chwili ja nie mogę.

Gdy jednak Unni zrobiła parę kroków w kierunku brzegu rzeki, rycerze zniknęli. Stała rozczarowana.

- Najwyraźniej na ciebie czekali - westchnęła. Jordi wstał z wysiłkiem i ruszył przed siebie. Ale rycerzy nie było i nie pokazali się więcej.

Nad uśpionym pensjonatem trwała noc.

Flavia poruszała się niespokojnie.

Jakieś szepczące głosy, obrzydliwie przymilne:

- Weź to od niego! Zdejmij wieczko i wyrzuć je! Wieczko jest niebezpieczne!

We śnie wiedziała dokładnie, o co im chodzi. Głosy mówiły o eleganckim kremie do rąk należącym do Pedra. Pudełko ze srebrnym wieczkiem. Znajdowało się w jego pokoju, na dnie jakiejś starej skrzynki. Dlaczego srebrne wieczko miałoby być niebezpieczne? Czy użyto niewłaściwego środka do czyszczenia? Są środki do czyszczenia srebra z trującymi składnikami. I gdyby Pedro polizał wieczko... są przecież ludzie, którzy lubią lizać takie rzeczy, prawda?

Kto to taki stoi nad jej komodą i grzebie w jej rzeczach? Ubrany na czarno? I łysy! Wśród towarzyszy podróży nie ma nikogo łysiego.

Uff, cóż to za okropna istota! Wysoka, chuda, pochylona w jakiś taki odpychający sposób, niczym demon z otchłani, czający się na ludzkie dusze! Nie odwracaj się! Nie chcę cię widzieć!

Powinna pójść do pokoju Pedra. W takim razie jednak będzie musiała przejść obok tego okropnego intruza...

Nieprzyjemne podejrzenie mówiło jej, że on nie jest sam. W jej pokoju znajdowało się więcej takich istot. Jeśli odwróci głowę, to je zobaczy. A ona nie chce.

Pedro także miał sen. Straszny sen, że musi wyjść z pokoju i zamordować tych dwoje młodych, z którymi podróżuje. Nie podobał mu się ten pomysł, ale głos, który do niego przemawiał, był taki sugestywny.

Przed chwilą jednak śniło mu się coś całkiem innego. To znaczy nie wiedział, że mu się to śniło, ale słyszał wstrętny głos, który starał się go przekonać, by otworzył skrzynię, zdjął wieczko ze znakiem i wyrzucił je do rzeki.

Pedro był z natury mężczyzną bardzo honorowym, nie potrafił działać wbrew własnym przekonaniom, nawet we śnie czy w stanie hipnotycznym, w jakim się teraz znajdował, więc się nie ruszył.

Dosłownie wszystko się w nim burzyło. Zabić ludzi? Na dodatek ludzi, których lubił? Nie, są granice poleceń i nakazów!

Ten, do którego należał głos, zdawał się rozumieć, że z tym obdarzonym wrażliwym sumieniem urzędnikiem daleko nie zajedzie, zmienił więc taktykę, stał się jeszcze bardziej

przymilny.

„Wyjdz na dwór i narwij kwiatów dla swojej ukochanej” - podlizywał się.

To Pedro gotów był zrobić. Wstał niczym lunatyk, starannie włożył szlafrok i wymknął się z pensjonatu.

Droga dla Flavii została otwarta.

„Kobieta”, jak ją nazywali, znalazła się teraz we władzy mnichów.

„Pójdiesz zaraz do pokoju Pedra” - powiedział głos, a ona mruknęła coś przez sen, że nie odważy się przejść obok tego paskudztwa, które stoi przy komodzie.

Mnich poczuł się urażony, ale odsunął się na bok. Flavia usiadła na posłaniu i próbowała wsunąć stopy w ranne pantofle.

Unni nie wiadomo dlaczego zerwała się z łóżka. Ona i Jordi zajmowali sąsiednie pokoje, połączone wewnętrznymi drzwiami.

Coś niedobrego dzieje się z Jordim, pomyślała. Dlaczego inaczej dostałabym takie nagłe ostrzeżenie?

Odbierała od czasu do czasu tego rodzaju impulsy. Kiedyś dzięki temu uratowała czyjś dom przed pożarem, innym razem znów zapobiegła nieszczęściu w sąsiednim przedszkolu, tylko że to się działo za dnia i ona była najzupełniej przytomna. Chociaż raz w nocy przeczuła też wypadek samochodowy i mogła natychmiast wezwać pomoc.

Teraz myślała, że chodzi o Jordiego, ale on spał spokojnie.

Podeszła do niego i pocałowała go w czoło. Tego nie możesz mi odebrać, Jordi, pomyślała z czułością.

Nateżyła zmysły. Czują, że gdzieś czai się niebezpieczeństwo, ale gdzie? Flavia, przemknęło jej przez głowę. W którym pokoju ona mieszka?

Daleko stąd. Telefon ostrzegawczy, szybko!

Flavia nie zdążyła włożyć drugiego pantofla, gdy drgnęła gwałtownie i obudziła się. Budzik? Nie, to telefon. Po omacku wyciągała rękę po słuchawkę.

Dlaczego siedzi na krawędzi łóżka i próbuje włożyć lewy pantofel na prawą nogę?

Podniosła słuchawkę i usłyszała głos Unni:

- Flavia, czy tobie coś grozi?

- Co? Grozi? Nie, ja... Ale jakie to dziwne!

- Co takiego, Flavia?

- Śniło mi się, że idę do pokoju Pedra. Nie, nie, nic takiego!

Miałam tylko zadbać, żeby nie polizał słoika z kremem do rąk, to znaczy wieczka z tego słoika. Nie, uff, to przecież kompletny absurd!

Chodź, Unni, pójdziemy do Pedra.

Jordi stał na progu i patrzył pytająco na Unni. Jak mogła najlepiej, wyjaśniła mu, o co chodzi, a on pospiesznie narzucił na siebie ubranie, niezbędne do złożenia wizyty.

Wszyscy troje zastukali do pokoju Pedra, ale nikt im nie odpowiedział. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc weszli. Pedra nie było.

- Nie podoba mi się to - rzekł Jordi.

- Ani mnie - westchnęła Flavia. - To był okropny głos. Musiałam go posłuchać.

W tym samym momencie na korytarzu ukazał się Pedro z dziwnym bukietem w dłoni. Jakieś chwasty, źdźbła zeszłorocznej trawy, gałązki ostów, a w tym wszystkim tylko jeden żaloszny kwiat bliżej nieokreślonego gatunku.

- To ty jesteś tutaj, Flavio? - zdziwił się Pedro jakimś zachrypłym głosem i podał jej bukiet. - To dla ciebie!

Jordi natychmiast się zorientował, o co chodzi, i klasnął w dłonie.

Pedro drgnął i obudził się. Trzeba było dłuższej chwili, by mogli sobie wszystko wytłumaczyć.

Weszli do pokoju Pedra, gdzie ten opowiedział przyjaciółom o swoich snach. O wieczku, które kazano mu wyrzucić. O planach zamordowania Unni i Jordiego.

- Dzięki Bogu za to, że jesteś takim szlachetnym gentlemanem w służbie hiszpańskiego króla i za twoje czyste serce, które pozwala ci czynić jedynie dobro. Gdyby na twoim miejscu był ktoś inny, mogłoby się to dla nas źle skończyć.

- Tak - westchnęła Unni. - Domyślamy się chyba, kto za tym stoi. To zaczyna być denerwujące. Ale przynajmniej wiemy, że szukają tego srebrnego pudełka ze skrzyni.

- Owszem, a poza tym ja nie mam żadnego kremu do rąk - roześmiał się Pedro. - A już zwłaszcza w srebrnym pudełeczku. W dzisiejszych czasach używa się chyba plastiku do takich celów. Tylko co my zrobimy z tym fatalnym srebrnym puzderkiem? Ja już i wcześniej miałem ochotę je wyrzucić, ale to mogłoby być niebezpieczne. Co o tym sądzicie?

Zastanawiali się długo.

- Moglibyśmy je ponownie zakopać - rzekł w końcu Jordi. - Tak jak sobie życzył don Felipe. Ale czy w ziemi będzie wystarczająco bezpieczne?

- A może cisnąć je gdzieś do jakiegoś głębokiego jeziora? - zaproponowała Flavia.

Pedro potrząsał głową.

- Żaden z tych sposobów nie jest wystarczająco pewny. Ktoś może je znaleźć, a wtedy mnisi natychmiast się zjawią. Zresztą... jest coś, o czym zapomniałem wam powiedzieć. Pamiętacie tego pasterza kóz, z którym Elio i ja musieliśmy tak długo rozmawiać?

Owszem, pamiętali.

- Otóż on powiedział coś o starej posiadłości. Że mianowicie nikt nie chce tam mieszkać ani nawet przechodzić w pobliżu, bo tam okropnie straszy. Ktoś widział ubranych na czarno mnichów, chodzących po dziedzińcu, jakby czegoś szukali. A ci, którzy odważyli się tam zamieszkać, mieli koszmarne sny, w których ktoś wciąż kazał im kopać!

- Nie brzmi to przyjemnie - westchnęła Flavia. - Wygląda na to, że pudełko ma dla mnichów wielką wartość.

Nieoczekiwanie Unni zaczęła podskakiwać na swoim miejscu.

- Tak, to wszystko z pewnością się zgadza, ale czy nie dostrzegacie drugiego aspektu całej sprawy? Mam na myśli rycerzy!

Jordi i ja widzieliśmy ich przecież przed wieczorem na brzegu, ale nie zbliżyli się do nas. I nie przybyli, kiedy wcześniej Jordi ich wzywał. Od jakiegoś czasu trzymają się od nas z daleka. Otóż od tego czasu, kiedy opuściliśmy posiadłość! Czy przypadkiem nie srebrne pudełko jest tego powodem? Może rycerze nie mogą się do niego zbliżyć?

Wszystkich poraziła ta myśl.

- Jordi mógłby być zdrowy - mówiła Unni.

- Nie zaszkodziłoby spróbować - zgodził się Pedro. - Tylko jak mamy to zrobić?

Flavia miała propozycję. Gdyby tak ona i Pedro zabrali skrzynię do samochodu i odjechali dość daleko stąd, a Jordi i Unni mogliby znowu pójść nad rzekę?

Pedro wyjrzał przez okno. Znajdowali się już dość daleko na północy. W północnych Niemczech wiosenny ranek budził się wcześniej niż w Hiszpanii.

- Czy ktoś chciałby się jeszcze przespać z godzinkę lub dwie?

Nikt nie chciał. Zdecydowali, że śniadanie zjedzą, kiedy się znowu spotkają, i poszli, żeby się ubrać. Po długim odrętwieniu spowodowanym chorobą Jordiego nareszcie mogą działać.

Unni i Jordi stali na brzegu rzeki w bladym świetle poranka.

Panowała zupełna cisza, żadnego ruchu. Tylko ptaki już się pobudziły; jakiś skowronek wysoko nad polami dawał wspaniały koncert.

Unni spoglądała ukradkiem na Jordiego i zdawała sobie sprawę, że on bez pomocy chyba nie zniesie czekającej go podróży. Jego organizm już po prostu nie był w stanie się bronić. W ciągu ostatnich dni ten młody mężczyzna bardzo stracił na wadze, wydawało się, jakby i krew opuściła jego ciało. Trzymał się jeszcze tylko siłą woli, ale Unni wiedziała, że sam zdaje sobie sprawę, jak z nim źle.

- Wezwałeś ich?

- Tak.

Wyczuła napięcie, nadzieję i bezradność, zawarte w tym prostym słowie.

Rycerze nareszcie przybyli. Bezszelestnie. Nagle ukazali się na tych swoich, jakby tańczących, koniach.

Oboje odetchnęli z ulgą. Ale czy rycerze potrafią pomóc Jordiemu?

Unni nie mogła uczestniczyć w prowadzonej bez słów rozmowie, ale Jordi powtórzył jej potem wszystko.

Tak jest, odgadła właściwie. To owo niebezpieczne pudełko trzymało ich z daleka. Jego zawartość stworzył sam Wamba, a przypieczętował to jeszcze solidnym zaklęciem. Dobrze zrobili, że go nie ruszali.

Jordi zapytał, co powinni z tym pudełkiem uczynić.

Powinni mieć je pod kontrolą. Nie słuchać niebezpiecznych poleceń w snach, pudełeczko musi przejąć znający się na leczeniu Antonio. Zawartość jego bowiem to zła, bardzo zła energia, a energii zniszczyć się nie da, ale Antonio już będzie wiedział, jak się jej pozbyć.

Jordi nie bardzo to rozumiał, ale obiecał zrobić, co kazali.

Potem poprosił, by przywrócili mu zdrowie, i wtedy rycerze podjęli długą dyskusję, której treści Jordiemu nie przekazali. W końcu stary don Federico de Galicia zwrócił się do niego i rozpoczął się nieco dziwny dialog:

„Ten wstrętny Wamba był niestety potężnym czarownikiem, był czarnoksiężnikiem najwyższej rangi, jeśli chodzi o brutalność i siłę uderzenia - przekazywał don Federico z przykrością. - Naprawdę potraktował cię strasznie, nasz opiekunie i nadziejo. Nie dysponujemy aż tak wielką siłą, by pokonać jego złe zaklęcia. Ale rozważaliśmy pewną możliwość...”

„Tak?”

„Był ktoś równy mu w magicznej sztuce”.

„Urraca”.

„Tak jest. Więcej nie możemy wam pomóc. Musicie myśleć”.

„To nie takie łatwe - westchnął Jordi. - Czy nie możecie mi dać jakiejś wskazówki?”

„Nie. Jesteśmy zobowiązani do milczenia. Jedyne, co mogę powiedzieć, to to, że o czymś zapomnieliście”.

Jordi natężył umysł. Don Federico z troską potrząsał głową.

Potem wszyscy uklonili się Unni z prawdziwie rycerskim szacunkiem, a ona dygnęła z pochyloną głową.

Kiedy podniosła wzrok, rycerzy nie było.

Oboje z Jordim powoli wracali do hotelu w ten wczesny wiosenny poranek. Trzymali się niemal kurczowo za ręce, modląc się o przypomnienie tego, o czym zapomnieli.

CZEŚĆ DRUGA
ISTNIEJE WIELU
„NAJODPOWIEDNIEJSZYCH”

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Vesla siedziała z założonymi rękami. Siedziała i myślała, czuła, że ze strachu ssie ją w dołku.

Już powinna była zachorować. Termin minął wiele dni temu, a to się jej nigdy nie zdarzało. Ale przecież ostatnio miała tyle dramatycznych przeżyć, zarówno fizycznych, jak i psychicznych, że mogły w ten sposób podziać na jej organizm.

A jeśli to prawda? Mój Boże, Antonio tak się boi sprowadzić dzieci na świat!

Vesla domyślała się, że to dziecko byłoby obciążone przekleństwem. Jeśli Jordi nie zdoła rozwiązać zagadki, jeśli umrze za parę miesięcy, to przekleństwo przejdzie na dziecko Antonia.

Na jej dziecko.

Boże, co oni zrobili?

Pospiesz się, Jordi! Boże, spraw, żeby Jordiemu się udało, żeby znalazł rozwiązanie!

Zamiast tego spadnie na nich jeszcze większe nieszczęście, jeśli dobrze rozumiała.

Teraz tamci są w drodze do domu. Jordi jest poważnie chory, bliski śmierci. Nie, nie, on nie może umrzeć, to się nie powinno stać!

Aborcja?

Nie, to nie wchodzi w rachubę. Nie rozmawiała jeszcze z Antoniem, wszystko jest zbyt świeże, zbyt niepewne.

Co on powie?

Vesla tak bardzo pragnęła tego dziecka. Ale narażać je na straszny los, na śmierć w wieku dwudziestu pięciu lat? Tej myśli też nie była w stanie znieść.

Konieczność wyboru sprawiała jej ból.

Jordi! Jordi, Unni i Pedro, zróbcie wszystko, co można! Dlaczego wracacie do domu? Czy nie moglibyście przyspieszyć rozwiązania zagadki, skoro byliście w Hiszpanii? To Antonio się upierał, by Jordi wrócił do domu, chciał się zaopiekować chorym bratem. Tak, to zrozumiałe, ale czas! Czas nieubłaganie ucieka!

Powinna teraz zadzwonić do swojej matki. Już i tak bardzo długo zwlekała. Matka nie zna numeru jej telefonu komórkowego, nie wie, gdzie Vesla się podziewa. Bo Vesla chciałaby mieć trochę spokoju.

Teraz jednak musi zatelefonować. Z najwyższą niechęcią wystukała numer.

Matka natychmiast zaczęła swoje:

- Vesla, coś ty, przeprowadziłaś się? Zostawiłaś takie piękne mieszkanie?

- Przecież mówiłaś, że jest za małe i w ogóle do niczego! No to teraz wynajęliśmy duży dom.

- Duży dom? A na co tobie dom? Ty się powinnaś znowu wprowadzić do mnie. Jedyne dziecko powinno mi dotrzymać towarzystwa. Jestem taka samotna... A ciebie przecież nie stać na wynajmowanie domu, ile czynszu będziesz płacić? Czekaj, a może ja bym się wprowadziła do ciebie?

Cóż za okropny pomysł! Matkę jednak coś zastanowiło.

- Powiedziałaś „my”? Jacy my?

- Nie mieszkam sama, mam. Jest nas tu kilkoro.

- Co? Jakaś komuna? - przestraszyła się matka. W jej głosie słychać było obrzydzenie, jakby patrzyła na rozdeptaną żabę. - Komuna? I co to za ludzie ci, z którymi dzielisz mieszkanie?

- To moi przyjaciele. Poza tym mam chłopaka. Porządnego, to poważna sprawa.

- Ale przecież nie możesz... Co to za typ?

- Żaden typ, mam. On jest lekarzem, to najwspanialszy człowiek, jakiego znam.

- Och, lekarz? - wykrzyknęła mamusia głosem słodziutkim, jakby jadła cukierka. - Ależ to wspaniale! Zaraz się go poradzę w sprawie moich kamieni żółciowych, tak, tak, bo zdaje mi się, że mam kamienie żółciowe, Veslo.

Wcale bym się nie zdziwiła. Ktoś, kto wydziela tyle żółci.

- Zobaczymy później - starała się ostudzić entuzjazm matki. - Wiesz, że lekarze nie udzielają prywatnych konsultacji.

- Och, ale dla mnie na pewno zrobi wyjątek, jestem przekonana.

Nigdy bym się nie odważyła fatygować lekarza w godzinach pracy.

Oczywiście że nie, bo to są głupie niedouki, które twierdzą, że nic ci nie dolega, pomyślała Vesla ze złością. Bardzo się wystrzegала, żeby nie napomknąć przypadkiem o ewentualnym dziecku. Dobrze wiedziała, że usłyszałaby w odpowiedzi: „Co? Spodziewasz się dziecka? No to w takim razie mogę zapomnieć, że mnie jeszcze kiedykolwiek odwiedzisz. Po prostu nie będziesz już miała wcale czasu dla matki”.

Udało jej się zakończyć rozmowę mglistą obietnicą, że przedstawi matce ukochanego, i odetchnęła. Tym razem z lekkim sumieniem.

Vesla zeszła na dół, by przygotować posiłek dla całej grupy.

Dom, który wynajęli, był dość stary, duży i przestronny, ale wyposażony tylko w jedną łazienkę dla wszystkich. Kuchnia natomiast była wielka, urządzona w starodawnym

stylu, chętnie w niej przesiadywali.

Dom znajdował się w dzielnicy willowej, kawałek za miastem, trudno by go było znaleźć komuś niewtajemniczonemu. Na przykład Leonowi. Albo Emmie. Tych dwoje jednak na razie odpoczywa w hiszpańskim więzieniu. Kenny & Co zaś w więzieniu norweskim. Po raz pierwszy przyjaciele mogli odetchnąć spokojnie.

W kuchni przy stole stała Gudrun i kroїła na maleńkie kawałeczki ostrą paprykę oraz strączki chili. Kroїła je razem z nasionami i wszystkim, co miały w środku.

- Dzisiaj to ja jestem dziewczyną kuchenną - powiedziała Vesla z uśmiechem. - Ale to wygląda znakomicie. Co gotujesz?

Gudrun uniosła głowę.

- Okazało się, że mam wszystko, co potrzeba, w domu, to postanowiłam przygotować coś ostrego. Wiem, że to twój dzień, ale nie wyglądałaś najlepiej, więc chciałam dać ci odpocząć.

- Dziękuję. Nie czuję się rzeczywiście za dobrze. Ale bardzo chętnie ci pomogę. Co mam robić?

Gudrun podała jej kawałek imbiru wielkości kciuka.

- Pokrój to na wąskie paseczki, a potem przepuść przez praskę dwa ząbki czosnku.

Sama Gudrun zaś odmierzyła półtora litra wody, wlała do garnka i wrzuciła trzy kostki rosółu z kury.

- Właściwie to rosół miał być z kurczaka, ale kto rozpozna różnicę między kurą a kurczakiem? W kostce? Morten poszedł kupić gazety, Antonio wróci pewnie niebawem. A poza tym... Telefonował Pedro i był zmartwiony.

- Czy od czasu, gdy się ta cała historia zaczęła, ktoś z nas nie był zmartwiony? - westchnęła Vesla. - Wiesz, ja okropnie nie lubię wyciskać czosnku, mam wrażenie, że w prasce znajduje się czyjaś maleńka czaszka, mdli mnie od tego. Czy nie mogłabym go raczej drobno posiekać?

- Oczywiście, że byś mogła - uśmiechnęła się Gudrun i zaczęła kroić pierś kurczaka na małe kawałki.

- Mówiłaś, że Pedro był zmartwiony. Co tym razem go zaniepokoiło?

- Poinformował, że są już w Szwecji i Jordi, delikatnie mówiąc, czuje się bardzo źle. Tak bliski śmierci jeszcze nie był.

- No to rzeczywiście musi być z nim bardzo źle - powiedziała Vesla. - Bo dla mnie to on zawsze znajdował się bardziej po stronie śmierci niż po stronie życia.

- Owszem - przytaknęła Gudrun. - Masz rację. - Dała teraz Vesli makaron w nitkach,

żeby go pokruszyła na drobne kawałki. - Poza tym Pedro był bardzo uprzejmy.

- O, tak - potwierdziła Vesla. - I służy nam wszystkich wielką pomocą.

- Pedro powiedział, że pokładali wielką nadzieję w rycerzach.

Gdyby rycerze uzdrowili Jordiego, to oni mieli zamiar zawrócić do Hiszpanii i kontynuować działania nad rozwiązaniem zagadki. Teraz jednak zbliżają się do Norwegii, wkrótce powinni tu być, jadą bardzo szybko, żeby Jordi mógł się znaleźć pod opieką Antonia, a poza tym odpocząć porządnie w normalnych warunkach i zebrać siły. Trucizna Wamby osłabiła go tak bardzo, że prawdę powiedziawszy, Pedro nie wierzy, iż Jordi dotrze do domu żywy. Ma taką nadzieję, ale...

- Tak. Byłoby najlepiej, gdyby Antonio mógł się nim zająć.

Chciałam powiedzieć, że to by było dobre dla nich obu, bo Antonia dręczy dług wdzięczności wobec starszego brata. Tylko nie bardzo rozumiem, co nie do końca jeszcze wykształcony kandydat na lekarza mógłby zrobić w tej sytuacji.

- Rzecz polega chyba na tym, że Antonio jest jedynym, który tak naprawdę wie, o co chodzi. Nie można pójść do zwyczajnego lekarza czy do szpitala i powiedzieć, co się Jordiemu stało. Kim czy czym on jest, dlaczego wygląda tak, jak wygląda, to po prostu niemożliwe.

Przez chwilę pracowały w milczeniu. Gudrun zrobiła sos rybny i wlała parę łyżek do garnka.

- Powinam mieć jeszcze cytrynową trawę, ale nie udało mi się kupić. Myślę, że parę kropel soku z cytryny zrobi swoje. „Trzeba brać to, co się ma pod ręką”, jak mówi Hanna Winsnes.

- „A jeśli się i tego nie ma, to się bierze połowę” - roześmiała się Vesla. - A co teraz trzymasz w ręce?

- To świeża kolendra, chociaż od biedy mielona też by wystarczyła. Bo widzisz, właśnie świeże składniki decydują, czy potrawa będzie smaczna, czy nie. No! Teraz jeszcze trochę natki pietruszki i niech się wszystko pogotuje jakieś cztery minutki. Finito!

- Szybko to poszło. Ale co myśmy właściwie ugotowały?

- Tajlandzką potrawę Tom Yum Gai. Vesla spróbowała.

- Pyszne!

- Pomyślałam sobie, że Jordi powinien dostać coś wzmacniającego.

Vesla zastanawiała się przez moment.

- A nie będzie to dla niego za ostre?

- Jordi ma uszkodzone płuca, nie żołądek. Vesla usiadła przy kuchennym stole.

- Wiesz, może się mylę, ale odnoszę takie wrażenie, że im ciąży coś jeszcze, i to coś gorszego. Co to za okropieństwa oni wiozą do domu? Nie podoba mi się to. Gudrun odpowiadała niechętnie:

- Jest tam coś w tej skrzyni ze skarbem Santiago. Unni mówiła, co tam znaleźli, pamiętasz, niecałą dobę temu, kiedy nocowali w pensjonacie w Niemczech?

- Pamiętam. Znaleźli miecz - Vesla wyliczała na palcach. - Były też trzy pakieciki owinięte w zbutwiały jedwab. Z krzyżykiem i różanym wiankiem. Znaleźli jeszcze duży krucyfiks, bardzo ładny, zdobiony kamieniami, jak się zdaje szlachetnymi, i... i... No tak, kuszącą opowieść grzesznej Estelli, podobno to cała książka. No i wreszcie jakieś straszne pudełeczko, którego nie wolno im ruszać.

To jest najgorsze znalezisko.

- I oni muszą to taszczyć do domu - westchnęła Gudrun, obrywając zeschnięte kwiatki z pelargonii na oknie, tymczasem jedynej rośliny, jaką nabyli. - Żeby Antonio zajął się całym paskudztwem.

- Dlaczego wszystko trzeba zwalać na niego? - narzekała Vesla.

- On musi wyleczyć umierającego Jordiego, on musi unieszkodliwić energię, której nie można zniszczyć. Uff, zaczynam marudzić!

Wybacz, jakoś ostatnio jestem wytrącona z równowagi.

- Świetnie cię rozumiem. Zresztą kto nie jest? Uważam, że bardzo dobrze przystosowałaś się do całej sytuacji jak na osobę postronną...

Już nie jestem postronna, pomyślała Vesla. Jestem z wami połączona więzami krwi w linii zstępującej.

Swoją drogą jakie to dziwne. Z powodu dziecka ona i Antonio staną się krewnymi. Maleństwo jest ogniwem pośrednim, w jego żyłach płynie krew obojga.

Trochę to może podstępne, nie pytała Antonia, czy chce być z nią spokrewniony. Ale logiczne, zdaniem Vesli.

- Czy oni wciąż jeszcze nie nawiązali kontaktu z Urracą?

- Nie. Nie wiedzą, jak to zrobić, a Jordi jest przecież nieprzytomny.

- No rzeczywiście. Jordi to jedyny człowiek na świecie, który wie, jak się do czegoś takiego zabrać. A przy okazji, co było w tym trzecim pakieciku?

- W jakim pakieciku?

- No w skrzyni, w szkatule, czy jak to określić, były trzy paczuszki. Unni tak mówiła. Trzy paczuszki zawinięte w zbutwiały jedwab.

Gudrun zastanawiała się przez chwilę.

- Możemy zapytać - powiedziała. Wykręciła numer, Pedro odpowiedział prawie natychmiast.

- Jak się teraz czuje Jordi? - spytała Gudrun.

- Źle. Od wielu godzin jest nieprzytomny, Unni odchodzi od zmysłów ze zmartwienia.

- Rozumiem ją. Ale my tutaj z Veslą zastanawiamy się nad tym, co jest w trzeciej paczusce. Nie powiedzieliście nam.

- W jakiej pacz... - zaczął Pedro i sam sobie przerwał. Gudrun usłyszała pisk hamulców, a potem znowu głos Pedra: - W Szwecji na szczęście główne drogi mają szerokie pobocza. Niedaleko przed nami jest parking. Stamtąd do ciebie zadzwonię.

Rozmowa została przerwana, Vesla i Gudrun spoglądały na siebie zdumione, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje.

Po dłuższej chwili Gudrun powiedziała:

- Bogu dzięki, że niedługo już tu będą. Tylko gdzie my ich wszystkich położymy? Dom jeszcze nieumeblowany. Poza tym oni się między sobą różnią, każde potrzebuje oddzielnego pokoju! My nie mamy tylu pomieszczeń! Może Jordi, Antonio i Morten mogliby mieszkać razem...

- Nie, nie - zaprotestowała Vesla, która chciała mieć ukochanego dla siebie. - Pozwól Jordiemu i Unni mieszkać razem!

- Ale przecież ona przy nim tak strasznie marznie.

- Wszystko będzie dobrze, muszą tylko mieć posłania każde w swojej części pokoju. Umieść ich w tym wielkim pomieszczeniu na strychu. Antonio i ja zostaniemy tam, gdzie teraz mieszkamy. On może co godzina zaglądać do Jordiego, jeśli zechce. Morten niech sobie ma ten swój mały, paniński pokój, a Pedro i Flavia mogą zająć dużą sypialnię. Ty, jak zawsze, w swojej alkwie.

Gudrun miała wątpliwości.

- Przez pierwsze dni mogłabyś ustąpić miejsca Jordiemu. On i Antonio powinni dostać wspólny pokój, a ty przeprowadzisz się do Unni. Na razie.

Vesla zdawała sobie sprawę, że to rozsądna propozycja, mimo to westchnęła ciężko. Gudrun westchnęła także, choć z innego powodu.

- Taki plan byłby dobry, ale jeśli Flavia zażąda oddzielnego pokoju? Wtedy cały schemat runie.

Antonio wrócił do domu i Vesla poszła z nim do ich wspólnego pokoju na pierwszym piętrze. Odkąd się odnaleźli wtedy, w Hiszpanii, spędzali ze sobą każdą wolną chwilę, tak za dnia, jak i w nocy. Jakby nie mogli się nasycić nawzajem swoją obecnością. Vesla nigdy

jeszcze nie była taka szczęśliwa. Tylko że teraz wkradła się do jej duszy pewna nerwowość. Nie chciała na temat swojego stanu rozmawiać z Gudrun, pragnęła, by Antonio dowiedział się jako pierwszy.

On siedział teraz na krawędzi łóżka, pokój był bowiem bardzo skromnie umeblowany, i próbował zdjąć buty.

Vesla uklękła przed nim i położyła mu głowę na kolanach.

- Antonio, dokonaliśmy czegoś wielkiego. Pieścił palcami jej ucho.

- Co masz na myśli, kochanie?

- Zdaje mi się, że będę miała dziecko.

- Co ty mówisz? To wspaniale!

I nagle przypomniał sobie o swojej sytuacji.

- O mój Boże! - jęknął.

Vesla patrzyła na niego uważnie.

- Co teraz zrobimy?

- No właśnie, co zrobimy?

- Przecież byliśmy tacy ostrożni!

- Owszem. Ale było kiedyś tak, na samym początku, że zmysły wzięły nad nami górę.

- Pamiętam. I to się musiało wtedy stać. Antonio, ja chcę zachować to dziecko.

Dlatego, że cię kocham.

- Oczywiście i ja chcę je zachować - powiedział stłumionym głosem, bliski rozpacz. - Niczego bardziej nie pragnę. Tylko czy postępujemy słusznie? Czy nie postępujemy zbyt egoistycznie?

- Chyba tak - przyznała Vesla. - Ale czy myślisz, że dziecko nie chciałoby żyć?

Antonio patrzył przed siebie rozmarzonym wzrokiem.

- Jesteśmy już tak blisko rozwiązania zagadki. Może Jordiemu się uda, jeśli zdoła przezwyciężyć ten kryzys... I jeśli my wszyscy zrobimy, co można, żeby mu pomóc.

- Tak, Antonio, tak!

- A jeśli jemu się nie uda albo jeśli umrze... Nie, nie chcę o tym myśleć! Tylko gdyby mu się nie udało... No to przecież i tak jesteśmy już bardzo blisko... jeśli nie damy rady... to i tak zrobiliśmy wiele dla naszego dziecka.

Vesla głośno przełknęła ślinę.

- No właśnie - powiedziała piskliwie. - Tylko zabraknie nam tej nadzwyczajnej siły, jaką jest obdarzony Jordi, kogoś, kto potrafi nawiązywać kontakt z rycerzami.

- Mamy Unni.

- Unni zostały jeszcze cztery lata życia. Nawet nie, trzy i pół.

Czas ucieka, Antonio!

- I jesteśmy też odpowiedzialni za Mortena. Jego czas się kończy. Gdzie się obrócić, wszędzie przeszkody.

Najgorsza akurat teraz była myśl, że mogliby utracić Jordiego, a wszystko wskazywało, że tak właśnie może się to skończyć. Dopiero teraz naprawdę rozumieli, jak wiele on znaczy nie tylko dla nich osobiście, ale dla całego tego straszliwego zadania, które na nich, wbrew ich woli, spadło.

Ciężar przygniatał wszystkich. Jak bez Jordiego zdołają uratować tych, którzy znaleźli się w niebezpiecznej strefie? A jeszcze na dodatek ich dwoje obciąża odpowiedzialność za dziecko.

- Antonio! Pozwólmy, żeby to dziecko przyszło na świat!

- Oczywiście! To nasz obowiązek wobec rycerzy! Vesla wybuchnęła szlochem. Antonio tulił ją mocno do siebie. Jemu też zaszklily się oczy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pedro zjechał z imponującej E6 i znalazł się na drodze do Tjoloholm, wspaniałego zamku w stylu Tudorów, świetnie ukrytego w dębowych zagajnikach Halandii.

- Co się dzieje? Dlaczego my tutaj jedziemy? Kto to dzwonił? - dopytywała się Flavia.

Pedro znalazł zatokę dla samochodów i stanął.

- Telefonowała Gudrun, babcia Mortena - wyjaśnił. - Pamiętasz, Jordi, co powiedzieli rycerze? Że o czymś zapomnieliśmy?

- Jordi nadal jest nieprzytomny - przypomniała mu Unni na pół z płaczem.

- No tak, masz rację, po prostu się zdenerwowałem. Otóż Gudrun i Vesla pytają, co się znajduje w trzeciej paczusce.

Trzeba było sporo czasu, zanim obie siedzące w samochodzie panie pojęły, o czym jest mowa.

- W tej małej paczusce - jęknęła Unni. - Takiej maleńkiej, że wpadła między książkę i ściankę skrzynki. Zapomnieliśmy o niej, prawda?

- Niestety, tyle innych spraw absorbowało naszą uwagę.

Pedro otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Obie panie poszły za jego przykładem, tylko Unni upewniła się najpierw, czy Jordi leży wygodnie. Zajmował teraz całe tylne siedzenie, a dla Unni znowu zabrakło miejsca, więc przesiadła się na przód, i przez cały czas czuła, że jest zbędna.

Ponieważ Pedro posługiwał się paszportem dyplomatycznym, a jego samochód posiadał znaki CD, nie mieli żadnych problemów celnych na granicach. Mimo to ukryli skrzynię w pomieszczeniu pod bagażnikiem.

Nie ruszali jej zresztą od czasu postoju nad Wezerą. Niczym wiatr przemknęli przez Niemcy, Danię, południową Szwecję, przejechali przez nowy, niezwykły most, przerzucony nad Oresundem, za co zapłacili skandalicznie wysokie myto. „Nic dziwnego, że ruch na tym moście taki skromny - Pedro nie mógł się powstrzymać od złośliwych uwag. - To najwyraźniej my, właściciele samochodów, musimy płacić za wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z drogami i mostami. Nieważne, czy chodzi o benzynę, nawierzchnię, czy utrzymanie wszystkiego w porządku, zawsze łupią z nas skórę”.

Trzeba przyznać, że Pedro nie jest w swoich poglądach odosobniony.

Teraz ustawili się tak, żeby z drogi nikt nie mógł ich zobaczyć.

Pedro wyjął skrzynię czy też szkatułę, wciąż jeszcze nie mogli się zdecydować, jak to

nazywać, i ustawił ją w bagażniku. Uniósł wieko, a Unni odskoczyła jak oparzona.

- To znowu to srebrne pudełeczko - wyjaśniła. - Otacza je jakaś obrzydliwa aura, wciąż płyną z niego złe wibracje.

Wypielegnowane palce Pedra przesunęły się ostrożnie po krawędzi skrzyni, żeby przypadkiem nie dotknąć srebrnego pudełka.

Odnalazł małą paczuszkę wciśniętą między karty książki, wyjął ją i delikatnie ustawił na dachu samochodu. Unni zaprotestowała, musiała porządnie wyciągać szyję, żeby coś widzieć.

Cokolwiek znajdowało się w pakiecie, zostało bardzo starannie owinięte zbutwiałym teraz jedwabiem, który niegdyś miał przypuszczalnie kolor kremowy.

Dziś można by jego barwę określić jako szarość Izabelli, kolor, który wziął nazwę od imienia hiszpańskiej królowej, Izabelli Pierwszej, co wydaje się tym bardziej odpowiednie, że przypadkiem to ona właśnie panowała za życia naszych rycerzy. Otóż władczyni ta ślubowała, że nie będzie zmieniać bielizny, dopóki Granada nie zostanie odebrana Maurom. Odbijanie miasta musiało trwać jakiś czas, sądząc po tym, jak się prezentuje ów kolor Izabelli, jaka to głęboka szarość.

Unni przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę, patrząc, jak ostrożnie i powoli Pedro rozwija rozłazący mu się w palcach jedwab, jakby chciał go uratować. A przecież materiał był i tak nieodwracalnie zniszczony.

W końcu ich oczom ukazał się maleńki przedmiocik.

- To jakiś amulet? - zgadywała Flavia. - Jakiś gryf?

- Ciekawe, czy dobry, czy zły? - zastanawiała się Unni.

- Przypuszczalnie ani jedno, ani drugie - stwierdził Pedro sucho.

- To chyba zwyczajna ozdoba.

- Daj to Unni trochę potrzymać - zaproponowała Flavia.

- Nie, ja...

Nie mogła zaprotestować, bała się, że zostanie to źle przyjęte, ale ponieważ miała świeżo w pamięci straszne wizje po kontakcie ze skórzaną mapą, wszystko się w niej burzyło na myśl o dotykaniu talizmanu, choć to naprawdę mogła być banalna ozdoba. Pamiątka po jakiejś praprababce, na przykład.

Tylko dlaczego to leżało w skrzynce?

Wyciągnęła przed siebie rękę z nadzieją, że nie drży.

Pedro z namaszczeniem ujął przedmiot i położył jej na dłoni.

Unni skuliła się. Ciało przeniknęła dreszcz. Zaraz się jednak uspokoiła i pozwoliła, by

wrażenia przepływały od dłoni do ramienia i dalej do mózgu.

Odbierała sygnały.

Potem odetchnęła.

- To jest dobre - oznajmiła cicho, jakby uważała, że powinna ściszyć głos ze względu na amulet. - Wyczuwam głęboki smutek.

Teraz pojawiła się jakaś twarz. To przystojna, czarnowłosa kobieta o przejmującym spojrzeniu. Bardzo piękna twarz. Poznaje ją, to Urraca! Czarownica!

- No - odetchnął Pedro. - To mamy brakujące ogniwo. Widzisz coś jeszcze?

- Nie widzę, ale czuję. Amulet stanowi ochronę przed złem, znajdującym się w skrzyni. Został trochę zanieczyszczony w wyniku złego sąsiedztwa. - Unni rozejrzała się wokół. - Jest tu gdzieś jakaś woda?

- Nie sędzę - odparła Flavia. - Ale w samochodzie mamy butelkę mineralnej.

- To wystarczy. Potrzebowałabym tylko miseczkę lub coś w tym rodzaju...

Pedro miał w domu, w Madrycie, psa. W bagażniku stała więc miseczka na wypadek, gdyby podróżującemu pupilowi chciało się pić. Najpierw wypłukali miseczkę wodą mineralną, potem nalali ponownie do pełna i włożyli do niej gryfa.

- Woda, zwyczajna woda ma w większości przypadków działanie oczyszczające - powiedziała Unni z uśmiechem. - No!

Teraz wytrę talizman w bluzkę. Dziś rano była całkiem czysta, a jest bardziej miękka niż na przykład papierowy ręcznik. Powiedzcie mi jednak, co to właściwie jest gryf? Wiem tak mniej więcej, ale naprawdę to jaką on rolę odgrywa?

Pedro zaczął wyjaśniać:

- Gryf to bardzo dawny, mityczny stwór. Istnieją wizerunki gryfa, pochodzące sprzed czterech tysięcy lat. Owo stworzenie miało głowę, przednie nogi i skrzydła orła, natomiast resztę ciała wraz z zadem i ogonem - lwa. Było bardzo popularnym motywem sztuki antycznej i średniowiecznej, chętnie wykorzystywanym również w heraldyce, to znaczy w herbach rodów i państw. Wiele krajów i prowincji ma w swoich herbach gryfy. W herbach królewskich są one koronowane. Muzeum Narodowe w Oslo ma na dachu nad wejściem dwa gryfy. A czemu służył...? Było bardzo wiele spraw, czujność, uwaga, odpowiedzialność.

- To znaczy jako amulet miał chronić swoich właścicieli?

- Oczywiście! Gryf chroni groby i zmarłych...

To świetnie pasuje do Jordiego, pomyślała Unni z goryczą.

Pedro mówił dalej:

- Jest też ochroną przed chorobami i złymi atakami, tak, chroni właściciela od

wszelkiego złego. Od tragedii, żałoby... Chociaż nie wiem, jak to jest z biedą, nigdy nic na ten temat nie czytałem.

- To akurat nie ma znaczenia - odparła Unni. - Ważne, że jest odpowiednim amuletem dla Jordiego. Być może przyczyni się do jego powrotu do zdrowia?

Pedro i Flavia odnieśli się do tego dość sceptycznie...

Wsiedli do samochodu. Unni podciągnęła koszulę na piersiach Jordiego i była wstrząśnięta jego wyniszczeniem.

Pomyślała jednak, że dobra Uracca maczała palce w tym wszystkim, więc sama poczuła się jak czarownica domowego chowu, samozwańcza uzdrowicielka, ale jakie to w końcu ma znaczenie? Grunt, żeby Jordiemu pomogło.

- Gdzie mam to położyć? - zapytała szeptem. Pedro wskazał na żebra Jordiego.

- Tutaj. Myślisz, że amulet nie zrobi mu krzywdy?

- Jeśli mnie nie zrobił, to jemu też nie powinien. Pamiętaj, że on chodził latami z tą skórzaną mapą i nic mu się nie stało, nawet tego nie zauważył.

- Teraz pewnie też nie zauważy - przepowiadała Flavia ponuro.

Unni ostrożnie położyła amulet na piersi Jordiego i zaczęli czekać.

Nie zdając sobie z tego sprawy, siedzieli i czekali na cud.

Nic się nie działo.

- Przenieś się na tylne siedzenie i będę przytrzymywać gryfa - powiedziała Unni.

Przygotowali dla niej miejsce, drzwi samochodu zamknęli starannie i mogli ruszać dalej na północ.

Unni była strasznie rozczarowana. Dotychczas jakoś się trzymała wyłącznie ze względu na Jordiego. Teraz przyszła reakcja na zmęczenie. Po prostu chciało jej się płakać.

Nie rozmawiali ze sobą w samochodzie, żadne nie wiedziało wprawdzie, czego się spodziewali, wszyscy jednak byli głęboko rozczarowani.

Ponieważ Pedro także czuł się bardzo zmęczony, zaproponował, żeby jednak zrobić postój. Ale Flavia była zdania, że im prędzej dotrą do domu, tym lepiej. Zamieniła się więc z Pedrem na miejsca i, na ile to było możliwe, popędziła na północ. Na ile to możliwe, bo trudno pędzić po drogach północnego Bohuslan, przynajmniej jeśli człowiek nie chce się znaleźć w rowie.

Unni plastrem przymocowała amulet do piersi Jordiego, po czym skuliła się w swoim ciasnym kącie, zamknęła oczy i pogrzyżyła się w bezbrzeżnym smutku. Chłód oddzielał ją mroźną ścianą od ukochanego, ale tym się akurat nie przejmowała.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Obiad czekał. Antonio i Vesla poszli do siebie. Morten siedział w swoim pokoju i słuchał jakiejś ogłuszającej muzyki, chyba nie wyszedł jeszcze z wieku dojrzewania. Wszyscy czekali na samochód.

Gudrun upewniła się, czy w kuchni wszystko w porządku.

Zmywarka mruzczała cicho. Na szczęście w tej willi kuchnia była dobrze wyposażona. Gudrun wytarła ręce i poszła do swojego pokoiku na parterze. Było to naprawdę niewielkie pomieszczenie, alkierzyk po prostu, ale kiedy zamknie drzwi, będzie tu miała odrobinę prywatności.

Gudrun dręczyły wyrzuty sumienia, kiedy pomyślała o swoim domu w Selje. O ptakach przyzwyczajonych, że czekają na nie w karmniku smakowite okruchy. O kwiatkach, które co prawda sąsiadka obiecała podlewać, i o kursach, które Gudrun prowadzi.

Szczerze mówiąc teraz, kiedy wszyscy dranie zostali wylapani i siedzą po więzieniach, a to w Norwegii, a to w Hiszpanii, mogłaby wrócić do domu, ale najwyraźniej Antonio i Vesla, a przede wszystkim Morten czują się bezpieczniej, kiedy ona z nimi mieszka.

Zresztą sama też chciała być z Mortenem, w czasie jego długiej rekonwalescencji często myślała, by go odwiedzić, ale zawsze coś stało na przeszkodzie. Teraz pragnęła mu to wynagrodzić. I chciała tu być, kiedy przyjedzie Unni z Jordim.

Biedny Jordi!

Poza tym nigdy nie wiadomo, kiedy ich przeciwnicy zostaną wypuszczeni. Mogło do tego dojść w każdej chwili. Za dobre zachowanie, na przykład. Albo, jeśli chodzi o Emmę, to może uwieść naczelnika więzienia i dzięki temu uzyskać zwolnienie.

Uważała też, że będzie ciekawie spotkać Pedra. I okazja, by przewietrzyć trochę angielski. On podobno świetnie włada tym językiem, Gudrun miała nadzieję, że i jej znajomość angielskiego jest jeszcze użyteczna. Flavię znała już wcześniej, Włoszka była przecież macochą Mortena. Elegancka i życzliwa ludziom dama. Na Gudrun miał oczywiście wpływ fakt, że miłość Flavii i Knuta Andersena skrzywdziła jej jedyne dziecko, małą Sigrid. Flavia jednak nie chciała nikogo ranić, a przecież takie miłości się zdarzają.

Nikt nie ma gwarancji, że jego małżeństwo przetrwa. Tylko że Sigrid była szczególnie wrażliwa.

O Knucie Gudrun nie myślała za dobrze. Naprawdę niepotrzebnie zaniedbywał Sigrid

aż tak bardzo, podobnie zresztą jak później syna, Mortena. Dla tej włoskiej kobiety. Ale Flavii Gudrun nie miała nic do zarzucenia, to ona przecież nie chciała żadnego trwałego związku. Zdecydowała się dopiero po śmierci Sigrid. I do Mortena odnosiła się znakomicie, to trzeba jej oddać.

Nie, Gudrun nie miała nic przeciwko Flavii, wręcz odwrotnie.

Gdyby tylko wspomnienie biednej Sigrid nie było takie bolesne.

Dlatego też Gudrun bardzo chciała być dobra dla Mortena.

Jedyne bliskiego krewnego i jedyne wnuka!

Daj Boże, żeby znalazł sobie dziewczynę, która go zrozumie. A przede wszystkim:
Daj Boże, żeby mógł żyć dłużej niż dwadzieścia pięć lat!

Bo jeśli nic się nie zmieni, to zostało mu zaledwie parę miesięcy.

Ci, którzy podjęli w Hiszpanii próbę przezwyciężenia złego dziedzictwa, osiągnęli wiele. No ale teraz utracili Jordiego, a wraz z nim kontakt z rycerzami.

Oni wszyscy czuli się tak strasznie samotni, Gudrun dobrze o tym wiedziała.

Do kogo mieli się modlić o pomoc? Gudrun pamiętała czas przed śmiercią swego męża i później, przed śmiercią Sigrid. Nikt nie modlił się bardziej żarliwie niż Gudrun. Ale wszystko na nic.

U kogo teraz mogłaby szukać pomocy?

Taka się czuła bezsilna, taka bezsilna.

Unni ocknęła się w chwili, gdy samochód stanął; była sztywna z zimna. Z trudem odwróciła głowę.

Prace drogowe. Jak daleko już zajechali?

Zobaczyła przed sobą tablicę rejestracyjną jakiegoś samochodu.

Norweską. Dalej szyld drogowy. Norweski tekst. Miejsce nie było jej znane, ale znajdowali się w Norwegii. W takim razie musiała długo spać.

Nogi nie dawały się poruszyć, zmieniły się w dwie bryły lodu.

Unni nie miała odwagi spojrzeć na Jordiego. Obawiała się, co zobaczy. No ale skoro wciąż emanuje tym mrozem, to znaczy, że żyje. Boże, spraw, żeby tak było. Bądź tak dobry, pozwól mu żyć! O, nie, ależ jestem sztywna!

Całym wysiłkiem woli odwracała głowę, niemal słyszała, jak kręgi szyjne skrzypią.

Nagle aż podskoczyła.

On leżał na swoim miejscu i nie spuszczał z niej oczu.

- Jordi - wyszeptwała. - Ty jesteś przytomny!

Nie był w stanie odpowiedzieć.

- Jordi jest przytomny! - wrzasnęła.

Pedro i Flavia odwrócili się jak na komendę, starali się nawiązać z nim kontakt, ale skończyło się na wymianie spojrzeń. Było w nich mnóstwo pytań.

Pedro starał się, jak mógł, odpowiadać na pytania, malujące się w oczach Jordiego:

- Wkrótce będziemy na miejscu, zostało nam najwyżej dziesięć kilometrów.

Unni była zaskoczona.

- Co? Jesteśmy aż tak blisko?

- Tak jest. Więc wytrzymaj, Jordi. Antonio czeka gotów się tobą zająć. Pewnie ciekawi cię, co to za plaster masz na piersi? Unni ci to założyła. Amulet. Znaleźliśmy ten amulet w skrzyni, w trzeciej paczusce. Unni uważa, że on należał do Urraki.

W oczach Jordiego pojawił się błysk.

- I z pewnością tak jest - potwierdziła Flavia. - Pamiętasz, rycerze powiedzieli przecież, że Urraca mogłaby ci pomóc. A potem Vesla i Gudrun zadzwoniły z pytaniem, co było w trzeciej paczusce w skrzyni. Czy ty wierzysz, że amulet może ci pomóc?

- Flavia - upomniała ją Unni. - Masz zielone światło. Samochód znowu ruszył.

- Och, Pedro - skarżyła się Unni. - Widzę bardzo wyraźnie, że Jordi chce mi coś powiedzieć. Brak mu jednak sił. Czy nie masz jeszcze odrobiny kortyzonu?

- Skończył się już dawno temu, niestety. Zużyliśmy cały zapas lekarstw, jaki miałem. (Z mizernym skutkiem, pomyślał, ale głośno tego nie powiedział.)

- Jaka szkoda!

- Wkrótce będziemy na miejscu - pocieszała ją Flavia.

- Chyba że... - zaczął Pedro z wahaniem. - Zaczekajcie, możliwe, że mam jeszcze trochę...

- Tak? - niecierpliwiła się Unni.

- Mam zwyczaj schować czasami odrobinę w kieszonce wieczorowego garnituru na wszelki wypadek. Zaraz sprawdzę.

- Czy nie powinniśmy poczekać, aż dotrzemy na miejsce?

- Nie, Flavia, to nie może czekać.

Wobec tego Flavia natychmiast zjechała na parking. Właściwie była to zatoczka dla autobusów, ale zdecydowali, że na pewno w najbliższym czasie żaden autobus tu nie przyjedzie. Unni na sztywnych nogach szła za Pedrem. Dygotała z zimna przy norweskiej mglistej pogodzie. Nie padało wprawdzie, ale lada moment mogło zacząć. Wracam do Hiszpanii, postanowiła. Najszybciej jak to możliwe. Razem ze zdrowym Jordim.

- Myślisz, że on się z tego wygrzebie? - spytała cicho, gdy Pedro wyciągał swój bagaż.

Była tak przemarznięta, że z trudem trzymała się na nogach. Gdyby próbowała się pochylić, na pewno pękłby jej kręgosłup.

- Jeśli mam być szczery, Unni, to to wygląda marnie. Ale nie wolno nam tracić nadziei. Och, tak, mam to rezerwowe lekarstwo!

Zostało w kieszeni po ostatnim bankiecie. Kortyzon. Niewielka pociecha dla Jordiego, wygląda jednak, że łagodzi jego bóle przynajmniej na jakiś czas. Czy mogłabyś wyjąć strzykawkę?

Gorączkowo przygotowywali zastrzyk z drogocennej substancji.

Pedro wstrzyknął lekarstwo, potem pospiesznie wsiedli do samochodu, żeby pokonać ostatni odcinek drogi. Unni już wiedziała, gdzie się teraz znajdują, naprawdę niedaleko domu, przyjechali tylko od innej strony.

Jedna ręka Jordiego się poruszyła.

- Chyba mu lepiej - wyszeptła Unni i przysunęła się do niego, by go słyszeć. Mówił cicho, z wielkim wysiłkiem, tłumiąc atak kaszlu:

- Rycerze. Widziałem ich.

- Ale przecież znajdowałeś się w śpiączce?

- Tak. Widziałem ich wtedy. Z bardzo... bardzo daleka. Nie mogli podejść bliżej.

- Z powodu tego złego pudełka? No tak, rozumiem. Sądzisz, że oni chcieli z tobą rozmawiać?

- Tak - wykrztusił ochryple, zmęczony gwałtownym kaszlem.

Unni powtórzyła jego słowa siedzącym na przedzie. Flavia uważała, że trzeba zaczekać, aż znajdą się na miejscu, ale Pedro stanowczo się sprzeciwił.

- Tam może być za dużo ludzi, radosne powitania, zamieszanie.

Musimy się zatrzymać.

Flavia po prostu skinęła głową, nie dowiedzieli się, co myślała o takiej decyzji. Uśmiechała się tylko do Unni i szukała ustronnego miejsca, gdzie mogliby stanąć.

- Podróż z przeszkodami - powiedziała Unni z przeproszającym uśmiechem.

Flavia nigdy nie spotkała rycerzy. Chciała być z Unni i Pedrem, kiedy w niewielkim zagajniku pomagali Jordiemu wysiąść. Potem odstawiła samochód na drogę, na tyle daleko, by rycerze mogli być zadowoleni, a sama wróciła piechotą.

Przysłała na czas. Z powodu złego samopoczucia Jordi miał problemy z koncentracją i wzywanie rycerzy trwało dość długo.

Siedział skulony, oparty plecami o pień drzewa.

- Co się dzieje? - spytała Flavia.

- Ciii - szepnął Pedro. - Czekamy.

Flavia nie słyszała nadchodzących rycerzy, zobaczyła natomiast, że Unni kłania się głęboko, a Pedro pochyla niemal do samej ziemi.

Odwróciła się i podskoczyła przestraszona. Z jej gardła wydobył się stłumiony krzyk.

Konie wydawały się takie potężne. I stały tak blisko. Jeden potrząsał łbem i parskał bezgłośnie. Gdyby jednak zwierzęta były żywe, odczułaby jego ciepły oddech na twarzy, tak niewielka dzieliła ich odległość.

No i ten rycerz...! Flavia widziała kiedyś sfilmowanego „Hamleta” z Laurence'em Olivierem w tytułowej roli. Przejmujący obraz ducha ojca Hamleta na zawsze wrył się jej w pamięć. I teraz było tak samo.

Pominąwszy, że filmowy duch miał odkrytą głowę, a rycerz nosił mnisi kaptur, widziała przed sobą te same białe oczy, tę samą, trupio bladą twarz, szary zarost, pełen goryczy wyraz ust. Flavia nie wiedziała tylko, że stoi przed donem Galindo de Asturias.

Zrobiła to, co Unni i Pedro, pochyliła się z największym szacunkiem.

Rycerze nie okazali jej zainteresowania. Oczy wszystkich zwracały się ku Jordiemu. Byli zmartwieni. Jordi przetłumaczył ich myśli.

W końcu don Federico zwrócił się do swego potomka, Pedra:

„Dobrze się stało, że znaleźliście amulet. On wzmacnia siły obronne organizmu przed wszelkimi złymi atakami. Bez niego nasz potomek i obrońca by sobie nie poradził. Twoje eliksiry i proszki też są dziełem wysoko postawionej sztuki magicznej. Ale żadna z tych rzeczy, ani amulet, ani twoja magia nie wystarczy”.

- Co więc mamy robić, wasza wysokość? Odpowiedział don Ramiro de Navarra. Zwracał się do Unni: „Musicie wykorzystać wasze pół godziny”.

- Teraz? - powtórzyła przemarzniętymi wargami. Nie, nie, tylko nie teraz, prosiła w duchu, głęboko rozczarowana. To miały być najpiękniejsze chwile w moim życiu!

No tak, ale chodziło o życie Jordiego. W tej sytuacji wszelkie piękne chwile muszą poczekać. To zrozumiałe samo przez się.

- Jakie pół godziny? - dopytywał się Pedro.

„Młodzi wiedzą - odparł przodek Unni, don Sebastian de Vasconia. - Jordi potrzebuje jak najwięcej miłości i ciepła, by pokonać straszne rany, jakie zadał mu podły Wamba. A nie może ich otrzymać, dopóki dziewczyna tak strasznie przy nim marznie”.

A więc wpadliście we własne sidła, moi szlachetni, rycerscy przyjaciele, pomyślała Unni złośliwie, ale bardzo się wystrzegła, by nie przekazać tej myśli szacownym gościom. Sprawiali wrażenie szczególnie wrażliwych, jeśli chodzi o krytykę.

Ale co będzie, jeśli Jordi nie zechce przyjąć mojej miłości? Jeśli on naprawdę traktuje mnie jak młodszą siostrę i nie zgodzi się na żadne czułości?

Na polecenie rycerzy opowiedziała Pedrowi i Flavii o owej obiecanej półgodzinie, że Jordi, przez kilka nędznych chwil, może się wobec niej zachowywać jak mężczyzna. Flavia posłała jej uśmiech, który zdawał się mówić: „No patrzcie, patrzcie!” Pedro przyjął wyjaśnienia z najwyższym spokojem, jak przystało na bywałego w świecie gentlemana.

Choć Pedro był z pewnością czymś więcej niż tylko bywałym w świecie panem. Danemu było także zaglądać poza granice drugiego świata.

Unni połykała łzy.

- Oczywiście, że możemy przeżyć te nasze obiecane chwile. Ale to ma być tutaj? W tym lesie?

- Nie, nie - zaprotestował pospiesznie Jordi. Najwyraźniej on też był poruszony do żywego nieoczekiwaną decyzją rycerzy. - Jedziemy do domu. Ja to wytrzymam.

Szczerze mówiąc, nie bardzo na to wyglądał. Rycerze jednak podziękowali za spotkanie, ledwie dostrzegalnie kiwając głowami, zawrócili tak gwałtownie, że Flavia omal się nie przewróciła, i zniknęli. Pedro poprowadził swoich przyjaciół do samochodu.

Dziesięć minut później, po konsultacjach przez telefon komórkowy, krążąc po ciasnych uliczkach, dotarli do willi.

Jordi rzeczywiście miał się wyraźnie lepiej, choć to przejściowe, po zastrzyku kortyzonu szedł do domu na własnych nogach, wspierany tylko przez Antonia.

Vesla i Gudrun były wstrząśnięte jego wyglądem, a przede wszystkim tym świszczącym oddechem. Wokół oczu miał prawie czarne obręcze, a przy jego czarnych włosach i białej cerze mogłby w każdej chwili podjąć się roli Feldmarszałka Śmierci.

Flavia szepnęła do Unni:

- Gdyby to się miało skończyć tragicznie, to pamiętaj, co ci powiedziałam: „Istnieje wielu najodpowiedniejszych”.

- Nie dla mnie - odparła Unni równie cicho. - Nie dla mnie!

Gudrun robiła sobie gorzkie wyrzuty:

- Jak my, na Boga, mogłyśmy umieścić Jordiego na poddaszu?

On przecież nie wejdzie tak wysoko po schodach!

Jordi otworzył dłoń i pokazał jej amulet.

- To pomoże mi przetrwać. Lekarstwo Pedra, które rycerze nazywają miksturą, i troskliwość was wszystkich, pozwoliły mi dojechać tutaj. Ale teraz wiem, że moi towarzysze podróży są głodni, wy zaś pewnie czekacie z obiadem, bo pachnie tak smakowicie. Mogę

więc odpoczywać na kanapie w jadalni, kiedy wy będziecie jeść. Skoro wytrzymałem całą podróż z Hiszpanii, to mogę jeszcze trochę poczekać. Zresztą ja też jestem głodny.

- To dobry znak - powiedziała Gudrun z ulgą. Unni wiedziała, że to kortyzon trzyma Jordiego na nogach. Tylko jak długo lekarstwo będzie działać?

Ułożono chorego wygodnie i podano mu dymiący talerz.

Gudrun miała okazję posługiwać się swoim angielskim i uważała, że idzie jej całkiem nieźle. Bez trudu wygłaszała nawet trudne formułki, jak choćby to, że Morten powinien mieć „the opportunity to get education”, a Pedro był niebywale elegancki i uprzejmy.

Flavia rozmawiała ze swoim pasierbem, Mortenem, o sprawach, które interesują młodych ludzi. Nie popełniła ani jednego błędu, nie robiła nieprzychylnych uwag, nie komentowała jego zachowań, była szczerze zainteresowana jego przyszłością. Vesla i Antonio rzucali sobie nawzajem powłóczyście spojrzenia, pełne tajemnic, Antonio ponadto raz po raz wymieniał z Unni troskliwe uwagi na temat Jordiego.

Jak miło być znowu razem, w liczonym gronie, w poczuciu bezpieczeństwa.

Popisowe danie Gudrun, jak się okazuje, Gudrun ma ich wiele, wychwalano pod niebiosa. Wielu zebranych przy stole uważało, że bardzo przyjemnie rozgrzewa i pali w żołądku. Kiedy Jordi zjadł tę odrobinę, jaką był w stanie w siebie wmusić, położył się i zamknął oczy. Unni była przerażona.

- Mam nadzieję, Gudrun, że to nie było za ostre? Jordi uśmiechnął się blado.

- Bardzo dobrze mi to zrobiło. A teraz Unni i ja zostawimy was na jakiś czas. Mamy z sobą do pomówienia.

Wszyscy zostali już wcześniej poinformowani o czasie obiecanym przez rycerzy i dobrze wiedzieli, co to oznacza. Gudrun tak się martwiła, gdzie kogo położyć, i nieoczekiwanie sprawa rozwiązała się sama.

Otóż Flavia zapytała nieśmiało, czy nie mogłaby się wyprowadzić do hotelu w mieście. Reszta, zdając sobie sprawę, że elegancka Włoszka przywykła do lepszych warunków, odetchnęła z ulgą.

- Pedro, pojedziesz ze mną? - spytała Flavia.

On akurat rozmawiał z Gudrun i odpowiedział odrobinę nieprzytomnie:

- Co? Nie. Nie dzisiaj, Flavio. Chcę wiedzieć, jak będzie z Jordim.

Przeprowadzę się do ciebie później. Ale weź samochód.

Pomachali Flavii na pożegnanie. Gudrun uświadomiła sobie, że w takim razie, gdyby Pedro zgodził się przespać tę jedną noc na poddaszu, to Unni i Jordi mogliby zająć dużą sypialnię.

Flavii nigdy by tego nie zaproponowała, ale Pedro gotów był natychmiast wprowadzić się na górę.

W tym właśnie momencie Flavia wróciła.

- Czyście wy czegoś nie zapomnieli? - zapytała. Nie, a o co chodzi?

- O skrzynię. Skrzynia nadal stoi w bagażniku.

O rany boskie! Pedro i Antonio wybiegli pospiesznie, żeby ją przynieść.

W końcu Flavia mogła opuścić willę.

Antonio odprowadził Unni i Jordiego do najpiękniejszej sypialni.

Zbadał chorego, zmierzył mu tętno i ciśnienie, stwierdził, że brat serce ma silne, ale jego płuca właściwie, choć to może zabrzmie przesadnie, nie istnieją.

- Nie mogłeś trzymać ust zamkniętych, ty głuptasie, kiedy Wamba miotał w ciebie zatrutym ogniem? - czynił Jordiemu żartobliwe wymówki.

Na skórze nadal widniały ślady poparzeń, koszula też została zniszczona.

- Ja wiem, że Jordi miał włosy na piersi, Unni - powiedział Antonio z uśmiechem. - Ty jednak możesz sobie to tylko wyobrazić.

Na szczęście skóra się zabiłiżniła, a koszula to niewielka strata. No, to życzę wam wszystkiego najlepszego. Daj mu, Unni, mnóstwo miłości. Wiem, że stać cię na to, musisz tylko w siebie uwierzyć.

Chciałbym nad Jordim czuwać w nocy, więc zamienimy się miejscami, kiedy już minie wasze pół godziny. Ty przeprowadzisz się do Vesli, a ja zamieszkać tutaj.

Antonio wie o mnie nieprzyjemnie wiele, pomyślała Unni. Czyżby domyślał się również, że czuję się traktowana przez Jordiego jak młodsza siostra?

- I pamiętaj, Unni - powiedział jeszcze Antonio. - Że ogień Wamby był bardzo zły. Gdyby Jordi miał w sobie jakieś zło, sprawa skończyłaby się znacznie gorzej, on sam mógłby się stać sługą zła.

Ale, jak widzisz, jest równie łagodny i delikatny, jak zawsze był. To pewnie dlatego rycerze pomyśleli, że warto postawić na twoją miłość do niego. Ze właśnie twoja miłość może go ostatecznie ocalić, zabiłiżnić tę straszną ranę, jaką zadał mu Wamba.

Rozumiesz?

Unni głośno przełknęła ślinę i skinęła głową. Nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

Antonio uśmiechnął się dla dodania jej otuchy i poszedł. Drzwi zamknęły się za nim głośno.

Zostali sami.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W pokoju panowała cisza. Jordi leżał na posłaniu. Po badaniu miał na sobie tylko szorty. Unni nie bardzo wiedziała, co ma robić.

- Przykro mi z powodu tego, co się dzieje - powiedział Jordi. - Że musimy wykorzystać nasze pół godziny teraz, kiedy ja jestem półprzytomny.

Unni uśmiechnęła się. Usiadła na drugiej krawędzi łóżka, bo przy Jordim było jej okropnie zimno.

- Nie miałam zamiaru cię uwodzić - powiedziała rozbawiona.

- To by się skończyło kompletną klapą.

Chyba replika nie była zbyt szczęśliwa. Umilkli przestraszeni.

Roześmiali się znowu. Humor to wspaniałe budownicze mostów.

- A może moglibyśmy podzielić te pół godziny - zaproponowała Unni. - Kwadrans teraz, a kwadrans zostawmy na później.

Jordi słuchał z uśmiechem.

- Nie sądzę, żeby rycerzom spodobał się taki pomysł.

- Szczerze mówiąc, ja też w to nie wierzę. Jordi, czuję się strasznie bezradna. Nigdy przedtem nie byłam w takiej sytuacji.

- Co masz na myśli mówiąc „w takiej sytuacji”? Ze nigdy nie musiałaś się mierzyć z urazami zadanymi męskiemu ciału za pomocą czarów?

- No coś w tym sensie.

Jordi milczał przez jakiś czas. Kaszlał tylko strasznie. Unni zaczynała wierzyć w trochę niestosowny żart Antonia, że Jordi jest właściwie pozbawiony płuc.

- Nie ufasz, że twoja miłość jest wystarczająco silna? - spytał w końcu cicho.

- To akurat nie stanowi problemu. Trudność polega na tym, czy ty chcesz ją przyjąć.

- Dlaczego miałbym nie chcieć? Unni postanowiła złapać byka za rogi.

- Czy może nie jestem dla ciebie jak siostra? Jak młodsza siostra?

Mimo że siedziała odwrócona od niego plecami, czuła, że Jordi na nią patrzy.

- Siostra? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Ech, to jeszcze w czasie, kiedy byliśmy w posiadłości. I ty właściwie nigdy mi nie okazałeś... silniejszych uczuć.

- Naprawdę?

- No tak. I nawet w tej szopie dróżnika, kiedy znajdowaliśmy się tak blisko siebie.

- Ale przecież okazywałem ci uczucia, miałem nawet... nie, zapomnij o tym!

Unni rozjaśniła się.

- Miałeś? Naprawdę? Z mojego powodu?

- Czy to takie dziwne? - mruknął.

- Tak. Dla mnie dziwne. Ale teraz się cieszę. Byłam taka wygłodniała zainteresowania z twojej strony, jakiegoś znaku, który by świadczył, że...

- Myślałem, że rozumiesz, co pragnę ci przekazać. Nie chciałem ci się narzucać, wiem, że nie jestem szczególnie pociągający - tłumaczył zdyszany.

Unni zwróciła się do niego.

- Ależ jesteś - powiedziała gorączkowo. - Jesteś przecież... - Przerwała sama sobie. - Tylko, Jordi, ty teraz bardzo źle wyglądasz.

- Wiem o tym.

- Nie, nie o to mi chodzi. Wzywaj rycerzy, niech się zaczną ten dany nam czas, zanim zemdlejesz. Chyba kortyzon przestaje działać.

- Masz rację. Czuję się też jakoś gorzej. Czy ty musisz siedzieć tak...?

- Nie, czekam tylko na trochę ciepła. Czy mogę zgasić światło?

- Unni, no coś ty - Jordi był wzruszony. - Oczywiście, zgaś. A ja tymczasem porozmawiam z rycerzami.

Unni była bliska płaczu. Ta chwila, na którą tak czekała! Ale jeśli tylko w ten sposób może uratować Jordiego, to z radością ją ofiaruje. Nie, nie z radością. Ale z całą miłością, jaką dla niego żywi.

Wstała z łóżka, zgasła światło i rozebrała się pospiesznie.

Zdejmowała jedną część ubrania po drugiej, wszystko z wyjątkiem majtek. Z bijącym sercem wślizgnęła się do łóżka i położyła kawałek od Jordiego, by nie marznąć. On także wsunął się pod kołdrę, bo w pokoju nie było za gorąco. Ta prosta czynność była dla niego tak wyczerpująca, że Unni ogarnęły wyrzuty sumienia. Powinna była mu pomóc, ale ona zajmowała się zdejmowaniem z siebie ubrania.

Te wieczne wyrzuty sumienia, czy zdoła się z nimi wreszcie uporać? Ten, kto jako pierwszy powiedział, że kobiety rodzą się z wyrzutami sumienia, chyba nie wiedział, jak dalece ma rację.

Wszystkie kobiety z wyjątkiem Emmy, która nie miała nic wspólnego z czymś takim jak sumienie. Nie, nie wolno niszczyć takiej chwili rozmyślaniami o Emmie!

Boże, jaka jestem zdenerwowana, myślała Unni.

Nagle stwierdziła, że od Jordiego nie emanuje już chłód.

Zorientowała się, że jest coraz słabszy i w końcu całkiem ustał. Po raz pierwszy od spotkania w Stryn Jordi był ciepłokrwistym człowiekiem.

- Pół godziny rozpoczęte - oznajmiła i mówiła dalej normalnym tonem: - Postawię tutaj budzik ze świecącymi wskazówkami, to będziemy wiedzieć, ile czasu jeszcze mamy.

- Ani chwili do stracenia.

Wyciągnął do niej rękę. Nie zdążyli jeszcze rozgrzać pościeli, ale Jordi nie potrzebował takiego zewnętrznego ciepła. Jego mógł uratować tylko wewnętrzny żar.

- Jordi, jest we mnie mnóstwo miłości, którą mogę ci dać, ale jest też we mnie wielka nieśmiałość, która w tym przeszkadza.

- Oboje jesteśmy tak strasznie niedoświadczeni w tej dziedzinie.

Chodź do mnie. Nie wolno tracić czasu na rozmowy.

Unni starała się przełamać swoje kompleksy, że się do niczego nie nadaje, i przysunęła się do niego. Czowała dotyk jego wyniszczonego ciała i wiedziała, że wszystko zależy od niej, całe jego fizyczne i psychiczne życie, i ta myśl pozwoliła jej się rozluźnić.

Nigdy przedtem nie mogli sobie dać najmniejszej nawet pieśczoćoty, ale teraz przytulili się mocno do siebie, Unni oparła mu głowę na ramieniu, twarzą dotykała jego szyi. Jordi oplatał ją ramionami i całował jej włosy.

Unni wyszeptwała:

- Rozmawiać wprawdzie nie powinniśmy, ale chyba mogę ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham?

- Oczywiście, że możesz - uśmiechnął się.

Przesuwała dłonie po jego nagim ciele, rozkoszowała się dotykiem skóry, która zaczynała odzyskiwać naturalną miękkość po oparzeniu.

- Zawsze cię kochałam, Jordi - mówiła cicho, wdzięczna, że panuje ciemność i skrywa jej rumieńce. - Od tamtej chwili, kiedy zobaczyłam cię na lotnisku. Może najpierw było to tylko zainteresowanie, ale kiedy wróciłeś i pomogłeś mi w kolejce po bilety, byłam stracona. Nieodwracalnie. Nie istniał dla mnie na świecie nikt prócz ciebie. Szukałam cię, najdroższy, szukałam latami, ale przecież nic o tobie nie wiedziałam i to doprowadzało mnie do rozpacz. Musiałam cię znowu zobaczyć. Bo wyobrażałam sobie, że w twoich oczach było coś, co świadczyło, że i ty byłeś zainteresowany mną.

- Bo byłem - wykrztusił gorączkowo i Unni zrozumiała, że znalazł się znowu w tym na wpół martwym stanie, w jakim był, zanim Pedro wstrzyknął mu ostatnią dawkę kortyzonu. Środek przestał działać, Unni wiedziała, że lada moment Jordi znowu zapadnie w śpiączkę. Śmiertelną śpiączkę. Zaczęła mówić gorączkowo, pieścąc jednocześnie jego twarz,

ramiona, piersi.

- A kiedy w końcu znowu cię zobaczyłam w Stryn, Jordi, wtedy przez moment miałam ochotę rzucić ci się w ramiona, bo zdołałam sobie wmówić, że ty i ja należymy do siebie. Ty jednak słuchałeś głównie Antonia, zresztą dlaczego nie miałbyś tego robić? Ale, mój Boże, jak ja cię kochałam, najdroższy, i potem też nic się nie zmieniło, choć nie miałam odwagi ci o tym powiedzieć.

Uniosła się i oparła na łokciu. Jej wzrok padł na amulet leżący na nocnym stoliku. Wzięła go i włożyła Jordiemu do ręki. Czule całowała ukochanego w czoło, w policzki, w usta, robiła to jednak nieskończenie ostrożnie, bo nie wiedziała, czy jest przytomny czy nie.

Ale był.

- Amulet powinien należeć do ciebie - wyszeptał ledwo dosłyszalnie. - Kiedy to wszystko się skończy, weź amulet. Dlatego, że cię kocham. Kochałem cię równie długo jak ty mnie.

- Dziękuję, najdroższy, chętnie przyjmę ten dar. Teraz jednak trzymaj go mocno i myśl o dobrej czarownicy imieniem Urraca.

Wiesz, ona jest po naszej stronie, na pewno by sobie tego życzyła. Żebyś został uratowany. Jordi, ja nie mogę cię utracić! Chcę przeżyć z tobą długie życie, mieć z tobą wnuki...

- Czy przypadkiem nie przeskakujesz pokoleń? - spytał z uśmiechem.

- Owszem, ale ty wiesz, co mam na myśli. Nie chcę się wyrażać tak wprost.

- Jest w tobie tyle nieśmiałości, Unni. Na tym zresztą polega twój wdzięk. Ale... nie mogę już mówić dłużej...

- Nie mów, oszczędzaj siły - prosiła przestraszona. - Ja spróbuję przekazać ci moje.

Unni jako dziecko miała w ogrodzie sosnę. Wyrosła z samosiejki, pewnie wiatr przywiał nasionko z pobliskiego lasu. Kiedy Unni poszła do szkoły, drzewko było równe jej wzrostem. Rodzice uważali, że rośnie w nieodpowiednim miejscu, że psuje doskonałą symetrię ich ogrodu, ale Unni prosiła, by sosny nie wyrzucać, a rodzice nie potrafili jej odmówić. Przypominała sobie teraz, jak brała w ręce gałązkę, dotykała igieł i prosiła: „Daj mi swoją wolę życia, przekaz mi swoje wrodzone tajemnice, to ja ci w zamian oddam moje życiowe siły i wszelką energię”.

Czasami słowa się zmieniały. Jak wtedy, gdy mając dwanaście lat, zakochała się w pewnym chłopcu, swoim rówieśniku, wtedy prosiła sosnę, by dała jej swoją urodę, a ona w zamian odda jej radość, nadzieję i siłę. Unni wkrótce zapomniała o chłopcu, ale sosna rosła i potężniała, dawała rozległy cień w ogrodzie.

Przychodziła do swojej sosny po tym, jak spotkała na lotnisku Jordiego. Głaskała jej rozłożyste gałęzie, dotykała szorstkiej kory pnia i szeptała: „Przyjaciółko moja, jestem taka nieszczęśliwa.

Spotkałam jedyne go mężczyznę, którego chciałabym mieć. Jak zdołam go odnaleźć? Przekaż mi swoją życiową mądrość, swoją cierpliwość i spokój, a ja w zamian usunę brunatne igły spod twojego pnia...”

Dopiero później pojęła, że to całkiem naturalne, iż stare igły brązowieją, wtedy jednak martwiła się o swoją przyjaciółkę.

Nagle uświadomiła sobie, że całą tę długą historię o sośnie opowiedziała szeptem, myślała jednak, że Jordi wciąż jest nieprzytomny. Łzy popłynęły jej z oczu. Zaciskała powieki, by je powstrzymać, i pieszcząc jego wyniszczone ciało, mówiła dalej:

- Najdroższy, ukochany Jordi, daję ci całą moją energię, całą życiową siłę, jaką posiadam, przelewam na ciebie. Oddaję ci moje tak zwane magiczne zdolności, żeby mogły cię ratować. Przelewam na ciebie za pomocą pieszczot całą moją bezbrzeżną miłość, ty zawsze byłeś obiektem moich westchnień i tęsknoty, a teraz, kiedy jestem przy tobie, niczego innego już nie potrzebuję, więc wszystko, co we mnie jest, oddaję tobie, chcę poświęcić własne życie, bylebyś tylko był zdrowy. Jesteś silny, zapamiętaj to sobie, niewyobrażalnie silny, potrafiłeś przeciwstawić się wszystkim złym mocom, które na ciebie nastawały. Rycerze są po twojej stronie. Urraca chciałaby cię uratować, gdyby tylko mogła, a ja prosiłam ją, by mi użyczyla trochę swojej magicznej mocy.

Łzy wciąż toczyły się po policzkach Unni, płacz dławił w gardle i nie mogła już wydobyć z siebie ani słowa, ale przesyłała mu swoje myśli i dłońmi, które były ciepłe, ba, rozpalone do gorąca, czego nigdy przedtem nie doświadczyła, tymi gorącymi dłońmi wciąż gładziła jego ramiona, twarz, głowę. Podniosła się na posłaniu, klęczała nad nim pochylona i całowała go długo, bardzo długo.

Wargi Jordiego zdawały się być martwe, ale nie lodowato zimne, jeszcze nie, więc istniała jakaś iskierka nadziei, że nadal żyje.

Odsunęła się w tył, położyła mu ręce na piersi, gdzie znajdowała się największa rana. Trzymała je tam bardzo długo, przekazując życiową energię do płuc. Skóra Jordiego płonęła pod jej dotykiem, kiedy przekazywała mu swoją bezgraniczną miłość. Nieśmiałość, która dotychczas nie pozwalała jej pokazać, jak bardzo go kocha, zniknęła, Unni czuła się niezwykle silna. Przepęłniała ją taka moc, że wprost nie mogła oddychać. Teraz nie tylko jej ręce miały uzdrawiającą siłę, lecz całe ciało. Wydawało jej się, że tego nie zniesie, że tego już dla niej za wiele, ale mimo to nie przerywała.

Czuła pulsowanie krwi na skroniach, czuła, że uda Jordiego, których dotykała swoimi udami, robią się coraz bardziej gorące, przyciskała nogi do jego nóg, by je również rozgrzać, głaskała jego ramiona i cieszyła się, że pod jej dłońmi stają się ciepłe. A może to ciepło wypływa z jego ciała?

Przez cały czas szeptała z drzeniem:

- Kocham cię, kocham cię ponad wszystko na ziemi, mam tyle uczuć, które chcę ci dać, tylko nie wiem, jak to zrobić, byś mógł i pragnął je przyjąć.

Nie chciała wzywać rycerzy, bo to była chwila jej i Jordiego.

Uważała jednak, że i oni mogliby coś zrobić. Ale co? Tego nie umiała powiedzieć.

Choć w pokoju było ciemno, przez okno wpadało dość światła, by mogła widzieć, że Jordi ma zamknięte oczy, a twarz odprężoną jakby... jakby nie żył? Nie, odepchnęła od siebie tę myśl, nie chciała takich negatywnych uczuć, w niczym tu nie pomogą. Powinna zachować niezłomną wiarę w to, że zdoła go uratować.

Po chwili wahania zsunęła ręce niżej i dotknęła zapadniętego brzucha. Mój kochany, czy ty nic nie jadasz? myślała wstrząśnięta, ale przypomniała sobie zaraz, że to przecież nieprawda. Tylko że w ostatnich dniach przeważnie znajdował się w śpiączce, a ta odrobina, jaką zjadł dzisiaj, nie nasyciłaby nawet ptaka.

Choć ptaki jadają skandalicznie dużo, pomyślała. Takie dziwaczne komentarze do rzeczywistości przychodziły jej do głowy w najmniej odpowiednich momentach.

Przesuwała rozpalone dłonie po jego brzuchu i biodrach, kości sterczały mu pod skórą niczym noże, Unni aż jęknęła. Mój Jordi, myślała. Coście wy zrobili z moim Jordim?

Zsunęła lekko w dół jego szorty, choć nie za bardzo, i całowała te wychudłe biodra, pieściła wargami brzuch, leżała tak przy nim przez chwilę. A potem ruszyła w górę, całowała brzuch tam, gdzie znajduje się przepona, całowała żebra i dotykała ustami skraju uszkodzonej skóry. Zostało tam jeszcze kilka niewielkich strupów, poza tym płytkie oparzenie zabiłżniło się już całkiem.

To wewnątrz Jordiego potrzebowało wielkiej uzdrawiającej siły, by można go było uratować. Jordi znalazł się jedynie na skraju przestrzeni objętej ogniem Wamby, ale opary trującego ognia tak uszkodziły jego płuca, że normalny człowiek padłby martwy na miejscu. Fakt, że Jordi przeżył tak długo, stanowił niezbity i bolesny dowód na to, jak dalece on normalnym człowiekiem nie jest.

Serce Unni krwawiło. A jej miłość wzrastała, była teraz silniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

Przerwała próby rozgrzania Jordiego dłońmi, położyła się tylko u jego boku, przytuliła

się tak mocno, jak mogła, z policzkiem przy jego chudym ramieniu, a płynące z jej oczu łzy spadały na piersi Jordiego. Starła się otoczyć go ciepłem swoich uczuć, gorącym oddaniem, chciała, by zrozumiał, że ma w niej przyjaciółkę gotową ofiarować życie za to, by on mógł żyć.

Westchnęła cicho, czuła się rozpaczliwie bezradna. Oddała mu już wszystko, prawie nic nie zostało.

Powoli rozrastała się w niej przerażająca świadomość: ciało Jordiego stawało się coraz zimniejsze.

Nie! Nie! szlochało w niej wszystko. To nie może być koniec! Nie tak!

Nagle jednak przypomniała sobie. Uniosła głowę i spojrzała na zegarek.

Pół godziny dobiegło końca.

I o ile mogła się zorientować, stan Jordiego nie poprawił się ani odrobinę. Raczej przeciwnie.

Po prostu nie potrafiła nic zrobić. Nie umiała.

Ubrała się i wyszła do reszty towarzystwa. Zdumiało ją, że nadal jest dość wczesny wieczór.

Z kuchni docierały do niej fragmenty wesołej rozmowy Vesli i Antonia, najwyraźniej to oni podjęli się posprzątania po obiedzie.

Pedro i Gudrun pograżeni byli w dyskusji na temat wpływu pogody na gospodarkę. Na górze, w pokoju Mortena, dudniła muzyka.

Gudrun pierwsza dostrzegła pełną rozpacz minę Unni i zastukała w sufit do Mortena. Muzyka ucichła, Morten zszedł na dół. Antonio i Vesla wyszli z kuchni.

- Nie udało mi się - jęknęła Unni żałośnie. - Zajrzyj do niego, Antonio.

Antonio poszedł, a pozostali czekali w napięciu.

- Myślisz, że sprawy przybrały niedobry obrót? - spytała Gudrun cicho.

Unni potrząsnęła głową, oczy miała pełne łez.

- Moim zdaniem to nieodwołalnie zmierza do końca. On już się nawet nie porusza.

Zaczęła płakać, Vesla usiadła przy niej.

- Zrobiłaś, co mogłaś.

- Ale to nie wystarczyło.

Milczeli. Nikt nie miał nic więcej do powiedzenia. Po chwili wrócił Antonio.

- Możemy się zamienić na pokoje, Unni? Unni zerwała się z miejsca.

- Ale on chyba nie...?

- Żyje, żyje - odparł Antonio uspokajająco.

- Kiedy wychodziłam, leżał bez ruchu...

- Może teraz swobodnie oddychać. Nie wiem, Unni, co zrobiłaś, ale już samo to, że oddycha, jest wielkim krokiem naprzód. Nie kaszle, nie musi walczyć o powietrze.

Unni wydała z siebie cichy, nieartykułowany dźwięk i wszyscy zrozumieli to jako wyraz bezgranicznej ulgi.

- Ale - ostrzegł Antonio - Jordi jest jeszcze bardzo daleki od wyzdrowienia. Na to trzeba czasu.

- To zrozumiałe - powiedziała Gudrun. - Ale tak bardzo się wszyscy cieszymy!

- Czy mogę do niego pójść? - poprosiła Unni przejęta.

- Nie teraz. Jordi śpi - odparł Antonio. - Dałem mu zastrzyk i powinniśmy zostawić go w spokoju. Nie trzeba mu przeszkadzać.

- A co myślisz o mnie? - spytała Unni cichutko z niepewnym uśmiechem.

Antonio roześmiał się głośno. Widać było, że odczuwa wielką ulgę.

- Jest tak, ja mówiłem. Jordi jest wyjątkowym człowiekiem.

Jego wszechogarniająca dobroć sprawiła, że atak Wamby nie był w stanie go zniszczyć. Choć przecież bardzo mu zaszkodził. Ale miłość Unni, amulet, lekarstwa Pedra, a także sam Jordi połączonymi siłami zwalczyli zło.

- Oraz twoja biegłość lekarska - dodała Gudrun. - Wszystko to razem złożyło się na wielką moc. Wamba nie miał szans!

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W hiszpańskim więzieniu dwaj strażnicy siedzieli przed monitorami, na których widać było wszelkie ruchy na korytarzach i większość tego, co działo się w celach. Przed sobą na stole mieli długi chleb oraz półmisek z szynką i serami, przed każdym stał kubek z pićm.

Była północ, pozostawało jeszcze wiele godzin do zmiany warty.

- Patrz, tamten znowu zaczyna - stwierdził jeden ze strażników ochryple. Jego kolega kulił się, spoglądając na ekran monitora. - Nic na to nie poradzę, ale na jego widok włos mi się jeży na głowie i przenika mnie dreszcz.

- On się nie nadaje do więzienia. Takich ludzi powinno się zamykać w domu wariatów. I wiązać skórzanymi pasami.

- I trzymać z opaską na oczach. To potwór.

- Powinno się takiego zastrzelić.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Raz po raz któryś odłamywał kęs chleba i żuł go. To znowu zjadał kawałek smakowitej, hiszpańskiej szynki i popijał głośnie z kubka.

- Co on robi?

- Nie widzę dokładnie. To chyba jakiś rytuał czy co...

- Nawet ten jego koleżka się go boi. Facet powinien siedzieć w pojedynce.

- Na pewno! Widziałeś go bez koszuli?

- Widziałem. Nie daj Boże, wygląda jak dzikie zwierzę!

- Jak długo mamy go tu trzymać?

- Podobno ma stanąć przed sądem w przyszłym tygodniu.

- Mam nadzieję, że trafi na długo do więzienia. I nie będzie siedział u nas. Co oni na niego mają?

- Niewiele. Wkrótce znowu znajdzie się na wolności. Ale miał już przedtem wyroki, może to trochę pomoże.

- Całe szczęście. Nie chciałbym się z takim spotkać na drodze.

- Oj, nie! A czy ty też zauważyłeś to, co ja?

- Co takiego?

- Że z nim coraz gorzej.

- Rzeczywiście. Od czasu, kiedy go wsadzili, z każdym dniem jest gorzej. Parę dni temu pozwolili mu nawet na spotkanie z ukochaną, ale ona nie chciała mieć z nim do czynienia. Trzeba ci było zobaczyć jej twarz, kiedy uciekała z pokoju widzeń. Ten grymas

przerażenia. A on dosłownie za nią ryczał. Wszyscy strażnicy musieli go trzymać.

- Pojąć nie mogę, co taka seksowna kobitka w nim widziała.

- Jego kumpel mówi, że jeszcze niedawno ten facet był całkiem w porządku.

- A co z tym kumplem? Jak to on ma na imię? Alfonso?

- Alonzo. Stary znajomy policji w wielu miejscach Hiszpanii. Ale żadnych dłuższych wyroków się nie dorobił. Taki drobny rzezimieszek.

- No, a panienka?

- Niekarana. Niedługo stąd wyjdzie, zresztą uwodzi sędziego.

Mówi, że jest Norweżką, ale obywatelstwo ma hiszpańskie.

- A reszta drani, których zgarnęliśmy?

- To płotki. Wiesz, tacy, co to szlifują podłogi w aresztach, ale przeważnie nie ma na nich nic konkretnego.

- Ale pracują dla tego, tam?

- Tak mi się wydaje. Teraz wszyscy są za kratkami, cała banda.

Podobno mają jakichś pomocników w Norwegii, ale tamtych też norweska policja wyłapała, więc akurat w tej chwili banda nie ma wielkiej wartości.

- Może nie - powiedział drugi ze strażników sceptycznie, ze wzrokiem skierowanym na to, co dzieje się w celi straszego więźnia. - A może jednak.

Leon prosił i klął na przemian. Siedział na swojej pryczy i oczu nie spuszczał z zamka w drzwiach celi.

- Otwórz się - syczał przez zęby. - Otwórz się! Ja wiem, że potrafię cię do tego zmusić. Poczekaj, zaraz cię otworzę, ty przeklęty skoblu!

Koncentrował się ze wszystkich sił. Przekrwione oczy zaczynały go boleć, ręce to się zaciskały, to otwierały.

- Zapomniałem... Zapomniałem formułkę. Dlaczego, do cholery, tego nie pamiętam? Wszystko jest takie zamazane, niczego nie mogę sobie dokładnie przypomnieć.

Leon otarł pot z czoła.

- Dlaczego ta przeklęta Emma tak uciekała, jakby jej sam diabeł deptał po piętach? Już ja jej powiem, niech no tylko stąd wyjdę.

Wiem, że Alonzo też siedzi, ta kreatura. On się mnie boi. Ale Emmy teraz dostać nie może, a ja wyjdę stąd przed nimi. Żebym sobie tylko poradził z tym zamkiem, jak brzmi ta formułka? Myśl, Leon, myśl.

Formułka, której nauczyła mnie ta diablina, Urraca, zanim zerwała naszą współpracę. No i dlaczego to zrobiła? Moglibyśmy być niepokonani, gdybyśmy połączyli swoje magiczne

umiejętności, uff, kręci mi się w głowie, wszystko jest takie niewyraźne, niczego nie mogę rozpoznać. Emma? Kim jest Emma? Nie znam żadnej Emmy.

Gdzie ja jestem? I kim jestem? Nie mogę się w tym całym zamieszaniu połapać. Wstał i zaczął szarpać kraty małego okienka w drzwiach celi. Ale te były mocne, przyspawane od góry i od dołu do stalowych drzwi. Nie ma możliwości, żeby je wyrwać.

- Wypuście mnie! - ryknął. - W imieniu świętej inkwizycji wzywam was, wypuście mnie stąd!

Za drzwiami pojawił się strażnik.

- Stul pysk, ty potworze! - syknął. - Obudzisz całe miasto!

W strasznej wściekłości Leon zdarł z siebie więzienną koszulę.

Strażnik gapił się na okropne sine znamię, jakie więzień miał na boku. Właściwie wyglądało ono obrzydliwie, jak wieloletnia rana, która nigdy się nie goi. Ale zrobiło się teraz większe, o wiele większe.

Z dreszczem obrzydzenia wrócił do pokoju strażników, odprowadzany ordynarnymi przekleństwami i wyzwiskami Leona.

Zamknął ciężkie drzwi na klucz i pogrążył się w ciszy dyżurki.

Jego towarzysz powiedział:

- Kogut zaczyna piąć w sąsiednim obejściu. Dnieje.

- Dzięki niech będą Świętej Dziewicy - westchnął przybyły z ulgą. - Niedługo zjawi się dzienna zmiana.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Następnego dnia Antonio absolutnie zabronił, by ktokolwiek prócz niego odwiedzał Jordiego. Rekonwalescent potrzebował odpoczynku, dostał wszelkie niezbędne lekarstwa i już to samo było wielkim obciążeniem dla jego zniszczonych płuc. Teraz śpi i prawdopodobnie będzie spał też i przez następny dzień.

Wszyscy to, oczywiście, akceptowali. Wszyscy byli też zgodni co do tego, że nie należy podejmować tematu zagadki rycerzy, dopóki Jordi nie będzie mógł brać w tym udziału. Dzień zresztą mijał szybko, było mnóstwo pracy, jak to w nowym domu, do którego zjechało wiele osób.

Morten ćwiczył pod opieką Antonia i Vesli, którzy nachwalić się nie mogli, jak wielkie czyni postępy. Właściwie był wyrehabilitowany. Jakies konsekwencje wypadku będzie, rzecz jasna, odczuwał zawsze, ale nie na tyle dokuczliwe, by nie mógł tego znieść.

Gudrun i Pedro wiele z sobą rozmawiali. Mieli mnóstwo wspólnych zainteresowań i to samo poczucie humoru - bardzo dyskretne, w typie raczej angielskim niż skandynawskim czy hiszpańskim. Różniące się od poczucia humoru Unni, nie mówiąc już o dość surowym dowcipie Mortena.

Unni pożyczyła od Vesli starą maszynę do pisania, niemal przez cały dzień siedziała w swoim pokoju i pisała. Morten proponował jej swój komputer, ale podziękowała, ta maszyneria budziła w niej pełen szacunku lęk.

Po południu wpadła na chwilę Flavia. Dzień spędziła na zakupach i teraz wszyscy dostali od niej małe, wzruszające upominki. Na obiedzie zostać nie mogła, bo umówiła się z dawną przyjaciółką.

Wszyscy rozmawiali ściszymi głosami i chodzili niemal na palcach, by nie przeszkadzać Jordiemu. Antonio był im za to szczerze wdzięczny.

Następnego ranka Jordi się obudził i Unni mogła do niego na chwilę wejść. Leżał w czystej szpitalnej koszuli z krótkimi rękawami, którą Antonio przyniósł do domu, i z jednym ze swoich najcieplejszych uśmiechów wyciągał do Unni rękę.

Ona rozpromieniła się jak wschodzące słońce. Stała z ręką w jego dłoniach i patrzyła na niego z oddaniem, które o mało nie rozerwało jej serca na strzępy.

- Dziękuję za wczorajszy wieczór, Unni - powiedział Jordi tym głęboko zmysłowym głosem, który kiedyś wzbudził w niej tyle uczuć. - To znaczy przedwczorajszy, chciałem powiedzieć.

Ona przyjęła to z jeszcze szerszym uśmiechem. Nie zachowuj się jak idiotka, upominała sama siebie, ale była po prostu uszczęśliwiona.

- I dziękuję ci za historię o sośnie - mówił dalej Jordi. - To bardzo piękna opowieść i właśnie czegoś takiego potrzebowałem.

Uśmiech Unni zbladł.

- Słyszałeś ją? - spytała z wytrzeszczonymi oczyma.

- Kochanie, ja słyszałem wszystko. I wszystko czułem. Tylko nie byłem w stanie się poruszyć ani w żaden sposób nawiązać z tobą kontaktu.

- Oj - jęknęła Unni.

Jordi roześmiał się z wielką czułością.

- Ty naprawdę jesteś bardzo nieśmiała. I bardzo cię za to lubię.

Nie zniszczyłaś niczego zawczasu.

Zawczasu? zastanawiała się, a lodowate szpileczki sunęły w górę ramienia i paraliżowały jej rękę. Kochany, to było nasze pół godziny!

Nie mamy wiele szans być ze sobą tak blisko. Zapomniałeś?

Kiedy wciąż stała, czerwona jak piwonia, z pełnym bezradności wzrokiem, Jordi powiedział:

- Usiądź, proszę. Muszę ci porządnie podziękować. Przycupnęła na skraju łóżka, a on przyciągnął ją do siebie i całował tak długo, aż wargi zrobiły jej się całkiem fioletowe z zimna, a ona cała zeszytniała i znowu nie była w stanie się ruszyć.

Jordi dopiero teraz uświadomił sobie, co zrobił, i z bolesnym jękiem wypuścił ją z objęć. Zasłonił twarz dłońmi.

- Tak mi przykro, Unni. Naprawdę bardzo mi przykro. Myślałem, że wciąż jeszcze trwają te cudowne chwile z przedwczoraj.

- Nic nie szkodzi - odparła zdrętwiałymi wargami. - Najważniejsze, że wiemy, jak bardzo się kochamy. Dzięki temu poradzimy sobie ze wszystkim.

Znowu spontanicznie wyciągnęła do niego rękę, ale natychmiast ją cofnęła.

- Ech, to beznadziejne, nie móc cię dotknąć ani się do ciebie zbliżyć, bo zaraz grozi katastrofa! Ale wiem, że mam twoją miłość, i to mi wystarczy - powiedziała z uśmiechem. - Na razie.

Jordi nie był w stanie jej odpowiedzieć.

- Antonio chce, żebym został jak najdłużej w łóżku - zmienił temat. - Ale ja protestuję. Nie wydaje mi się to konieczne. On twierdzi, że minie dużo czasu, zanim będzie mógł mnie uznać za całkiem zdrowego.

- Najważniejsze, że wszystko jest na dobrej drodze.

- Oczywiście! Kryzys minął. Dzięki tobie.

- Pomogła też Urraca i mnóstwo innych. Myślę jednak, że naprawdę potrzeba dużo czasu, żeby odtworzyć nieistniejące płuca.

- Niestety, to prawda. Ale zwycięstwo należy do nas.

Pokonaliśmy Wambę. Definitywnie i nieodwołalnie. To główna sprawa.

- Tak jest, pokonaliśmy go. Jesteśmy niezwycięzeni!

Flavia nie była rannym ptaszkiem, mimo wszystko jednak zdążyła przyjechać na lunch. Jeżeli chodzi o ścisłość, to wszyscy zaspali tego ranka i do śniadania po prostu nie miał kto siadać, w miarę, jak się pojawiali, każdy wypijał w kuchni kawę i już.

Flavia została poinformowana o stanie Jordiego i pozwolono jej wejść do niego na chwilę. Zastała tam Unni, która jednak zaraz się ulotniła, by dwoje starych przyjaciół mogło porozmawiać w cztery oczy.

Jordi czuł się na tyle silny, że zlekceważył zalecenia młodszego brata i nie chciał leżeć w łóżku.

- Albo będę mógł zejść do was - oznajmił Flavii. - Albo wy przeniesiecie się do mnie z lunchem.

- Znakomicie! - ucieszyła się Flavia. - Mam różne nowiny do przekazania, włóż więc na siebie coś przyzwoitego i możesz mi dotrzymywać towarzystwa przy stole!

No i było tak, jak chciała. Bo zazwyczaj było tak, jak chciała Flavia. Mimo że Antonio burczał coś na temat braku odpowiedzialności, Jordiemu pozwolono siedzieć przy stole. I mimo że był blady, chudy i wynędzniały, w jego oczach widzieli wolę walki.

- Miałaś nam przekazać jakieś nowiny, Flavio - przypomniał Pedro.

- No właśnie, i są to nowiny dosyć szczególne. Nie podobało mi się, że mieszkacie tak wszyscy razem. Ktoś mógłby zaatakować...

- Nie martw się, jesteśmy dobrze ukryci - uspokajał ją Morten.

- To prawda, ale istnieją możliwości wytropienia ludzi, jeśli tylko ktoś bardzo chce. Zatelefonowałam więc do hiszpańskiego więzienia, w którym siedzi Leon, żeby się upewnić, że on i jego kompani nadal są pod kluczem.

Zrobiła retoryczną pauzę.

- No i...? - niecierpliwił się Pedro.

- Są. Wszyscy, jak jeden mąż. Ale z Leonem coś się stało.

- Coś się stało? - powtórzył Antonio. - Mam nadzieję, że wszedł w drogę na przykład plutonowi egzekucyjnemu albo wpadł na minę czy coś w tym rodzaju i w konsekwencji

zniknął z powierzchni ziemi.

- Niestety, nie takiego. On... W nim dokonuje się przemiana. Z dnia na dzień głębsza.

- Tylko nie mów, że stał się człowiekiem religijnym, bo nie uwierzę - stwierdził Jordi sucho.

- Nie, nie - Flavia mówiła tym samym tonem co Jordi. - To coś dużo gorszego. Coś trudnego do pojęcia. Zmienia się cała jego osobowość pod względem psychicznym, lecz także zewnętrznie.

- To możliwe? - zdziwiła się Vesla.

- Naprawdę niełatwo w to uwierzyć, ale tak jest. On się naprawdę zmienia. Pod wszelkimi względami staje się, jak mi mówiono, bardziej prymitywny, także głos mu się zmienił, stał się niski, ordynarny, on cały się jakby rozrasta, włosy ma siwe, potargane, ryczy i warczy na ludzi, odprawia jakieś dziwaczne rytuały czy ceremonie, zdające się nie mieć celu ani sensu. Sam sprawia wrażenie zagubionego, jakby nie pojmował tej przemiany, a wszyscy się go śmiertelnie boją. Nikt z jego bandy nie chce mieć z nim do czynienia. Emma okazuje mu obrzydzenie, a najgorsze jest to, że... Nikt z zebranych przy stole nie mógł jeść. Z niepokojem wpatrywali się we Flavię.

- Otóż on ma na boku jakąś ranę. Z początku wyglądało to jak plama na skórze, która go swędziała. Teraz to jest otwarta rana, która powiększa się z każdym dniem i na którą nie można patrzeć, taka jest obrzydliwa.

- Rana? - spytał Pedro dziwnie bezdźwięcznie. - Rana na prawym boku?

- Ech, nie bardzo wiem... No tak, to prawda, dyrektor więzienia mówił o prawym boku. Zgadza się. Skąd o tym wiedziałeś?

Pedro spojrzał na Unni i westchnął.

- Nie mam pojęcia, ile ty wtedy widziałaś, Unni. Być może tylko ja i Elio mogliśmy to zauważyć.

Unni siedziała nieporuszona. Domyślała się, co teraz nastąpi.

- Co ty chcesz powiedzieć, Pedro? - niepokoił się Antonio.

Hiszpan zwrócił się do Jordiego.

- Ty wiesz, prawda? Jordi skinął głową.

- Tak, chyba wiem, co masz na myśli, Pedro.

- No to powiedzcie nam w końcu! - poganiała ich Flavia niecierpliwie.

Pedro był w bardzo złym nastroju.

- Kiedy Wamba ruszył do ataku na Jordiego, strumień ognia ledwo musnął naszego przyjaciela. I Jordi jest dobrym człowiekiem.

Powiedziałbym nawet, nadzwyczaj dobrym. Ale kiedy odrąbał potworowi głowę, to ta głowa, spadając, trafiła w Leona, w jego prawy bok. A Leon dobrym człowiekiem nie jest, wprost przeciwnie.

Zaległa kompletna cisza. Cisza pełna grozy.

Unni dostała mdłości. Chwyliła rękę Jordiego i trzymała ją kurczowo, choć teraz on był znowu taki lodowato zimny jak dawniej.

- Więc ty myślisz - Morten zwrócił się do Pedra złowieszczym głosem. - Więc ty myślisz, że Leon jest na najlepszej drodze, by przemienić się w...

- W Wambę - dokończyła Vesla.

- Szczerze mówiąc na to wygląda, jakkolwiek nieprawdopodobnie to brzmi. Tylko co w tej historii nie jest nieprawdopodobne? Tak, jest tak, jak mówię. Leon został naznaczony stygmatem czarownika.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wszyscy potrzebowali trochę czasu, by się oswoić z tą myślą.

Nie, nie, żaliła się Unni w duchu. Przecież nie dalej jak godzinę temu cieszyliśmy się oboje z Jordim, że Wamba został pokonany.

Tymczasem niczego takiego nie dokonaliśmy, raczej przeciwnie!

Leon i Wamba są teraz jednym, czy można sobie wyobrazić potworniejszą kombinację?

Najgorsze dla wszystkich było podejrzenie, że Leon mógłby przejąć magiczne zdolności Wamby. Wtedy byłoby z nimi naprawdę źle!

Przy stole zapanował nastrój przygnębienia, beznadziei i rozpacz.

- Ciekawe, czy Leon wie, co się z nim dzieje? - zastanawiała się Gudrun.

Pedro posłał jej pospieszny uśmiech.

- Nie sądzę. Jest kompletnie oszołomiony, nie rozumie swojej sytuacji. Przypuszczalnie stoi jedną nogą tu, drugą tam, nie uważasz, Flavio, że tak właśnie jest?

- Też mi się tak wydaje. Bo przecież Leon nie jest chyba potomkiem Wamby? Ani też w przeszłości nie był czarownikiem?

- Nie, nic podobnego, Leon pochodzi od jednego z mnichów.

Nie, nie, Leon nigdy nie miał nic wspólnego z Wambą. Ma tylko ciało odpowiednie dla czarownika, który pragnąłby się odrodzić, ulokować swego ducha w ciele kogoś innego. Nie mógł wykorzystać do tego celu Jordiego, bo Jordi ma zbyt silny charakter. No a Leon świetnie się nadawał na ofiarę. Morten jęknął.

- Kiedy nareszcie będzie koniec tym wszystkim okropieństwom?

- No właśnie, ciekawe - westchnął Pedro.

Unni wyczuwała nastrój napięcia, panujący przy stole, całkiem niezwiązany z ponurym tematem rozmowy. Przyjmowała takie sytuacje bez entuzjazmu, najchętniej by się pozbyła tego rodzaju zdolności. Przyglądała się po kolei wszystkim zebranych. Morten był lekko naburmuszony, zresztą przeważnie taki bywał. Antonio wyglądał na zatroskanego. Nic dziwnego, ani nieoczekiwana zmiana w całej historii, ani stan Jordiego nie nastrajały optymistycznie.

Vesla sprawiała wrażenie nieobecnej duchem, jakby miała jakieś własne problemy. W końcu Unni napotkała spojrzenie Jordiego, dostrzegła w nim zachwyty i wyraz oddania, co odwzajemniła uśmiechem. Gudrun nigdy nie wyglądała lepiej niż dzisiaj, była zadowolona w

jakiś inny sposób. Choć Unni przypomniała sobie, że przed południem, w kuchni, widziała Gudrun ocierającą ukradkiem oczy. Pedro przewodniczył zgromadzeniu, wyrażał się zwięźle i precyzyjnie, Flavia zaś uważnie oglądała swoje paznokcie, widocznie na lakierze porobiły się rysy.

Nie, Unni niczego szczególnego nie mogła zaobserwować. Mimo to miała wrażenie, że coś się tu dzieje.

Dlaczego raz po raz przypominała sobie słowa Flavii, że „istnieje wielu najodpowiedniejszych?” A może Flavii chodziło o Jordiego?

Może on ma inną?

Jaką inną, Boże drogi, już kiedyś taka myśl przyszła jej do głowy, ale ją od siebie odepchnęła. A Vesla? Co takiego dręczy Vesłę?

Pedro zapytał zdecydowanie:

- Czy wszyscy zjedli?

- Ja nie jestem głodna - powiedziała Unni, a wielu ją poparło. Po prostu stracili chęć do jedzenia. Razem posprząтали ze stołu.

Pedro zaproponował, by zaraz potem zabrali się do odczytywania papierów, znalezionych w skarbie Santiago. Przystali na to chętnie, tylko Flavia miała najpierw życzenie:

- Dopóki jeszcze siedzimy przy stole... tak, proszę wszystkich, którzy stoją, żeby znowu usiedli. Jak wiecie, znaleźliśmy się w beznadziejnej sytuacji. To bardzo trudne...

Wyciągnęła rękę.

- Spójrzcie na mnie, drodzy przyjaciele, splećmy ręce w łańcuchu wokół stołu i pomódlmy się! O co, czy do kogo będziecie się modlić, to już wasz prywatny wybór, ale tak czy inaczej potrzebujemy wsparcia siły wyższej.

Zrobili, jak prosiła, choć początkowo z wahaniem. Unni nie powinna siedzieć obok Jordiego, to oczywiste, ale kiedy on wyciągnął rękę do Gudrun, krzyknęła:

- Nie!

Wszyscy spojrzeli na nią pytająco.

- Przepraszam - szepnęła. - Ale mam wrażenie, że Gudrun też wyczuwa chłód Jordiego.

- To prawda - potwierdziła babka Mortena. - Może nie tak intensywnie jak ty, ale rzeczywiście marznę w pobliżu Jordiego.

Skąd o tym wiesz?

- Przypomnij sobie nasze pierwsze spotkanie, Gudrun. Kiedy jechaliśmy do

Gramannsgard i ja siedziałam obok Jordiego w samochodzie, to ty wiedziałaś, z czyjego powodu tak okropnie marznę. Musiałaś wyczuwać płynące od niego zimno.

- Masz rację, wyczuwałam.

Morten, jak zwykle, zgłaszał mnóstwo zastrzeżeń.

- Dlaczego akurat ty, babciu, to czujesz? Przecież nie jesteś zakochana w Jordim?

- Oczywiście, że nie - odparła Gudrun. - Ale my z Jordim od samego początku mieliśmy szczególne zrozumienie dla innych, prawda, Jordi?

- Prawda - przytaknął. - Zrozumienie dla bliźnich. Nie potrzebujemy żadnych słów, po prostu więcej czujemy.

- Jakie to piękne - westchnęła Vesla. - Szczerze mnie to wzruszyło.

- I mnie - przytaknęła Unni.

- Ale przecież wszyscy lubimy Jordiego - wtrącił Morten.

- Tak jest - potwierdził Pedro. - Tylko widzisz, w uczuciach jest tak wiele niuansów.

- Mówcie, mówcie dalej, jak bardzo mnie lubicie - śmiał się Jordi.

Bardzo to poprawiło nastrój. Zamienili się miejscami, Jordi otrzymał „neutralnych” sąsiadów, łańcuch został zamknięty.

Unni nie bardzo wiedziała, do kogo ma się modlić. Zwykle zwracała się do bardzo wielu świętych, duchów, aniołów i kogo tam jeszcze na raz. A teraz nawet nie zdążyła się zdecydować, gdy Flavia już uniosła głowę i rozerwała łańcuch.

- To były bardzo uroczyste minuty - westchnęła. - To co, Pedro, możemy spojrzeć na papiery?

Kiedy poszedł je przynieść, Unni i Vesla przekomarzały się na temat, która z nich pierwsza przeczyta grzeszne pamiętniki Estelli.

Unni wygrała argumentem, że zna hiszpański lepiej niż Vesla.

Pedro, który tymczasem wrócił, ostudził ich zapał. Dziennik, czy jak to nazwać, powinien poczekać, najpierw trzeba przejrzeć inne papiery.

- Masz dość sił, by nam towarzyszyć, Jordi?

- Za nic na świecie z tego nie zrezygnuję, ale... czy mógłbym usiąść na kanapie?

Pedro zatroszczył się, by wszyscy mieli wygodne miejsca. Jordi zajął połowę kanapy, nogi oparł na kolanach Gudrun, siedzącej na drugim jej końcu. W pokoju znajdowała się jeszcze jedna kanapa, a właściwie duży narożnik, na którym rozsiedli się Vesla i Antonio, Unni i Morten. Dla Flavii i Pedra były wygodne fotele. Wszystkie te wspaniałe meble zostały tutaj przywiezione z małego mieszkanka Vesli. To była jej największa inwestycja, kiedy zamieszkała samodzielnie. No i teraz bardzo się przydały.

- Jest tu kilka spraw, które mnie bardzo zainteresowały - zaczął Pedro, przekładając ostrożnie rozpadające się arkusze i odkładając na bok te, których na razie nie potrzebował. Z listem dona Felipe już skończyliśmy. Z drzewem genealogicznym też. Teraz chciałbym się zapoznać z tak zwaną teorią Santiago i z tym prastarym listem...

Pedro jest dzisiaj jakiś nieswój, zauważyła Unni. Czy to z tego zmartwienia zrobił się taki nerwowy? I to przez cały dzień, nie dopiero teraz, kiedy usłyszeli szokujące nowiny na temat Leona.

Jego szczupła, szlachetna twarz była ściągnięta i skoncentrowana, bardzo rzadko spoglądał na otaczające go osoby. Jakby miał jakiś dylemat lub na przykład dręczył go konflikt sumienia, Unni nie potrafiłaby tego określić.

Pedro mocno ściągnął brwi.

- Dziwne - rzekł. - Niech no jeszcze raz spojrzę... Tu mamy drzewo genealogiczne, tu jakieś mało interesujące papiery. List dona Felipe... - Przejrzał wszystko jeszcze raz, zajrzał do skrzynki. - Tu też nie ma! Ani teorii Santiago, ani tego starego listu!

- Co u licha? Wszyscy byli głęboko poruszeni.

- Jak się to mogło stać? - zawołała Flavia przerażona. - Czy może ktoś z was to wziął? Wszyscy stanowczo zaprzeczali.

- Nikt niczego nie pożyczył? - spytał Pedro jeszcze raz bardzo stanowczo. Teraz wyraźnie było widać, że to człowiek władczy, nawykły do zarządzania. Z pewnością często się zdarza, że ludzie przed nim drżą.

Na chwilę zaległa kompletna cisza, potem Unni powiedziała niepewnie:

- Ja sobie niczego nie pożyczyłam. Ale wtedy, w Saragossie, pamiętacie, kiedy Pedro wziął Jordiego do siebie, żeby przy nim czuwać, Elio i ja weszliśmy jeszcze do pokoju Jordiego. I ja spytałam Elia, czy myśli, że mogłabym przejrzeć papiery, które leżały na stole.

On się wahał, w końcu jednak przystał na to pod warunkiem, że będę bardzo ostrożna. Naprawdę bardzo się starałam. Starego listu w ogóle nie dotykałam, natomiast siedziałam dość długo i przepisałam kawałek „teorii Santiago”. Tego w ogóle były dwie strony, a ja przepisałam jakieś dwie trzecie pierwszej. Przerwałam, bo to było dla mnie za trudne. Ale zapewniam, że odłożyłam papiery na miejsce, bardzo ostrożnie i starannie, schowałam je do skrzyni, a drzwi pokoju zamknęłam na klucz. Mogę złożyć przysięgę.

Pedro miał ponurą minę. Unni została uratowana przez Flavię.

- Tak było, ja je przecież widziałam. W gospodzie w Niemczech, wtedy jeszcze znajdowały się na miejscu.

Jordi również przytakiwał. Pedro przyjął wyjaśnienia.

- Musiały zginąć później. Ale kiedy? Zastanawiali się. Cała czwórka, która podróżowała samochodem: Pedro, Flavia, Unni i Jordi, myślała z takim napięciem, że mało brakowało, a słyhać by było trzask. Kiedy, kiedy, na Boga, zostawili skrzynkę bez opieki? A poza tym zawsze zamykali samochód.

- Jest jeden wątpliwy moment - stwierdziła Flavia. - Przedwczoraj wieczorem, już tutaj. Zapomnieliście przecież skrzynkę w samochodzie.

- Masz rację, zapomnieliśmy - przyznał Pedro. - I samochód nie był zamknięty.

- Ale nikt nie mógłby znaleźć skrzynki w tajnym schowku za bagażnikiem - protestowała Unni.

Odpowiedziała jej Flavia:

- Kiedy zamierzałam przedwczoraj wieczorem wyjechać, skrzynka była nie w tajnym schowku, ale w bagażniku, stała sobie w kącie.

- Ja też to pamiętam - potwierdził Antonio, który przynosił skrzynkę do domu. - A ty, Flavio, jej nie przestawiałaś?

- Nie, no coś ty? Ja jej dotknęłam tylko raz, w Niemczech. Nie zdołałabym jej podnieść, bo jest ciężka jak ołów.

- Ona jest z ołowiu - wtrącił Pedro. - Czy któregoś z was wyjmowało ją ze schowka za bagażnikiem?

Antonio głośno myślał:

- Wyjmowaliśmy z tego schowka różne rzeczy. To przecież możliwe, że przestawiliśmy skrzynkę, wcale się nad tym nie zastanawiając.

Roztrząsali sprawę na wszystkie strony, zawsze tak jest, kiedy coś zginie, i wszyscy czuli się kiepsko. Lęk przed podejrzeniem, spekulacje, kto z pozostałych mógł być winien, żal za utraconym...

Antonio zatelefonował do więzienia, w którym siedział Kenny i reszta norweskich współpracowników Leona. Ale cała grupa nadal pozostawała za kratkami, bo wszyscy mieli jakieś dawne sprawy na sumieniu.

Dla pewności Pedro sprawdził jeszcze raz, czy i hiszpańscy więźniowie nie wydostali się na wolność. Nie wydostali się.

Hiszpański arystokrata oparł się wygodnie w fotelu.

- Wiemy na pewno, że Leon nie ma więcej współpracowników.

Przypuszczam, że nigdy nie chciał dzielić się zdobyczą ze zbyt wieloma ludźmi. Cokolwiek by było tą zdobyczą, czyli tym skarbem, którego szuka. - Pedro długo i z powagą przyglądał się zebranym. - A to by znaczyło, moi przyjaciele, że w tej sprawie istnieje jeszcze

trzeci uczestnik. I że znajduje się on tutaj, w Norwegii. Poza tym wie, gdzie my mieszkamy!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- Trzeci uczestnik? - jęknęła Vesla, - To chyba niemożliwe!

Pedro się zastanawiał. Właściwie głośno myślał:

- Jeden z norweskich kompanów Leona musiał się wygadać, może w jakimś barze, przy piwie, pochwalił się komuś niezainteresowanemu? I ten ktoś uległ gorączce poszukiwaczy skarbów?

- Tak, tylko co właściwie jakiś skarb ma z tym wspólnego? - zapytała Unni niecierpliwie. - Nie słyszeliśmy przecież o żadnym skarbie w związku z tragedią rycerzy.

- Nieprawda, słyszeliśmy - zaprotestował Jordi. - Nie mogę sobie tylko przypomnieć, w jakim kontekście to było. Ale, niezależnie od okoliczności, dla nas skarb jest bez znaczenia.

Wszyscy się z nim zgadzali. W ich przypadku należało rozstrzygnąć sprawy życia i śmierci. Problemem był wyścig z czasem.

I właśnie czas martwił Unni coraz bardziej. Antonio wyraźnie powiedział, że Jordi musi odpoczywać, i to bardzo długo. Z tą raną, jaką otrzymał, powinien już dawno nie żyć. Teraz jednak dostał jeszcze jedną szansę na wyzdrowienie. Nie wolno tej szansy zaprzepaścić.

Unni rozumiała to bardzo dobrze, ale czas, czas naglił! Bez Jordiego zaś pozostali niewiele byli w stanie zdziałać.

- Nnno, Unni - cedził Pedro złowieszczym głosem, ale z wesołym błyskiem w oczach.

- Twoja niesubordynacja wyjdzie nam chyba mimo wszystko na dobre.

- Jak to? - zdziwiła się niemądrze.

- Szczerze mówiąc to niewybaczalne, że nie pytając mnie ani Jordiego o pozwolenie, przeglądałaś papiery. Teraz jednak może się to przydać.

Unni zdążyła tymczasem zrozumieć, o co chodzi. Zerwała się z miejsca i szybko przyniosła swój koło - notatnik. Opadła razem z nim na kanapę. Morten próbował ukradkiem zaglądać w notatki, ale ona gwałtownie się cofnęła.

- Taki jesteś ciekaw moich tajemnic?

- Tajemnic, ha! I co tam zapisujesz? „Dzisiaj kupiłam torebkę lukrecyjnych cukierków?”

- To nie jest pamiętnik - odparła Unni z godnością. - A poza tym tobie od lukrecji skacze ciśnienie, więc się lepiej zbadaj, podglądaczu!

Morten zrobił żalostną minę.

- Boże, jak mi brakowało tych kłótni z tobą, Unni - mruknął. - Wszystko się teraz zrobiło takie poważne.

- No właśnie - westchnęła. - Wielka szkoda. Szukała w notatniku odpowiedniej strony, zebrani wokół niej zauważyli, że notatnik jest zapisany prawie do końca. To nie pamiętnik? W takim razie co?

- Obawiam się, że moje pismo nie jest zbyt wyraźne - zaczęła.

- Tak? To jest pismo? - pisał Morten. - Myślałem, że przestraszone kurczęta nabazgrały to pazurami!

Unni nie zaszczyciła go odpowiedzią.

- Będzie więc najlepiej, jeśli przeczytam to sama. Zaczęła:

- „CUENTOS”. To znaczy bajki, prawda?

- Ależ kochani! - zawołała Vesla. - Nie będziemy przecież czytać bajek! W naszym stuleciu!

- Dlaczego nie? - zdziwiła się Unni. - Powiedzmy „Opowieści dwóch tysięcy i jednej nocy”...

- Do rzeczy! - upomniał je Antonio.

- Dobrze. Niewiele zdążyłam przepisać - wyjaśniała Unni. - Jeśli ja bazgrzę, to z Santiago było pod tym względem jeszcze gorzej.

Potwornie trudno mi było odczytywać jego hiszpańskie pismo. Poza tym minęło sto lat, teraz pewnie pisze się inaczej. No więc - dodała pośpiesznie, widząc, że przyjaciele zaczynają tracić cierpliwość. - Stwierdziłam, że na pierwszej stronie została spisana jedna cała bajka i pół drugiej. Pierwsza to najwyraźniej była znana bajka o lesie, wielkiej górze w tym lesie, trollu mieszkającym we wnętrzu tej góry i tak dalej. Zostawiłam to i zajęłam się następną.

- To mogło być rozsądne, mogło też być głupie - oznajmił Pedro. - Czytaj!

- Dobrze. Ta bajka miała tytuł: „LAS AGULAS TRES ENSEÑAN EL CAMINO”. Czy dobrze rozumiem, że to znaczy: „Orły trzy wskazują drogę”?

- Zdolna jesteś - pochwalił ją Pedro.

- Dziękuję - rozpromieniła się Unni. - Myślę jednak, że byłoby lepiej, gdybyś to ty czytał i od razu tłumaczył. Ja mogę siedzieć przy tobie i podpowiadać, gdyby moje pismo było za bardzo nieczytelne.

Tak zrobili i Pedro zaczął czytać: „Orły trzy wskazują drogę.

Istnieje pewna droga, ukryta w lesie tak dokładnie, że dęby milczą, a orchidee porastające ziemię odwracają się, gdybyś je pytał. Tylko ten, kto zna szlaki orłów, może...”

Pedro spoglądał na Unni sponad okularów.

- To już wszystko? - Bardzo mi przykro. Tu przerwałam. To było zbyt skomplikowane.

- Tak, widzę, że źle odczytywałaś niektóre litery. Musiało ci nie być łatwo. Tym bardziej ci dziękuję, że opuściłaś pierwszą bajkę i zabrałaś się za tę. Dzięki tobie mamy nowe, dobre informacje.

Vesla była wściekła.

- To szaleństwo, że jakiś idiota siedzi na całym tekście!

- No właśnie. I wspomniany idiota może podjąć pościg w każdej chwili. Straszna szkoda, że tak się stało!

- Coś jednak mamy - pocieszał go Antonio. - „Orły trzy wskazują drogę”.

- Dęby i orchidee - zastanawiał się Jordi. - To bez wątpienia daleko na północy.

- W Pirenejach rośnie mnóstwo orchidei - przytaknął Pedro. - Ale dęby? Występują w niewielu miejscach. Wyjątkiem są wielkie dąbrowy w Sierra de Ancares. Tylko że to leży... Unni, gdzie twoja wspaniała mapa?

Przyniosła mu ją błyskawicznie. Pedro szukał.

- No tak, tak jak myślałem. Góry Ancares to akurat granica trzech krain: Galicji, Asturii i Leon. Ale twoim zdaniem, Unni, rycerze jechali na północ. Musieli zatem jechać z południa, z Leon. A z tą częścią kraju my nie mamy nic wspólnego.

- Czy kiedyś Asturia i Leon to nie była ta sama kraina?

- Owszem, ale nie w piętnastym wieku. Bo wtedy to Leon już dawno przejęło dawną Asturię. I władzę. Nie, rycerze nie przybyli stamtąd, to mogę gwarantować.

Unni studiowała mapę.

- Mogli natomiast przybyć z południowo - wschodniej Galicji.

- I posuwali się wzdłuż granicy z Leon? No, owszem, tylko że to skalisty teren, w wielu miejscach trudno dostępny. A oni musieli wyruszyć z jakiegoś zamku, czy klasztoru, gdzie mieszkało wiele ludzi. Z mapy nic takiego nie wynika.

- Uważam, że powinniśmy rozpatrywać teren bliżej Pirenejów - powiedział Jordi. - Albo może wschodnie części Gór Kantabryjskich.

Powinniśmy się trzymać wznieścień, prawda, Unni?

- Tak. Z głębokimi przełęczami wśród gór. I porośłych starymi lasami, zwłaszcza pod koniec podróży.

Odezwał się telefon komórkowy Flavii. Włoszka przeprosiła i wyszła do przedpokoju.

- Unni - powiedział Antonio z naciskiem. - Mogłabyś sobie przypomnieć, czy w

tamtej podróży, kiedy obserwowałaś rycerzy, nie było czegoś, co mogłoby mieć związek z orłami?

Zastanawiała się bardzo długo, wysiłek było widać na twarzy.

- Nie - odpowiedziała w końcu stanowczo. - Żadnych orłów.

- A czy w ogóle coś widziałaś?

- No, oczywiście! Rozległe równiny. Szczyty gór w oddali.

- A domy? Ludzi?

- Żadnych ludzi. Zresztą po większej części była noc. Ale dość jasna, widziałam sporo. Poza tym w dzień też jechaliśmy. Ale domy...? Mam takie wrażenie, jakbym pamiętała jakiś klasztor na zboczu góry. I...

Czekali.

- I jedną wieś.

- Tylko jedną? Niepewność.

- Tak. Tylko jedną. Z czymś, co mogło przypominać gospodę.

Dużą. Dach porośnięty trawą. A może to była strzecha? Ale co to ma za znaczenie. To, co widziałam, pochodziło z piętnastego wieku.

- Jasne. Jednak wieś może jeszcze istnieć. W każdym razie jakieś ślady po niej - rzekł Pedro.

- Mogła się też rozrosnąć i teraz jest to duże miasto - wtrącił Antonio niezbyt optymistycznie. - Natomiast klasztor to mógłby być trop.

Wróciła Flavia, widać było, że coś jej leży na sercu.

- Muszę wracać do Włoch prędzej, niż myślałam. Dzwoniła moja siostra. Mama zachorowała i jest z nią źle.

- Jakie to przykre - zapewniali ją wszyscy, rozumiejąc własne słowa podwójnie. Nie chcieli właśnie teraz rozstawać się z Flavią.

Przerwali pracę nad papierami. Gudrun poszła do kuchni, by zrobić coś z panującym tam bałaganem.

- Ja ci pomogę, babciu - Morten zerwał się z miejsca.

Towarzyszyły mu złośliwe komentarze: „Co takiego? Morten do kuchni?”, „Morten, źle się czujesz, chłopcze?” i tak dalej, w tym samym stylu. Ale on nie reagował.

- Muszę teraz jechać do miasta - oznajmiła Flavia. - Powinnam załatwić bilet i masę innych spraw. Wybierzesz się ze mną, Pedro?

Ten się wahał.

- Może później, moja droga. Antonio będzie taki dobry i mnie zawiezie, mam

nadzieję. Zamów dla mnie pokój w hotelu, dobrze?

Flavia wyglądała na zakłopotaną.

- Pokój w hotelu? Ale... - głęboko wciągnęła powietrze. - Oczywiście, że zamówię dla ciebie pokój.

- Dziękuję ci. Zjemy razem kolację, tylko ty i ja!

- Załatwię i to - odparła Flavia ze sztywnym uśmiechem.

Wszyscy odprowadzali Flavię do przedpokoju, pomagali jej włożyć płaszcz, zegnali się na wypadek, gdyby następnego dnia nie mogła już przyjechać, a ona obiecywała, że będzie z nimi w kontakcie. Martwiła się, jak oni, tym trzecim, nieznanym uczestnikiem gry.

- Ja też się martwię - zawołał Morten z kuchni. - I żałuję, że się pytałem, kiedy będzie koniec tych nieszczęść. Nie powinienem był tego mówić, bo zanim jeszcze skończyłem, to już spadło na nas nowe.

Słuchacze mieli ponure miny. Sytuacja w żadnym razie nie nastrajała do żartów. Unni westchnęła gniewnie.

- Wiecie, kogo nienawidzę najbardziej w tej całej zaplątanej historii? - spytała.

- Nie.

- Tego, co zamordował Santiago. Emile.

- No, to prawda - przytaknęła Vesla.

- Mara na ten temat własną teorię - mówiła dalej Unni. - Najpierw jednak muszę ją dokładnie opracować i sprawdzić.

I znowu ze zdziwieniem stwierdziła, że między wieloma mieszkańcami domu panuje jakaś dziwnie napięta atmosfera.

Nie mogła też pojąć, dlaczego nieoczekiwanie zrobiło jej się żal tej silnej, eleganckiej, światowej Flavii. Coś w jej zachowaniu martwiło Unni. Sprawiała wrażenie bardzo smutnej i bardzo samotnej.

Ale może to choroba matki tak ją niepokoi?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Jak to miło z twojej strony, że chciałeś mi pomóc, Morten - mówiła w kuchni Gudrun. - Może mógłbyś włożyć brudne naczynia do zmywarki?

- Oczywiście! Ale, kochana babciu, całą szyję masz pokrytą czerwonymi plagami! Można by pomyśleć, że wkroczyłaś w okres klimakterium. Przypominasz ciotkę z czasów, kiedy to przechodziła.

Też tak wyglądała.

- Dziękuję ci za komplement, moje dziecko! Nie. Jestem tylko trochę spięta. Wszystko jest takie nowe dla mnie. I wciąż tyle się dzieje!

- Ale wygląda mi na to, że coś cię martwi?

- Myślisz, że to by było bardzo dziwne? Ale dość już o mnie. Jak ty się czujesz?

- Ja? Bardzo dobrze. Życie stało się naprawdę ekscytujące. A poza tym prawie całkiem wróciłem do zdrowia.

- Tak, to wspaniałe!

Morten kręcił się jednak po kuchni z taką miną, jakby go coś dręczyło. W końcu wykrztusił:

- Babciu... Jeśli ktoś ma naprawdę dobrego przyjaciela, który znalazł się w tarapatkach... To czy powinien temu przyjacielowi pomóc?

Gudrun zdążyła się pogрузić we własnych myślach.

Odpowiedziała nieobecna duchem:

- Jasne, że powinien. To jego obowiązek wobec przyjaciela. Czy mógłbyś mi zdjąć tę małą tarkę, z tamtej półki?

Morten również pracował jak automat, nie zastanawiał się nad tym, co robi. Na jego twarzy malowało się teraz wielkie zdecydowanie, ale to akurat nie miało nic wspólnego ani z kuchnią, ani z tarką.

Otrzymał odpowiedź, jaką otrzymał pragnął.

- Jeśli już ci do niczego więcej nie będę potrzebny, babciu, to chyba mógłbym sobie pójść?

W drzwiach wpadł na Pedra. Gudrun posługiwała się tarką tak niezdarnie, że skaleczyła rękę.

Pedro rzucił się do pomocy, przyniósł plaster, zakładał opatrunek.

- Babciu, mógłbym pożyczyć twój samochód? - spytał z pozoru bardzo obojętnie

Morten następnego ranka.

Gudrun spojrzała na niego uważnie.

- Możesz. Pod warunkiem, że masz już stopy na tyle sprawne, by przyciskać pedały.

- Oczywiście! Od dawna trenuję na podwórzu.

- Daleko się wybierasz?

Odpowiedź zabrzmiała jeszcze bardziej nonszalancko.

- Mam coś do załatwienia w Oslo.

Gudrun trochę to zmartwiło, bo w miejskim ruchu najtrudniej dać sobie radę. Morten jednak obiecał, że zostawi samochód na parkingu w znacznej odległości od centrum i dalej pojedzie taksówką, pozwoliła mu wziąć samochód. Chłopak ma przecież dwadzieścia cztery lata.

- Coś się tak wystroił? - spytała Unni w przedpokoju. - Wybierasz się na randkę?

- Może - odpowiedział tajemniczo. - Wszyscy się tu podzielili na pary, tylko ja czuję się niechciany.

- Co za głupstwa! Mogłabym się z tobą zabrać na pocztę?

Morten się, rzecz jasna, zgodził, pobiegła więc po kopertę z nieznaną osobom postronnym zawartością. Oczy jej lśniły.

- Właściwie chyba nie powinniśmy się afiszować aż tak otwarcie - zastanawiał się Morten w samochodzie. - Chociaż, z drugiej strony, kryjówka i tak została ujawniona.

- Masz rację - przyznała Unni, rozglądając się jednak wokół, czy nie ma gdzie jakiego szpiega. Nikogo nie było widać.

- Stop! Minąłeś pocztę! - zawołała po chwili. Morten wysadził ją i ruszył wolno w stronę Oslo.

Unni nadała list i piechotą wróciła do domu, by siedząc w kącie pokoju Jordiego, rozmawiać z nim z daleka.

Taksówka zatrzymała się przed hiszpańskim konsulem. Morten zapłacił i przez dłuższą chwilę stał przytłoczony elegancją imponującego budynku. Serce biło mu głośno, raz po raz odchrząkiwał zdenerwowany. Optymistyczny nastrój, w jakim opuszczał dom, teraz gdzieś się ulotnił.

Dukał najpierw w recepcji niezrozumiale, w końcu został skierowany do sekretarza, kobiety, która wysłuchiwała jego historii.

- I ja wiem, że Emma jest niewinna - zakończył z zapalem. - Ona wpadła w szpony złych ludzi. Jestem gotowy za nią poręczyć, jeśli tylko władze pani kraju zechcą ją wypuścić na wolność.

Słuchająca go Hiszpanka westchnęła cicho. Oznajmiła Mortenowi, że wiele zrobić nie może, ale zadzwoni mimo wszystko do dyrektora więzienia w Hiszpanii i wypyta o wszystko, co nie jest tajemnicą.

- Och, dziękuję - odetchnął Morten, a potem wysłuchał długiej rozmowy po hiszpańsku, z której zrozumiał niewiele.

Wreszcie pani sekretarz odłożyła słuchawkę.

- Pańska przyjaciółka i tak miała być niedługo zwolniona, ponieważ, jak twierdzi, była jedynie statystką w całej sprawie, poza tym nigdy przedtem nie była karana. Dyrektor przyjął też pańskie zapewnienia o jej niewinności, w żadnym razie jej to nie zaszkodzi.

Morten dziękował i kłaniał się, czuł, że nogi ma już naprawdę sprawne, mógłby tańczyć, gdyby chciał.

Spełnił oto szlachetny uczynek i to go uskrzydlało.

Gdy tylko znalazł się na parkingu, gdzie zostawił samochód, natychmiast zadzwonił do hiszpańskiego więzienia, do którego numer dostał w konsulacie. Poprosił o chwilę rozmowy z Emmą.

Musiał bardzo długo czekać. Rany boskie, ile to będzie kosztowało? zastanawiał się. Mam nadzieję, że babcia nigdy nie zobaczy moich rachunków.

W końcu po tamtej stronie odezwał się zachrypły głos Emmy.

- Nie, Morten? Skąd ty dzwonicz? Wytłumaczył.

- No, a gdzie teraz mieszkasz? Także i tego się dowiedziała.

- I załatwiłem sprawy tak, że już niedługo cię wy - puszcza.

- Wspaniale! Morten, jesteś aniołem!

Rozmawiali jeszcze dość długo. Emma chciała wiedzieć tyle rzeczy. Co się dzieje z nimi wszystkimi, co robili i tak dalej. Morten popadł w konflikt sumienia. Nie miał prawa nikomu opowiadać o rycerzach i ich zagadce. Ale to przecież tylko Emma. Ona może wiedzieć.

Skończyło się na tym, że obiecał coś niejasno, opowie jej wszystko, kiedy się spotkają, mówił, bo tutaj nie może rozmawiać swobodnie.

Emma zapowiedź spotkania przyjęła z entuzjazmem i napomknęła, że będą kontynuować od punktu, w którym skończyli ostatnio, bo ona bardzo za nim tęskniła.

Morten miał kłopoty z oddychaniem, tak go to uszczęśliwiało.

Wsiadł do samochodu i w radosnym oszołomieniu pojechał na południe.

W hiszpańskim więzieniu Emma wróciła do swojej celi.

- No i o to właśnie chodziło - mruzczała pod nosem. - Mój mały, głupi, nudny Morten!

Teraz trzeba jak najszybciej wydostać stąd Alonza.

Z Leonem skończyła definitywnie. Zrobił się obrzydliwy.

Ale Alonzo! Alonzo jest słodziutki. I zdążyła już wzbudzić w nim płomienne pożądanie. Wystarczy kontynuować to, co rozpoczęte!

Jednocześnie

Pięciu dumnych, czarnych rycerzy zebrało się na zboczu wzgórza z dala od domu, mimo to z widokiem na niego.

„Powinniśmy być teraz u najsilniejszego”.

„Tak. Powinniśmy przyczynić się do jego uzdrowienia. Ale dzięki lekarskiej wiedzy brata i miłości dziewczyny moc czarownika została złamana. Musimy tylko dokończyć dzieła”.

„Tylko że naczynie z maścią utrudnia nam zbliżenie się do niego.

Jak mamy przekazać, że pragniemy mu pomóc?”

„Im nie wolno spuszczać oczu z naczynia z maścią.

Powiedzieliśmy im to jasno i wyraźnie. Dlaczego nie zdążyli jeszcze unicestwić pudełeczka?”

„Na parę godzin zapomnieli o naszych ostrzeżeniach i teraz muszą się borykać z nowymi trudnościami”.

„Niech będzie przeklęty złodziej, który ukradł ważne dokumenty naszego rodu! Czyż nasi potomkowie nie mają dość kłopotów z paskudnymi mnichami?”

„A teraz jeszcze ten chłopak dopuścił się takiego głupstwa, że wezwał jedną ze złych istot! Co z nim zrobić?”

„Wymierzyć surową karę! Popelnił grube przestępstwo”.

„Ukarczemy go zaraz teraz. Zasłużył sobie na to”.

Don Federico de Galicia sapał wzburzony. Don Ramiro, który był przodkiem nieszczęsnego Mortena, przyzwalająco kiwał głową.

Takich zachowań tolerować nie wolno, choć serce don Ramiro żywiło wiele czułości dla tego chłopca.

Don Sebastiano de Vasconia miał surowy wyraz twarzy, ale w głębi duszy skrywał wiele ciepłych uczuć dla swojej potomkini, młodej Unni, zachowującej się bez zarzutu. Don Galindo de Asturias i don Garcia de Cantabria siedzieli milcząco i wyprostowani na swoich koniach.

Zgadziali się z tym, co zostało powiedziane.

Wkrótce ich sylwetki rozplynęły się w powietrzu. Zbocze znowu było puste.

Na spalonej słońcem hiszpańskiej równinie stali mnisi. Rozglądali się, szukali.

„Gdzie oni są? Gdzie się podziali? Co to się porobiło?”

„Zniknęli, przepadli bez śladu. Ale co się dzieje z naszym wybranym?”

„Podlega przemianie, nie może myśleć tak jak dawniej. W jego umyśle jest teraz tylko pragnienie piwa i żądza zemsty, mózg całkiem mu skarłał”.

„Zamknięty. Wtłoczony do klatki razem ze swoimi ludźmi. Nie przedstawia już dla nas żadnej wartości”.

Mnich, który „widział” więcej niż pozostali, powiedział ochryple:

„Coś mi się wydaje, że oni teraz wypuszczają jego kobietę”.

„Kobietę? Tę piękną? Tę niebezpiecznie pociągającą, z rodu Emilii i Emile? No to skupmy się na niej i jej dajmy nasze wsparcie”.

„Ona może być dla nas ratunkiem przed tymi przekłętymi wrogami, którzy żyją”.

„Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie oni się podziewa - ją. Może ty to dostrzegasz, bracie?”

Jasnowidzący mnich wykrzywił twarz w grymasie, słysząc podlizujący mu się głos. Ale, prawdę powiedziawszy, on też nie dostrzegał nigdzie nawet śladu zaginionych. „Ja szukam, szukam, wkrótce ich wytropię”.

„Spiesz się tedy, bracie! Czas nagli. Oni byli już bardzo blisko rozwiązania zagadki tych przeklętych rycerzy!”

Ta myśl przeraziła ich śmiertelnie, więc bezradnie poderwali się z ziemi i dali się unosić wiatrowi ponad równiną.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Picie zbyt wielkich ilości coca - coli w ciepłe wczesnego lata mści się natychmiast, i to bardzo. Morten musiał się zatrzymać na najbliższym trochę szerszym poboczku, nie na parkingu, nie w zatoczce dla autobusów, po prostu przy krawężniku. Wbiegł pospiesznie do lasu, a kiedy wracał, oddychał z ulgą. „It was a great relief - cytował fragment tekstu z całkiem innej opowieści.

Kiedy już prawie doszedł do samochodu, nagle stanął jak wryty.

Co się dzieje? Skąd to uczucie, że jest otoczony? Przez jakieś wielkie, rozzłoszczone zwierzęta.

Cios bicia trafił go w ramię z taką siłą, że zapiekło. Ale przecież nie widział żadnego bicia. Nic nie widział.

Gniew otaczał go niczym bardzo gęsta mgła. Skondensowany, trudny do złagodzenia gniew. Jeszcze jeden cios bicia. Morten próbował uciekać do samochodu, ale napotkał opór. Ktoś z całej siły cisnął nim o ziemię.

Musiał bardzo nad sobą panować, żeby nie zacząć krzyczeć.

Po chwili z nicości wyłoniło się pięciu rycerzy na swoich potężnych wierzchowcach we wspanialej uprzęży, z mieniącymi się lejcami.

Jego rodzony przodek, don Ramiro de Navarra, wymierzył dotkliwy cios leżącemu na ziemi. Morten skulił się bardziej ze strachu niż z bólu, gdyby bowiem rycerze byli ludźmi z krwi i kości, razy byłyby o wiele mocniejsze. Ciosy trafiały go jakby przez grubą bawełnę, mimo to później i tak paliły nieznośnie.

Morten był śmiertelnie przerażony i zrozpaczony, nie wiedział bowiem, że rycerze mogą okazywać gniew. Są przecież jego przyjaciółmi i nie zasłużył sobie na to, żeby...

Nagle pojął, co zrobił.

- Wybaczcie mi, wybaczcie! Popełniłem błąd, ale zrobiłem to z miłości i z wiary w niewinność. Ta nieszczęsna dziewczyna...

Pięciu wściekłych mężczyzn z królestwa śmierci uniosło pięć biczków.

- Nie, nie, oczywiście, już rozumiem, będę się starał naprawić szkodę, jaką wyrządziłem - zapewniał na pół z płaczem. Był rad, że właśnie przed chwilą opróżnił pęcherz, bo inaczej wyszedłby z tego spotkania z przodkami haniebnie mokry.

Rycerze wracali do równowagi. Pozwolili mu się podnieść. Morten miał nieprzeparte wrażenie, że chcieliby mu powiedzieć coś więcej, on jednak nie posiadał umiejętności

przyjmowania cudzych myśli, a więc po kilku bezowocnych próbach zrezygnowali, potrząsali zatroskani głowami i w chwilę później rozplynęli się w powietrzu.

Nigdy jeszcze Morten nie czuł się tak nędznie, nigdy nie został tak upokorzony!

To w ogóle był chyba dzień wyrzutów sumienia.

Po powrocie do domu, Morten bez słowa zamknął się w swoim pokoju. Pedro przyjechał z lotniska, dokąd odprowadzał Flavię.

Siedział z gazetą, ale równie dobrze mógłby ją trzymać do góry nogami, bo nie poruszył nią od dobrej godziny.

Vesla zajęła się kuchnią, więc Gudrun została odesłana do siebie.

Siedziała tam z rękami na podolku i nieruchomo wpatrywała się w ścianę. Nie pokazała się przez całe popołudnie.

Jordi spał, Unni nie mogła sobie znaleźć miejsca. Antonio pracował w szpitalu.

W domu panował dziwny nastrój. Jakieś krótkie spięcie mogłoby to zmienić, ale skąd miałyby nadejść?

Triumfująca, energiczna Emma opuszczała pospiesznie okolice więzienia.

Zdażyła powiedzieć dyrektorowi kilka dobrych słów na temat Alonza, przekonywała, że cała sprawa jest wynikiem nieporozumienia oraz że Alonzo musiał dopuścić się naruszenia prawa, niewielkiego, rzecz jasna, ze strachu przed Leonem.

To akurat dyrektor był w stanie zrozumieć i obiecał, że poprze u sędziego jej prośbę o zwolnienie Alonza.

Honor męski nie pozwalał mu zalecać się do Emmy, choć ona, owszem, raczej go do tego zachęcała.

Udało jej się też przekazać Alonzowi wiadomość i teraz czekała na niego w małym hoteliku. Najpierw weszła do baru, zamówiła sobie drinka, ale nie znalazłszy tam żadnego godnego przygody mężczyzny, wycofała się.

Jak rozkosznie znaleźć się znowu w luksusowym łóżku. Miło mieć do dyspozycji pełny barek, którym zajęła się bardzo rzetelnie.

Rozkoszna wolność!

W środku nocy Emma obudziła się z uczuciem, że coś pełza po jej ciele. Coś ją łaskotało, wdzierało się w intymne zakątki jej ciała.

Czyżby w takim hotelu mieli karaluchy?

Przerażona zapaliła światło. Osiem palców odskoczyło pospiesznie od jej na wpół nagiego ciała. Wokół łóżka stało ośmiu mnichów, teraz przyciskając ręce do piersi, niczym ciekawskie, zaskoczone wiewiórki.

Obleśne, wygłodniałe seksualnie kreatury, pomyślała z obrzydzeniem, ale też z zainteresowaniem. Poza tym się ich bała, choć nawet przed sobą nie chciała się do tego przyznać.

Ale widzi ich! Widzi ich, równie wyraźnie, jak przedtem widywał ich Leon. Natomiast Alonzo nigdy.

Fuj, do diabła, jak oni wyglądają! Te białe, łyse trupie czaszki z płonącymi czarnymi oczyma, te wykrzywione, pożądliwe usta. Ileż zła wyrażają ich twarze! Te długie, kredowobiałe palce ze sterczącymi kostkami i paznokciami jak szpony. I wreszcie te długie, czarne habity, nie będące w stanie ukryć nabrzmiałych, rytmicznie pulsujących członków.

Emma przypomniała sobie, że kiedyś marzyła o tym, by móc zobaczyć mnichów. Byłoby zabawnie uwodzić takich świętoszków.

Tylko że teraz to oni mieli przewagę, a ona wcale nie pragnęła być zgwałcona przez ośmiu sfrustrowanych mnichów, którzy od wieków nie widzieli kobiety.

Sytuacja zaczynała być nieprzyjemna. Co powinna zrobić? Bliska paniki, nie była w stanie jasno myśleć.

I dlaczego oni się nie poruszają? Czekają na coś? A może to jednak ona ma przewagę?

- Nie ważcie się mnie tknąć, nędzni śludzy - powiedziała tak władczo, jak tylko potrafiła. - Co pragniecie dla mnie zrobić?

Nieświadomie trafiła na właściwy ton. Żadnego lęku. Żadnego podporządkowania w stylu: „Co mogłabym dla was zrobić?”

Nareszcie usłyszała ich podlizujące się głosy, te, które słyszeli Unni, Morten i bracia Vargasowie, ale nigdy przedtem Emma.

Przeniknął ją dreszcz, od palców stóp, po korzonki włosów.

- Nasze powiązanie z tą nędzną, bezbożną współczesnością, zostało zerwane - oświadczył jeden z głosów, posługując się tak starym językiem hiszpańskim, że nawet Emma, urodzona przecież w Hiszpanii, miała kłopoty z jego zrozumieniem. - Nasz niewolnik, Leon, został przemieniony w czarownika, ale nie posiada magicznych zdolności. Ty jesteś naszą nową niewolni... sojuszniczką, chciałem powiedzieć. Będziesz nas informować o wszystkim, co się dzieje.

- A co ja będę z tego miała? Osiem par oczu błądziło pożądliwie po jej ciele.

- Nie, dziękuję! - syknęła Emma gniewnie. - Facetów do łóżka wybieram sobie sama.

- Chcemy, żebyś się dowiedziała, gdzie przebywają nasi wrogowie - oznajmił głos krótko i zdecydowanie.

- Już się dowiedziałam.

W smoliście czarnych oczach pojawił się błysk. Jeden z mnichów pochylił się nad nią. Uderzył w nią odór grobu.

- Musisz się wkraść w ich łaski. Emma miała wątpliwości.

- Nie z wszystkimi się to uda.

- A młody chłopak?

- Jest w moich rękach.

- Wydobądź z niego wszystkie ich tajemnice! Chcemy wiedzieć, jak daleko się posunęli.

Na koniec w jakiejś sprawie jesteście zgodni, pomyślała Emma.

- A co z innymi? Wtedy mnisi pochylili się nad nią tak gwałtownie i tak nisko, że dosłownie wbiła się w poduszki, chcąc uniknąć ich bliskości.

- Zabij ich! Zabij ich! - skrzeczełi niczym zgłodniałe sępy. - Przede wszystkim tego najbardziej niebezpiecznego, tego, co to nie jest ani żywy, ani umarły.

Tego, którego ogień Wamby omal nie unicestwił. Dopełnij dzieła!

- Wiem, kogo macie na myśli - powiedziała Emma trochę jednak przestraszona. - To będzie dla mnie czysta przyjemność.

Zadać cios Unni. Zranić jej serce. Żadna kobieta nie może zatrzymać dla siebie pociągającego mężczyzny. Oni powinni należeć do Emmy, wszyscy co do jednego!

A ukochany Unni jest taki tajemniczy. To podniecające, móc sprawdzić na kimś takim siłę swojej atrakcyjności. Naturalnie Emma wygra! Unni to przecież zero.

- A teraz chcę spać - powiedziała stanowczo. Nie mogła swoich gości po prostu przegonić jak stadka natrętnych kur, ale nie chciała ich dłużej w swoim pokoju.

Na szczęście zniknęli dobrowolnie. Emma bardzo gruntownie po nich wywietrzyła.

Długo jeszcze potem leżała przy zapalonym świetle, rozdygotana po nieoczekiwanych przeżyciach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Po wizycie nieproszonych gości musieli być bardziej ostrożni i nie odchodzić zbyt daleko od domu. Ogród mieli jednak rozległy, z gęstym, wysokim żywopłotem, chroniącym przed spojrzeciami sąsiadów, Unni spacerowała więc po alejkach i rozkoszowała się nieśmiałą wiosenną roślinnością. Pod ścianą domu pyszniła się grządka tulipanów, a obok mnóstwo jakichś niebieskich kwiatków, na trawnikach zaś rosły w grupach, rozrzuconych to tu, to tam, narcyzy.

Żeby tylko Jordi mógł jak najprędzej przyjść tu razem ze mną.

Unni wciąż go przed sobą widziała, Jordi był z nią nieprzerwanie. W zachodzie słońca, w urodzie natury, widziała go, patrząc na rozgwieżdżone niebo, nie opuszczał jej też w ciemnościach. Nikt nie mógł się do niej zbliżyć tak bardzo jak on, choć tak naprawdę mogli być razem tylko przez krótkie chwile każdego dnia.

W ciągu tych długich lat, gdy Jordi był dla niej jedynie bajkową postacią, zapamiętaną z jednego spotkania na lotnisku, często miewała wrażenie, że to tylko sen. Teraz znajdował się niedaleko, było tak dzień i noc, a zakochanie na odległość przerodziło się w miłość tak wielką, że aż sprawiała jej ból. I mimo to nie mogła go mieć!

Przyszedł do niej Pedro i razem podziwiali kwiaty.

- Wydawało mi się, że to bardzo piękne! - zawołała Unni z przejęciem, po czym roześmiała się skrepowana. - Zachowuję się dziecinnie. Mniej więcej tak jak królowa Wiktoria, która ponad wszelkie wyobrażenie uwielbiała swojego męża i powiedziała kiedyś: „Albert uważa, że zachód słońca jest bardzo piękny”. Jakby sama nie mogła tego stwierdzić. Pedro uśmiechnął się.

- Morten twierdzi, że jesteś naiwna, Unni, ale ja wcale tak nie myślę. No, może pod pewnymi względami. Ale potrafisz całym sercem wczuć się w smutek i ból drugiego człowieka, prawda?

- Owszem, tak jest - odparła z wolna. - W ostatnich dniach było mi bardzo ciężko. Wyczuwałam, że coś jest nie tak jak powinno. Coś sprawiało wielki ból, to dotyczy również ciebie, Pedro, prawda?

- Tak, zraniłem bliską mi osobę.

- No właśnie. I teraz chyba już wiem, co mi tak bardzo ciążyło.

Coś, co Flaviami powiedziała przy kilku okazjach, kiedy chciała mnie przekonać, że powinnam zapomnieć o Jordim. Istnieje wielu najodpowiedniejszych, takich słów użyła.

- Nie, nie, ty nie możesz opuścić Jordiego. Nigdy. Ty i on jesteście jednym.

- Wcale nie zamierzałam go opuszczać, ale słowa Flavii odwróciły się przeciwko niej, prawda?

- Niestety, masz rację. Czy mogę być z tobą szczerą?

- Bardzo bym chciała.

- Dziękuję. Potrzebuję kogoś, z kim mógłbym o tym porozmawiać. I ty właśnie jesteś kimś takim, Unni. Jesteś najprostszą osobą, jaką znam, i zarazem najbardziej skomplikowaną. Wiesz, co chcę powiedzieć?

- Myślę, że tak. W każdym razie zachowam dla siebie to, co mi powiesz. A poza tym myślę, że rozumiem twoje wyrzuty.

- Widzisz, mój związek z Flavią trwał wiele lat. Ona pracowała w ambasadzie włoskiej w Madrycie, dzięki temu się poznaliśmy, a potem zaprzyjaźniliśmy. Ale to była tylko przyjaźń. Później, przypadkiem, odkryliśmy to fatalne powiązanie. Ona była macochą obciążonego przekleństwem Mortena, ja zaś najmłodszym bratem innego obciążonego. Jestem ostatnim z rodu. Flavia już wtedy była za stara na dziecko, a ja słabowitego zdrowia, więc mój ród miał wymrzeć bezpotomnie. Poza tym ona była żoną ojca Mortena, Knuta Andersena. Do niczego między nami nie doszło, daję na to słowo honoru.

- Wierzę i bez tego, Pedro. Oboje jesteście wspaniałymi ludźmi.

- Staramy się tacy być. No ale Knut Andersen zmarł. Sytuacja się nagle zmieniła i wymagała, byśmy coś przedsięwzięli. Osobiście myślałem, by po prostu kontynuować naszą przyjaźń, zresztą nie tak już wiele życia mi zostało. Ale Flavia...? Ja nie wiem, Unni.

Myślę, że ona jednak oczekiwała ode mnie czegoś więcej.

- I jak sobie z tym radziłeś?

- Byłem w rozterce. Flavia jest przecież fantastyczną kobietą.

Wykształcona, czytana, potrafi kontrolować swój włoski temperament, a poza tym jest bardzo piękna. Mimo to się wahałem, przede wszystkim ze względu na swoją chorobę.

- Flavia to niewiarygodnie dobry człowiek. Taka silna, pełna inicjatywy i taka ciepła wobec wszystkich potrzebujących wsparcia.

- No właśnie. W ciągu tych pięknych dni, kiedy jechaliśmy do Norwegii, bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Jestem zdrowy, myślałem, może mógłbym się odważyć i poprosić ją o rękę? Ale zwlekałem z tym i teraz jestem losowi szczerze wdzięczny.

- Tak - westchnęła Unni, obrywając jakieś suche liście z pnącej róży, rozpiętej na ścianie. - Teraz lepiej rozumiem to zakłopotanie, a nawet rozpacz Gudrun. Pedro również westchnął.

- Gudrun nie chciała niszczyć starego, dobrego związku. Żadne z nas nie chciało ranić Flavii. I przecież nie robiliśmy nic, tylko rozmawialiśmy ze sobą. Ale, och, jak my się znakomicie rozumiemy!

Ile ciepłych uczuć budzimy w sobie nawzajem! Jest dokładnie tak, jak powiedziała Flavia: „Istnieje wielu najodpowiedniejszych”.

- To musiało być bardzo trudne rozstanie?

- Tak, ona była blada, ale wciąż tak samo opanowana, tak samo wyrozumiała. Ja nawet nie wspominałem o Gudrun. Powiedziałem tylko, że między mną a Flavią nigdy nie będzie niczego więcej prócz przyjaźni. A ona była taka wspaniałomyślna, że zapewniała, iż chce się ze mną nadal przyjaźnić. I z wami wszystkimi, bo bardzo was polubiła. Chce śledzić nasze dalsze starania nad rozwiązaniem zagadki rycerzy, ale nie jestem pewien, czy chciałaby w tych staraniach uczestniczyć. Musiała teraz wrócić do domu, żeby wyleczyć rany. Nie użyła takich słów, ale widziałem po niej, że czeka ją trudny czas. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, że aż tyle dla niej znaczą, dopóki nie zrobiło się za późno.

- Ale przeżyliście razem kilka dobrych dni podczas podróży?

- Tak. Mieliśmy nawet, jak wiesz, w niemieckiej gospodzie wspólny pokój. W jakimś sensie jestem z tego zadowolony. Ale takiego płomiennego uczucia nigdy do niej nie żywiłem. Takiego jak teraz...

Pogrążył się w myślach.

„Zamów dla mnie pokój”, przypomniała sobie Un - ni jego słowa.

Wielkie rozczarowanie Flavii. Pedro opanował się.

- Powinienem porozmawiać z Antoniem na temat zniszczenia srebrnego pudełeczka i jego zawartości.

- No właśnie, rycerze powiedzieli, że on to potrafi, prawda?

- Owszem, choć nie wiem, w jaki sposób. Ale czas nagli.

Niebezpiecznie jest trzymać coś takiego w domu. Zwłaszcza że rycerze chcieliby pewnie z nami porozmawiać. Przede wszystkim z Jordim.

Na dźwięk jego imienia Unni ożyła.

- Pójdę do domu zobaczyć, czy się nie obudził. Wbiegła na schody, jakby miała naście lat. Pedro patrzył na nią z uśmiechem.

CZEŚĆ TRZECIA
SREBRNE PUDEŁECZKO

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Morten, w swoim pokoiku na górze, chodził tam i z powrotem. Od czasu do czasu siadał po to tylko, by zaraz znowu się zerwać i kontynuować wędrówkę.

Przecież nie muszę o niczym mówić, myślał wstrząśnięty i zdesperowany. Naprawdę nie muszę, Emma i tak zostałaby wypuszczona, nikt nie musi wiedzieć, że jej w tym pomagałem.

Ale naraziłem moich przyjaciół na niebezpieczeństwo.

Głupstwo, ona tutaj nie przyjedzie. Poza tym ona jest przecież jedną z nas. I jest miła!

Jak pięknie i łagodnie brzmiał jej głos. Tak się ucieszyła, słysząc, że do niej dzwonię. Z Leonem skończyła, zresztą nigdy nie była jego kochanką, jak w ogóle ktoś mógłby sobie wyobrazić coś takiego?

A w końcu nasza kryjówka już i tak została ujawniona, ktoś przecież ukradł papiery.

My się kochamy, Emma i ja.

Chłopak jęknął. Och, jaki wstyd i hańba! Nikt nigdy nie może się dowiedzieć, co zrobili rycerze. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Ale co będzie, jeśli Emma tu przyjedzie i powie: „To Morten dał mi adres”?

Wtedy ja umrę!

Jordi spał. Antonio zaordynował mu silną kurację z mnóstwem snu i odpoczynku, by płuca mogły w spokoju wracać do zdrowia.

Unni znalazła Gudrun w kuchni, gdzie ta widocznie czuła się najlepiej. Babcia Mortena uśmiechnęła się do niej blado.

- Wiesz co, Gudrun, postanowiliśmy z Jordim pojechać do Selje i położyć kwiaty na grobie Sigrid, jak tylko on będzie mógł podróżować.

Unni nigdy nie pozwoliła sobie na inne przekonanie niż to, że Jordi niedługo będzie całkiem zdrowy. Gudrun rozjaśniła się.

- Dziękuję! Jak to miło z waszej strony.

- My uważamy, że Sigrid została pokrzywdzona, tyle musiała przeżyć w całej tej sprawie. I taka była samotna!

- No właśnie.

Vesla wślizgnęła się cicho i usiadła z nimi przy kuchennym stole.

Unni powiedziała z przejęciem:

- Nie rozumiem tylko, co Flavia mogła mieć wspólnego z takim mężczyzną, jak mąż

Sigrid. Oni... tak się od siebie różnili, prawda?

- Nie znałaś Knuta. On sprawiał bardzo dobre wrażenie, ale to jego szorstka powierzchowność przede wszystkim pociągała kobiety. Wyglądał zawsze tak, jakby nienawidził całego świata, ale miał fantastyczny uśmiech. Jeśli któraś potrafiła ten uśmiech z niego wydobyć, to mogła wspomnieniem żyć przez tydzień, a młode dziewczyny jeszcze dłużej. Poza tym dużo podróżował, to należało do jego obowiązków zawodowych, nabrał miejskiej ogłady. Sigrid rozpaczliwie za nim nie nadążała.

- Ale nie był bogaty ani nic w tym rodzaju?

- Nie. I jeśli o niego chodzi, nie miało to żadnego znaczenia.

Zawsze otaczało go mnóstwo wielbicielek. Ale co z tobą, Vesla?

Zdaje mi się, że nie wyglądasz najlepiej.

Vesla westchnęła głęboko.

- I czuję się też nietęgo. Unni, czy możesz poprosić swego ukochanego, żeby się pośpieszył i rozwiązał zagadkę? Bo ja spodziewam się dziecka. Z Antoniem, rzecz jasna.

Pozostałe kobiety słuchały w milczeniu.

- Kochanie - mruknęła w końcu Gudrun. - Nie wiadomo, czy ci gratulować, czy współczuć.

- I jedno, i drugie - odparła Vesla. - Postanowiliśmy, że dziecko się urodzi. I postaramy się, by nigdy nie zostało dotknięte złym dziedzictwem. A ty wiesz, Unni, że są tylko dwie rzeczy, które mogą je uchronić od nieszczęścia: albo Jordi i ty będziecie mieć dziecko, które przejmie dziedzictwo, albo rozwiążemy zagadkę rycerzy.

Unni wpatrywała się w blat stołu.

- O mnie i Jordim możesz zapomnieć. My nigdy się do siebie nie zbliżymy. Zwłaszcza teraz, kiedy już wykorzystaliśmy te obiecane pół godziny.

- Możesz poprosić o następne.

- Ja bym chciała mieć całe życie z nim. Jestem pewna, że rozwiążemy zagadkę.

- Tak jest - potwierdziły zdecydowanie Vesla i Gudrun.

Po dobrym obiedzie, który Vesla przygotowała wraz z cokolwiek niepewną Unni jako asystentką, Morten ze strasznie nieszczęśliwą miną poprosił, by go wysłuchali, bo ma im coś ważnego do powiedzenia.

Podjął decyzję. Nie był dłużej w stanie zmagać się z wyrzutami sumienia. Trudno, wóz albo przewóz.

Spocony, na pół z płaczem, zdołał w końcu wyłożyć przed zebrаныmi całą upokarzającą sprawę, po czym zaległa dręcząca cisza, działająca na nerwy skruszonemu

grzesznikowi. W końcu głos zabrał najstarszy w tym gronie Pedro:

- Zasłużyłeś na podziękowania za szczerość. Sam zrozumiałeś, w jakiej nieznośnej sytuacji przez ciebie się znaleźliśmy. Ale nie będziemy ci już robić wymówek. Najważniejsze pytanie teraz brzmi:

Czy musimy się znowu przeprowadzić?

- Było nam tutaj tak dobrze - jęknęła Vesla. Morten z wielkim przejęciem zaczął się bronić:

- Przecież i tak ktoś nas odkrył! Pedro replikował ostro:

- Tylko ten ktoś z pewnością nie jest powiązany z Emmą.

- Tego nie wiemy.

Jordi, któremu Antonio pozwolił uczestniczyć i w obiedzie, i w tej dyskusji, zadał teraz ważne pytanie:

- Mówiłeś, że rycerze sprawiali wrażenie, jakby chcieli nam coś ważnego powiedzieć, ale ty nie byłeś w stanie zrozumieć ich myśli?

Wdzięczny za zmianę tematu nieszczęśliwy Morten zwrócił się ku niemu.

- Tak, jestem pewien, że chcieli czegoś więcej.

- Myślisz, że zyczyliby sobie porozmawiać ze mną? Ja jestem jedynym, który potrafi się z nimi porozumieć.

- Tak właśnie myślę - potwierdził Morten.

- Znakomicie! - wykrzyknął Pedro. - W takim razie ty, Morten, będziesz miał do spełnienia zadanie.

- Wszystko, co chcecie - zawołał z przejęciem, wiedział bowiem, że jego sytuacja wciąż nie jest najlepsza.

- Antonio twierdzi, że Jordi nie może opuszczać domu. Wobec tego ty, Morten, włożysz srebrne pudełeczko do samochodu i odjedziesz daleko stąd. Tymczasem Jordi wezwie rycerzy.

Morten przełykał ślinę, tak że widać było, jak jabłko Adama porusza się w górę i w dół.

- Oczywiście! Ile czasu potrzebujesz, Jordi?

- Godzinę. Tak więc jedź przed siebie przez pół godziny, potem zawróć i w tym samym tempie wracaj do domu.

- Zaraz?

- Dlaczego nie? Nie mamy czasu do stracenia. Ileż to razy ostatnio wypowiadali to zdanie? Morten podjął jeszcze jedną próbę usprawiedliwienia się:

- Ale Emma jest miła. I zakochana we mnie. Vesla sprawiła mu zimny prysznic:
- Emma kocha wyłącznie siebie, powinieneś o tym wiedzieć i dłużej się nie okłamywać!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Duża skrzynka ze skarbem Santiago została wyniesiona.

Mężczyźni stali i przyglądali jej się z niesmakiem. Po raz pierwszy mieli wyjąć z niej srebrne pudełeczko.

- I rycerze chcą, bym ja to unicestwił - powiedział Antonio z grymasem. - O co im tak naprawdę chodzi? Czy miałbym dokonać analizy składu do najmniejszego elementu, rozłożyć to na czynniki pierwsze, a potem wszystko wrzucić do pieca? Umrę szybciej, niż tego dokonam.

- Z pewnością - potwierdził Jordi sucho. - Ale może to właśnie o tym rycerze chcieliby ze mną rozmawiać? W każdym razie ich o to zapytam.

- Czy musimy wyjmować pudełeczko? - spytał pokornie Morten.

- Może mógłbym po prostu zabrać całą skrzynię?

Pedro zaprotestował ostro:

- Nie możemy ryzykować utraty tak wielu rzeczy. Ale masz rację. Lepiej tego paskudztwa nie dotykać. Wyjmiemy wszystkie dokumenty. Książkę też. I pamiętaj, będziesz musiał jeździć przez całą godzinę. Nie wolno ci się zatrzymać! Nie wolno ci, na przykład, wpaść do rowu!

I nie pij przed jazdą coca - coli, upomniał sam siebie Morten, ale głośno tego nie powiedział.

Pedro był katolikiem, pozwolił więc, by krzyż i wieniec różany zostały w skrzynce. Miecz także mógł stanowić ochronę. Najchętniej zostawiłby też amulet Urraki, ale Antonio oznajmił, że aby Jordi mógł wyzdrowieć, nie może się z amuletem rozstawać. Bez wątpienia ma on na niego bardzo dobry wpływ.

Nameczyli się porządnie przy wyjmowaniu książki, która przykleiła się do dna skrzyni. Trzeba było ją podważać, popychać i pociągać, zanim nareszcie się poruszyła swobodnie.

Ale jakoś sobie poradzili. Kartki leżące najniżej były dość poważnie uszkodzone, ale poza tym książka zachowała się nieźle.

Wyglądała jednak nieciekawie, napisana ręcznie przez kogoś, kto nie martwił się ostatecznym efektem i najwyraźniej się spieszył.

Oglądali zabytek z ponurymi minami. Memuary grzesznej Estelli niełatwo będzie czytać.

W końcu Morten odjechał, a Jordi, wspierany przez Unni, przeszedł do ogrodu. Reszta domowników też została na dworze, choć trzymała się z daleka. Unni wróciła do nich, gdy tylko „ukryła”

Jordiego pod drzewem.

Nikt przecież z całą pewnością nie wiedział, co takiego rycerze chcieli powiedzieć Mortenowi. Może on sobie to wszystko tylko wyobraził?

Ale rycerze się pojawili. Unni widziała ich siedzących na koniach przed Jordim, który musiał trzymać się gałęzi, by ustać na nogach.

Wszyscy ich już kiedyś widzieli, ale za każdym razem ten widok był głębokim, magicznym przeżyciem. Nieprawdopodobnym. A jednak znajdowali się tutaj, w ogrodzie otaczającym normalną norweską willę, i okoliczności zdawały się ich ani trochę nie krępować. Koń dona Galindo stał przednimi nogami w kępie narcyzów, wcale kwiatów nie deptając, a don Sebastiano znalazł się w środku jabłoni, co nie stanowiło najmniejszego problemu.

Bagatelka.

„Jak widzę, masz się znacznie lepiej”, zaczął don Ramiro.

- Tak, poprawiło mi się, dzięki pomocy z różnych stron. Morten miał wrażenie, że chcieliście ze mną mówić.

„To prawda. W wyniku wspaniałego amuletu Urraki i miłości twojej damy udało wam się przełamać zły wpływ Wamby na twoje ciało i duszę. Teraz my możemy doprowadzić dzieło do końca i uzdrowić cię”.

Jordi miał wrażenie, że płacz radości rozsadzi mu piersi.

- Dziękuję wam, szlachetni rycerze. W tej chwili to moje najgorętsze pragnienie. Antonio starał się, jak potrafił, ale człowiek niewiele może pomóc zniszczonym płucom.

„Twój brat potrzebny nam jest do innego zadania”, powiedział don Federico.

- Ja wiem. Do unicestwienia zawartości srebrnego pudełeczka.

Antonio wiele się nad tym zastanawiał. Czy powinien najpierw dokonać laboratoryjnej analizy tej substancji?

Rycerze nie pojęli, o co mu chodzi.

Don Garcia rzekł: „Jako medyk jest on obznajomiony z ziołami.

Sam nie może nigdy dotknąć zawartości, nie wolno otworzyć pudełka. Powinien natomiast zrobić, co następuje: Zbierze takie oto zioła w stanie możliwie jak najświeższym - tomillo, lavanda, salvia, ajenjo, abedul enano, mirto, olivas i gengibre. Zaleje to wszystko aguardiente! Czy to jasne?”

- Zanotowałem, co trzeba - odparł Jordi, pisząc w swoim notesiku.

„Wspaniale! Widzę, że nie używasz gęsiego pióra, tylko jakiegoś innego narzędzia”.

- Długopisu. To nowy wynalazek - odparł Jordi lekko. - Co Antonio ma z tym zrobić?

„Kiedy już zgromadzi potrzebne składniki, te wszystkie zioła, to otrzyma pomoc.

Musi tylko przechowywać je tak świeże, jak to możliwe. To bardzo ważne. To jest jedyny sposób na zniszczenie zawartości srebrnego pudełeczka”.

Jordi rozumiał. Rycerze żyli w piętnastowiecznym medycznym świecie ziół i magicznych wywarów. Zaawansowane procedury laboratoryjne do nich nie przemawiały. I, kiedy się nad tym bliżej zastanowić, piec do spalania odpadów szpitalnych nie mógłby zniszczyć złej energii, znajdującej się w pudełku. Popiół zostałby rozsypany, a razem z nim trujący jad Wamby.

Należało polegać na tym, co mówią rycerze.

Sklonił się przed nimi z szacunkiem.

- Dziękuję wam za pomoc. Zrobimy wszystko, by spełnić warunki.

Otrzymał jeszcze kilka dodatkowych instrukcji i rycerze zniknęli.

Z pomocą przyjaciół wrócił do domu.

- Okay - zgodził się Antonio. - Wszystko urządzę jak należy.

Taką mam nadzieję - dodał skromnie.

- Przetłumaczenie, co to ma być - poprosiła Vesla.

- Oczywiście! - Jordi był gotów do pomocy. - W gruncie rzeczy nie będzie najmniejszych trudności ze zgromadzeniem ziół. Problem polega tylko na tym, czy uda nam się zdobyć je świeże. A więc: tomillo, znaczy tymianek, lavanda to lawenda, następnie szalwia, piołun, karłowata brzoza, mirt, oliwki oraz imbir. Wydaje mi się, że nie powinno być kłopotów, ale czy naprawdę?

- Tymianek i szalwię można dostać w każdym sklepie spożywczym - wyjaśniła Gudrun rzeczowo.

- No, nie wiem - zastanawiał się Jordi. - To nie mogą jednak być przyprawy w słoiczkach!

- Nie, nie, mam na myśli żywe rośliny. Zajmę się tym.

- Znakomicie!

- A ja widziałam, że w sklepiku niedaleko naszego domu mają świeży korzeń imbirowy - dodała Unni z ożywieniem.

- Mirt można kupić w kwaciarniach - wyjaśniła Vesla. - Postaram się jutro go zdobyć.

- Świeże oliwki sprzedają z pewnością imigranci w swoich sklepikach - dodał Pedro. -

Ja poszukam.

- Lawenda... - zastanawiał się Jordi. - Nie rośnie przypadkiem w naszym ogrodzie?

- U nas nie widziałam - odparła Unni. - Ale u sąsiadów, tak.

- Morten mógłby się tym zająć - postanowiła Gudrun. - Zauważyłam, że mieszka tam śliczna dziewczyna. Przydałaby się jakaś konkurencja dla tej pozeracz - ki męskich serc, Emmy.

- Co jeszcze zostało? - zastanawiał się Pedro. - Piołun? Gdzie teraz znajdziemy piołun?

- Rośnie przy drogach - wyjaśniła Gudrun. - To wprawdzie nie takie proste, trudno go znaleźć, a poza tym łatwo pomylić z bylicą, znacznie pospolitszą, no i pora roku jeszcze wczesna, ale musimy szukać.

- Gorsza sprawa może być z karłowatą brzozą - westchnął Jordi.

- To by znaczyło, że Antonio musi się wybrać w góry.

- Z brzozą dam sobie radę - zapewnił go młodszy brat. - Myślę, że z piołunem może być gorzej. Muszę się chyba zaopatrzyć w jakiś klucz do oznaczania roślin.

- Poza tym parę słoików po dżemie i przenośną lodówkę, żeby rośliny zachowały świeżość - dodała Vesla.

- I musimy mieć nadzieję, że nie jesteś uczulony na bylicę, Antonio - powiedziała Gudrun. - To jedna z najbardziej uczulających roślin, jakie istnieją. Uważaj więc, żebyś zakatarzony nie wylądował gdzieś nad rowem. Nie możemy sobie pozwolić, żeby nasz bohater tak skończył.

- Chyba jednak ja tu bohaterem nie jestem - obruszył się Antonio.

- Zapytaj Vesłę!

- A ja się trochę niepokoję tym aguardiente - powiedział Pedro.

- Zalewaniem ziół alkoholem? No tak, ciekawe, jaki zapas Antonio powinien zabrać? Jordi liczył.

- Pół litra powinno wystarczyć.

- Pół litra? - wykrzyknęła Unni. - Straci przytomność!

- No to może połowa tego - poprawił Jordi. - Drugą część nalewki powinien zostawić.

- Jak on ma tego dokonać? Na przykład gałązki brzozy?

Powinien połykać, czy jak?

- Z piołunem będzie problem - wtrącił Pedro. - To czysta trucizna.

- Potraficie dodać odwagi, nie ma co - westchnął Antonio.

- Natomiast ja teraz życzę sobie zjeść solidny, prawdziwy obiad - oznajmił Jordi. - Na

przykład antrykot z zapiekanymi ziemniakami i buraczkami w sosie bearnaise i wino, i...

- Stop, stop! - śmiała się Gudrun. - Coś mi się zdaje, że zdrowiejesz, mój chłopcze.

- Tak jest! - wrzasnął Jordi uszczęśliwiony, a wszyscy cieszyli się głośno i wiwatowali razem z nim.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Idylla w willi pod Oslo nie miała swego odpowiednika w hiszpańskim mieście.

Tam wściekły Alonzo opuścił więzienie, ale przedtem zdążył jeszcze naubliżyć strażnikom i wyższym funkcjonariuszom. Jak mogli takiego człowieka jak on po prostu wsadzić za kratki? Ale on ma znakomite kontakty w sferach wysoko postawionych i służba więzienna dostanie za swoje!

Ani im tym nie zaimponował, ani ich nie przestraszył. Cieszyli się po prostu, że z nim kończą, był więźniem kapryśnym i uciążliwym.

Alonzo bezzwłocznie ruszył do hotelu, w którym miała na niego czekać Emma. Po gwałtownych uściskach w progu z wszystkimi standartowymi gestami miłosnych seriali, ze zrywaniem ubrań, gwałtownymi jękami, pocałunkami i przewracaniem się na łóżko, Emma spytała zdyszana:

- Słyszałeś coś więcej na temat skarbu? Alonzo właśnie ścigał skarpetki.

- Co? O skarbie? Nie, nic nie słyszałem.

Emma wiedziała, że teraz władza należy do niej. To ona została wybrana przez tych obrzydliwych mnichów. Nie Alonzo, choć przecież on był szefem hiszpańskich ludzi Leona. I niezależnie od tego, jak odpychający są mnisi, to Emma by mogła, gdyby tylko chciała, poczuć ich sterczące pod habitami członki. To była rękojmia jej kobiecej władzy, miała mnichów w garści, mogła z nimi zrobić, co zechce.

Tak myślała.

Mnisi w ogóle zmienili jej nastawienie do całego tego pościgu za skarbem. Ich małostkowość udzieliła się i jej. Opanowała ją chciwość, nienawiść i pragnienie niszczenia. Emma była z krwi Emilii i Emile, w tym rodzie ziarno zła przekazywano z pokolenia na pokolenie.

Teraz wszystko, co było w niej najgorszego, wyszło na światło dzienne.

Choć może nie całkiem na dzienne. Wciąż jeszcze potrafiła ukryć tkwiące w niej zło za słodkimi flirtującymi uśmiechami, jeszcze potrafiła zwodzić łatwowiernych mężczyzn.

Takich jak Alonzo.

Mogła się kochać z Alonzem, oczywiście, że tak. Czuła pożądanie w omdlewających udach, mrowienie w dole brzucha. Przywykła jednak, że to mężczyźni jej pożądają, więc jego gwałtowne pieszczoty, pocałunki, przyspieszony oddech specjalnie jej nie rozpałały. Oczywiście, miało pewne znaczenie to, że był jej ostatnim podbojem. Ale Emma widziała

Alonzo w licznych upokarzających sytuacjach, panowała więc nad swoim podnieceniem.

Z nim było gorzej. Pytanie Emmy wytrąciło doświadczonego kochanka z równowagi. Już myślał, że ją zdobył, a tymczasem ona zaczęła rozmawiać najzupełniej trzeźwo o innych sprawach. Alonzo nie przywykł do czegoś takiego. Zdejmował więc powoli skarpetki i przygotowywał się do ataku. Emma jest cudowna!

Próbował ją znowu całować, ale ona odwróciła twarz.

- Co powiedział Leon?

Teraz Alonzo nareszcie pojął, że Emma nie jest równie podniecona jak on. Zrezygowany opadł przy niej na posłanie.

- Nie spotkałem Leona. Nawet nie wiem, gdzie on jest. Kiedy widziałem go ostatni raz, wyglądał jak sam diabeł.

- Tak, ale to on wie najwięcej na temat tego, gdzie się skarb znajduje.

- On chyba nie wie nic - mruknął Alonzo. - Nie rozumiem, co ty masz wspólnego z tą starą świnią.

- Leon oznacza bogactwo, drogi Alonzo. I był cholernie dobrym kochankiem.

- Na tym froncie ja go pobiję, mogę cię zapewnić. Próbował ponownie ją podniecić, ale Emma powiedziała zaczepnie:

- Naprawdę będziesz mógł tego dowieść?

- Tylko poczekaj!

- Haha, mój malutki - śmiała się, kiedy chciał ją objąć.

- Co? Malutki?

- No to pokaż, co potrafisz. Jeśli możesz, rzecz jasna! Tylko że Leona nie pobijesz nigdy. Teraz on jest już do niczego, ale nikt nie zajmie jego miejsca w łóżku.

Alonzo rzucił się na nią niczym rozjuszony byk i Emma gotowa była ulec. Ale, niestety, to jej gadanie na temat Leona odniosło skutek. Alonzo nie nadawał się do niczego, jego broń opadła bezradnie.

- Cholera! - ryknął. - Czy my nigdy nie uwolnimy się od tego piekielnego Leona?

Emma była samą wyrozumiałością.

- Zaczekamy, kochanie. Tymczasem możemy porobić plany.

Teraz zostaliśmy już tylko my dwoje, to my dostaniemy skarb. I mimo wszystko to i owo na jego temat wiemy, prawda?

Alonzo mruknął niechętnie:

- Musimy znaleźć Elia. On wie najwięcej o wszystkich tajemnicach.

- Elio i cała jego rodzina zniknęli bez śladu. Jakby się zapadli pod ziemię. Nie,

musimy jechać do Norwegii. Mamy tam współpracowników, to Kenny, Tomas i Roger. Chyba ich wypuszczą do tego czasu.

- Mamy jechać do Norwegii? Jak ja nienawidzę tych podróży.

Jesteśmy przecież w kraju, w którym ten cholerny skarb się znajduje.

- Ale oni są w Norwegii, ci, którzy cokolwiek o nim wiedzą. A coś mi mówi, że wiedzą dosyć dużo. Ja wiem, gdzie oni mieszkają. Tego całego Mortena mogę sobie owinąć dookoła palca. Na Elia to już teraz za późno, wszystko co wiedział, zdążył pewnie opowiedzieć tamtej bandzie świętoszków. A potem będziemy mordować, Alonzo.

Bracia Vargas pójdą na pierwszy ogień. A potem ta obrzydliwa Unni.

- No i don Pedro. On uwiera mnie jak cierń od dawna. Ale pamiętaj, że to ja jestem teraz szefem!

Emma przyglądała się uważnie swoim paznokciom.

- Nie bądź tego taki pewien! Byli tutaj mnisi. I wyznaczyli mnie.

- Co? Niemożliwe! Kłamiesz!

- Nic podobnego! I mam nad nimi władzę. Oni mnie pragną, wszyscy jak jeden mąż.

Alonzo wciąż był zirytowany niedawną porażką, a jej słowa drażniły go jeszcze bardziej.

- Ciebie? Przecież ty jesteś kompletnie bezwartościowa! Nie jesteś nawet na tyle seksowna, żeby faceta doprowadzić do erekcji.

Oj, takich słów się Emmie nie mówi.

- Naprawdę? No to chodź, mój kochany! Zobaczysz coś całkiem innego!

Zabrała się za niego ostro, objęła go swoimi wytrenowanymi w takich sytuacjach kończynami. Alonzo uznał, że nagle zrobiło się wokół niego mnóstwo nóg i rąk, ale były one ciepłe, miękkie i niewiarygodnie uwodzicielskie. Emma się nie oszczędzała, wodziła językiem po jego piersi, w dół, aż do chętniej już teraz męskości.

Pozwalała mu ze sobą robić, co chciał, szarpała go za włosy, gdy jego głowa znalazła się między jej udami, dawała z siebie naprawdę wszystko. Bo wciąż była na niego wściekła za te obraźliwe słowa i kiedy Alonzo nareszcie opadł wyczerpany, na barkach, plecach i na pośladkach miał długie ślady jej paznokci.

Ale zaspokoił Emmę, to stanowiło pociechę, budziło uczucie triumfu.

Następnego dnia Leonowi udało się pobić strażnika, który przyszedł sprzątać jego celę, co było zajęciem niezbyt nęcącym. Z kluczami w ręce, zachowując się ostrożnie i podstępnie, owa obrzydliwa istota, jaką teraz był Leon, zdołała wydostać się na wolność. Słyszał za sobą wycie alarmów, ale było za późno. Leon znajdował się już za murami.

Dyszząc i parszczając rozglądał się ze swej kryjówki po okolicy.

Wymarłe miejsce, pełne jakichś magazynów z betonu, a między nimi, w oddali, skrawek niebieskiego morza.

Nie miał pojęcia, gdzie się znajdują Emma z Alonzem, zresztą kompletnie to lekcewazył. Miał przed sobą cel. Tylko że w jego mózgu panowało okropne zamieszanie, sam siebie nie poznawał, świat stał się jakiś dziwny. W krótkich przeblyskach pojawiał się znowu dawny Leon, a wtedy nienawidził z całego serca tych, którzy stali mu na drodze, czyli braci Vargas. Czy nigdy nie zdoła ich zetrzeć z powierzchni ziemi? Zwłaszcza starszego z nich, Jordiego, który miał jakoby umrzeć, a który tymczasem objawił się znowu i włada ponadnaturalnymi siłami. W takich chwilach przypominał też sobie Emmę, zaraz jednak tego rodzaju myśli znikwały, a on musiał do domu. Do domu. Tylko gdzie się ten dom teraz znajduje, w tym dziwnym świecie pełnym szerokich dróg i jakichś okropnych połyskliwych pojazdów, pojawiających się znikąd, przed którymi on musiał się kryć i których nie pojmował. A kiedy z wielkim hukiem pojawił się na niebie ogromny, błyszczący ptak, posuwający się z niezwykłą prędkością, Leon wpadł między gęste zarośla i trząśniętym strachem istoty, które nie rozumieją.

Chciał za pomocą czarów uwolnić się od tych paskudztw, ale jego czarodziejskie sztuczki nie działały. Po chwili znowu stał się Leonem, i Leon chciał się umyć, bo cała skóra swędziała go potwornie.

Paskudny stygmat na boku wciąż oczywiście istniał, ale on nie widział go dokładnie, bo zdeformowane ciało Wamby miało wielkie piersi, które zwisały nad znakiem.

Ech, co tam woda, na co mu woda? Natomiast piwo...

Wamba trzymał się z daleka od ludzi, tymczasem Leon przedsięwziął rajd do sklepu spożywczego, gdzie ukradł mnóstwo piwa i jedzenia, mogło mu to wystarczyć na kilka dni. Przerażony personel dzwonił po policję, ale kiedy radiowóz przyjechał, jego już nie było.

Jakieś drogowskazy informowały go, gdzie mniej więcej się znajduje, zaraz jednak znowu jego mózg pogrążył się w chaosie.

Jedna jego część pragnęła Emmy i zemsty na wrogach oraz skarbu, druga natomiast chciała wrócić do domu.

Powinien za wszelką cenę kierować się na północ.

Kiedy był przede wszystkim Leonem, zdołał ukraść samochód, najdroższy, na jaki natrafił, zjechał na autostradę i ruszył. Daleko jednak nie zjechał, a poczuł, że ta jakaś dziwna przemiana znowu opanowuje jego myśli, wykazał jeszcze tyle przebiegłości, by zjechać na leśną drogę i tam czekać. Siedział w tym lesie, dopóki ponownie nie stał się

Leonem i mógł ruszyć dalej.

Miał teraz pełną kontrolę nad swoim zachowaniem. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Ale długo to nie trwało. Leon w nim marniał i marniał. Nie był już w stanie prowadzić. Nagle przeraził się, że siedzi w jakimś dziwnym powozie, ze strachu wypuścił kierownicę z rąk i wpakował samochód do rowu. Pojazd został kompletnie zniszczony, ale on się tym nie przejmował, starał się z niego wydostać, wpadał w panikę, szarpał się i miotał, w końcu niezwykłym zbiegiem okoliczności udało mu się otworzyć drzwi.

I uciekł do lasu.

Wędrował teraz po okolicy górzystej, faktycznie była to północna Hiszpania, ale chociaż nie zdawał sobie dokładnie sprawy, gdzie jest, właściwie wybierał drogę. Węch go nie zawodził na tych pełnych wzniesień pustkowiach.

Szedł niemal bez przerwy. I kiedy dotarł do rzeki, która płynęła w głębokiej rozpadlinie, rozpoznał to miejsce. Był na właściwym tropie. Wkrótce Wamba dotrze do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Przeżywali chyba swój najlepszy czas. Stali się zgraną grupą, wszyscy przeciwnicy siedzieli w więzieniu. Brakowało tylko Flavii i Elia, wtedy byłiby w komplecie. Ale Flavia nie czułaby się teraz z nimi zbyt dobrze, bo chociaż Pedro i Gudrun rzadko kiedy okazywali sobie uczucie, to było dla wszystkich oczywiste, że ci dwoje żyją wyłącznie dla siebie. Twarze mieli rozjaśnione, oczy promienne, żadne nigdy nie wyglądało lepiej.

- Nic nie czyni człowieka takim pięknym jak odwzajemniona miłość - zauważyła Vesla wzruszona, ale Unni musiała, naturalnie, zburzyć jej romantyczny nastrój.

- Nic nie czyni kobiety piękniejszą niż cztery wypite przez mężczyznę drinki.

Morten natomiast krzywił się i oburzał.

- Przecież ty jesteś moją babką! - warknął kiedyś na Gudrun. - Zachowujesz się śmiesznie, nie możesz się obnosić z tym swoim zakochaniem jak jakaś nastolatka!

- Morten! - upomniał go Antonio. - Nie pozwalaj sobie!

- Ale to wbrew naturze, oni są za starzy! Antonio wpadł w złość.

- Czy ty nigdy nie dorośniesz, Morten? Nawet stulatki mogą się zakochać. Miłość nie ma nic wspólnego z wiekiem, przekonasz się o tym, kiedy sam będziesz miał siedemdziesiątkę.

- Ja nie dożyję siedemdziesiątki - burknął Morten ze złością. - Czyżbyś zapomniał, że zostało mi już ledwie pół roku?

- Będziesz miał siedemdziesiąt i więcej - zapewnił Antonio. - I nie rozmawiajmy już o tym.

Ale Morten przyjął jego uwagi. Poprosił babcię o wybaczenie i życzył jej szczęścia, choć nie wyżył się całkiem krzywego uśmiechu.

Utrzymywali cały czas kontakt z Flavią. Elio i jego rodzina mieli się dobrze. Traktowali swój pobyt we Włoszech jako długie wakacje, nie wiadomo tylko jak długie. Także ich los był uzależniony od rozwiązania zagadki, od tego, by Leon & Co. przestali ich ścigać.

Jordi odzyskał zdrowie, ale, niestety, ten jego lodowaty pancierz pozostał. Akurat o to Unni miała pretensje do rycerzy. Czy nie mogliby być bardziej wspaniałomyślni?

Któregoś dnia przyszła pocztą duża koperta. Do Unni. Oczy dziewczyny zrobiły się wielkie, pojawił się w nich lęk, chwyciła przesyłkę i pobiegła na poddasze, do pokoju, który dzieliła teraz z Jordim tak, by Vesla i Antonio mogli mieszkać razem.

Jordi poszedł za nią i znalazł ją siedzącą na łóżku. Jego łóżko stało możliwie jak najdalej, w drugim kącie wielkiego pokoju.

- Co się dzieje, kochanie? - spytał, siadając z daleka. Unni sprawiała wrażenie głęboko rozczarowanej, w oczach miała łzy.

- Wysłałam rękopis do pewnego wydawnictwa i mi go zwrócili. - Podała mu załączoną do przesyłki kartkę. Znajdowała się na niej standardowa odpowiedź, jaką w ciągu dziejów otrzymały dziesiątki tysięcy pełnych nadziei kandydatów na pisarzy:

„Wydawnictwo dziękuje za możliwość zapoznania się z Pani rękopisem. Niestety, nie możemy go włączyć do naszych planów edytorskich”.

Jordi spojrzął znad kartki.

- A więc to tym się zajmowałaś przez całą drogę? A potem, już tutaj, przepisywałaś na czysto na maszynie, prawda?

Przytakiwała zgnębiona.

- O czym to jest?

- Ech, głupia jestem - westchnęła. - Spisywałam to, o czym rozmawialiśmy. Wiesz, o tym, jak należy odczytywać historię.

Zebrałam wszystkie zjawiska współczesne, jakie przyszły mi do głowy, i śledziłam, jak się one przedstawiały w przeszłości czy też co sprawiło, że w ogóle powstały. Na przykład, dlaczego współcześnie wszystko jest takie drogie? Albo dlaczego powstały przedszkola dla dzieci? Dlaczego dzieci więcej wiedzą o komputerach niż pięćdziesięciolatek? Zadawałam masę takich: „dlaczego” i wydawało mi się, że potrafię sprawy wyjaśnić, cofając się aż do siedemnastego wieku.

- Dużo tego masz? Ile stron maszynopisu?

- Dwadzieścia dwie.

- Ależ Unni, to przecież za mało na książkę! Nikt nie wyda takiego krótkiego maszynopisu. Standardowa objętość zawiera się gdzieś między dwieście pięćdziesiąt a pięćset stron.

- Oj! - jęknęła speszona. - A ja myślałam, że napisałam strasznie dużo!

Jordi wyciągnął rękę.

- Mógłbym przeczytać? Zobaczmy, jak to można zakwalifikować.

Bo powieść to też nie jest, jak rozumiem.

Unni wahała się przez chwilę, po czym podała mu kopertę.

- Ale nie wolno ci się śmiać. Roześmiała się sama. Skrępowana.

- Zresztą możesz. Bo i tak bardzo chcę wiedzieć, co o tym myślisz.

Jordi pograżył się w lekturze, a Unni chodziła po ogrodzie i obgryzała paznokcie.

Kiedy się znówu spotkali, Jordi miał przed sobą niełatwe zadanie.

Tekst Unni był strasznie naiwny, brakowało mu struktury, nie poddawał się na dobrą sprawę żadnym klasyfikacjom.

O naiwności nie wspomniał, ale roztrząsali całą sprawę bardzo długo. W końcu ustalili, że Jordi pomoże jej w pracy nad tekstem, nada mu czytelną kompozycję, a potem wyślą rzecz do jakiegoś alternatywnego magazynu. Na artykuł gazetowy tekst był za długi, zresztą gazety raczej się nie interesują takimi tematami. Istnieją jednak wydawnictwa popularne, które mają kłopoty z zapewnianiem swoich łamów. Obiecał się zorientować.

Unni dziękowała mu szczerze. Siedzieli przy grządce tulipanów na ogrodowych krzeselkach.

- Wiesz, ja pisałam nie tylko ze względu na siebie. Bardzo chciałam jakoś wesprzeć ekonomicznie nasze przedsięwzięcie. Tak strasznie dużo podróżujemy.

- A będziemy jeszcze więcej. Ale niestety, nawet gdybyś wydała grubą książkę, to i tak byś się nie wzbogaciła. Pisarze przeważnie żyją dosyć skromnie. Tylko autorzy bestsellerów mogą się utrzymać z działalności literackiej.

- Nie wiedziałam - westchnęła Unni rozczarowana. Zaraz się jednak rozpogodziła. - Ale i tak miałam z tego mnóstwo radości.

Bardzo przyjemnie jest pisać.

- Ach, to więcej niż połowa satysfakcji, móc pisać.

- Tak, teraz o tym wiem. Jordi spoważniał.

- Tak bardzo cię kocham, Unni.

- Ja też. To znaczy, chciałam powiedzieć, że ja też kocham ciebie. Amerykanie mają lepiej, oni mówią po prostu „me too” i nikt nie ma wątpliwości. A poza tym zdobyłam imbir.

- To wspaniale! Natomiast Gudrun znalazła szalwzię i tymianek.

- Vesla przetrząsa wszystkie kwaciarnie w poszukiwaniu mirtu, ale bezskutecznie.

Widocznie to nie sezon - opowiadała Unni.

- Mam nadzieję, że w końcu znajdzie. Bo Pedro zdobył świeże oliwki, kupił ich tyle, że można by sporządzić całe wiadro czarodziejskiego wywaru.

- Świetnie. A jak Morten radzi sobie z lawendą?

- Gudrun wysłała go do sąsiadów w czasie, kiedy ich córka była akurat w domu. Wmówiła sobie, że musi mu wybić z głowy Emmę.

- Nie wiem, czy to akurat o głowę chodzi - mruknęła Unni pod nosem, ale Jordi dobrze ją słyszał. Uśmiechnął się. Bardzo by chciał wyciągnąć rękę i uściskać ukochaną, ale

byłoby to beznadziejne przedsięwzięcie.

Paskudni rycerze! Czy naprawdę konieczne są te wszystkie cierpienia i kłopoty, przez które on i jego przyjaciele muszą przechodzić?

Jordi wiedział jednak bardzo dobrze, że tak. Wyjaśnienie wielkiej tajemnicy leżało również w interesie żywych.

Morten był przygnębiony i wściekły. Dlaczego to zawsze on otrzymuje najgorsze zadania?

Teraz chyba aż tak źle nie było, ale on lubił czuć się pokrzywdzony. „O, ja nieszczęśliwy”, powtarzał sobie. raz po raz.

Wciąż urażony dzwonił do drzwi sąsiadów.

Otworzyła młoda dziewczyna i patrzyła na niego pytająco.

Morten stracił dech. Dziewczyna była bardzo ładna, a on, jak wiadomo, wrażliwy na urodę pań. Zaraz się też okazało, że sąsiadka jest życzliwie usposobiona i posiada naturalną łagodność.

Jakając się, Morten zdołał wykrztusić, że jest nowym sąsiadem, i został wpuszczony do środka. Najwyraźniej panna była w domu sama.

Zdażył zauważyć, iż wewnątrz jest bardzo wygodne, w duchu jednak przeklinał swoich przyjaciół, że wysłali go w tak idiotycznej sprawie.

- Eeech, ja... eech... weee... zwróciłem uwagę, że... (do diabła, po co ja się w to wdałem?), że eee... państwo mają... lawendę w og... ogrodzie.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się gospodyni.

O rany, wygląda na to, że siedział z lornetką i studiował, co oni hodują w ogrodzie.

- Tak. Moja babcia tak mówi. To ona przysłała mnie z prośbą, czy by państwo... czy mogłaby dostać kilka gałązek do bukietu!

Ostatnia część zdania zabrzmiała jak eksplozja.

- Oczywiście - odparła dziewczyna nieco zaskoczona, bo będzie musiało minąć jeszcze sporo czasu, zanim lawenda zakwitnie. - A przy okazji, mam na imię Monika.

- O, przepraszam bardzo! Jestem Morten. Podał jej spoconą dłoń.

Monika wzięła sekator i wyszli do ogrodu szukać lawendowych krzewów.

Teraz łatwiej było rozmawiać. Mówili o sąsiedztwie, o pięknej pogodzie i uważnie przyglądali się roślinom. Morten nie szczędził pochwał ogrodowi.

W końcu zgodzili się oboje, że te krzewy o cienkich gałązkach i szarej barwie to musi być lawenda.

Morten wracał do domu, ściskając gałązki w dłoni, a serce biło mu radośnie. Nagle

życie stało się piękne i ekscytujące! Poza tym naprawdę przyniósł do domu lawendę.

Spokojny, piękny czas dobiegał końca.

Nad willą znowu zaczynały się zbierać ciemne chmury.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Jordi przygotował nieduży, szczelny pojemnik z metalu. Wyłożył jego wnętrze bąbelkową folią, żeby fatalne srebrne pudełeczko nie mogło się przesuwać albo nie dać Boże otworzyć.

I raz jeszcze zebrali się nad skrzynią z tak zwanym skarbem Santiago. Antonio, gotów do podróży, wszystkie remedia złożył na tylnym siedzeniu samochodu: tymianek, szalwia, lawenda, mirt, oliwki oraz imbir. Brakowało jedynie piołunu i karłowatej brzozy.

Zabierał ponadto moździerz, w którym będzie mógł zioła pokruszyć i rozetrzeć. I Jordi, i Unni mieli silne przeczucie, że czas nagli oraz że nie byłoby rzeczą rozsądną pić nalewkę w willi lub w jej okolicy.

Do zalania ziół wybrali najdelikatniejszy, markowy koniak. Cały litr. Vesla zaopatrzyła Antonia w dwa duże, bardzo piękne kieliszki.

Na wszelki wypadek. Bo, jak powiedziano, nikt nie wie, co rycerze mieli na myśli, mówiąc, że Antonio otrzyma pomoc. I że on sam ma wypić jedynie połowę nalewki. Lepiej się zabezpieczyć i być przygotowanym na wszelką ewentualność.

Vesla błagała, by pozwolono jej towarzyszyć ukochanemu, być u jego boku.

On jednak stanowczo odmawiał. Nikt w ich walce nie otrzymał tyle razów, co najzupełniej niewinna Vesla. A to wtedy, kiedy wywróciła się łódź, a to w Alhambrze (nie mówiąc już o stopach pocieranych przez nowe buty). Antonio zwyczajnie się o nią bał. I o dziecko, którego oczekiwali.

- Bardzo chętnie wziąłbym cię ze sobą w góry, kochanie - zapewniał. - Gdyby tylko okoliczności były inne. Ja nawet nie wiem, dokąd jadę. Zawartość srebrnego pudełeczka jest zaczarowana i śmiertelnie niebezpieczna, a rycerze wyraźnie powiedzieli, że zadanie mogę wykonać jedynie ja sam. Tylko dlatego, że wierzą, iż jako lekarz potrafię się obchodzić z ziołami, wybrali właśnie mnie do zniszczenia zawartości pudełeczka.

Tak więc Vesla musiała zrezygnować. Za to na pożegnanie całowali się długo i namiętnie.

I Antonio, i Jordi włożyli rękawice ochronne, kiedy trzeba było przełożyć pudełeczko do metalowego pojemnika. Na wypadek, gdyby miała się zeń wydostać choćby kropla trucizny. Ostrożnie, jeden po drugim, usuwali ze skrzyni wszystkie ochronne święte obrazki. Jak długo to możliwe, unikali dotykania pudełka. Widzieli znak rycerzy wygrawerowany na wieczku i wiedzieli, że to on trzymał mnichów z dala od skrzyni.

Jordi głośno przełknął ślinę. Bardzo ciążyła mu świadomość, że składa na barki młodszego brata ów niebezpieczny ciężar, że wysyła go w nieznane.

Wkrótce w skrzyni zostało tylko srebrne pudełko. Przyglądali mu się z niesmakiem. Reszta towarzystwa wykonała polecenie braci i cofnęła się na przyzwoitą odległość. W obawie, by trujące opary nie wydostały się na zewnątrz. Jordi wiedział wszystko o skutkach działania tego rodzaju substancji, więc i on, i Antonio zasłonili usta maseczkami.

Spojrzeni na siebie. Antonio przysunął pojemnik najbliżej jak mógł, Jordi miał tam włożyć srebrne pudełko.

Kiedy dotknął go palcami, odniósł wrażenie, że zimny dreszcz przeniknął całe jego ciało i dotarł aż do płuc. Nie, tylko nie to, pomyślał przerażony. Szybko, choć ostrożnie wziął pudełeczko i przełożył je do pojemnika. Antonio sprawdził, czy wieczko jest naprawdę mocno zamknięte. Było gwintowane, dokręcił je więc jeszcze z całych sił. A później stwierdził, że zajmowanie się tym sprawiło mu ból, dokładnie tak samo jak Jordiemu.

W końcu pojemnik umieszczono w plecaku, który Antonio będzie zawsze miał przy sobie.

Po wszystkim spalili rękawiczki.

Antonio pożegnał się i wsiadł do samochodu.

Wolno ruszył w najtrudniejszą wyprawę swego życia.

W Hiszpanii tymczasem Emma i Alonzo szykowali się do wyjazdu do Norwegii. Kiedy Emma jeszcze czekała na niego w hotelu, „pracowała” na pieniądze. Wyglądała naprawdę bardzo pięknie, mogła więc wybierać spośród najbogatszych gości hotelowych, żadnego wychodzenia na ulicę, to nie dla niej. W dniu, gdy nareszcie Alonzo został wypuszczony z więzienia, ona miała zaoszczędzoną pokaźną sumkę.

Rozmawiała już przez telefon z Tomasem. Dwaj pozostali wciąż jeszcze tkwili za kratkami, Tomas jednak miał ich spotkać na lotnisku Gardermoen.

Tomas się ucieszył. Emma mówiła o broni palnej, którą on będzie dysponował.

Nareszcie wydarzenia nabiorą tempa!

Leon - ta resztko, która jeszcze z dawnego Leona została - przedzierał się przez gęsty las. Jego droga wiodła w górę, dyszał więc ciężko. Raz po raz musiał się wspinać na skały, by wejść jeszcze wyżej. To trudne dla podstarzałego mężczyzny jak on. Było też gorąco, dokuczala mu swędząca skóra. Drapał się i czochrał jak zwierzę, był zirytowany i wściekły, a worek z jedzeniem, który dźwigał na plecach, ciążył mu nieznośnie.

Rzeka w rozpadlinie od dawna już była niewidoczna, Leon opuścił jej okolice. Otaczały go rozległe pustkowia. Jakiś drapieżny ptak krzyczał w górze, ale on nie miał siły go

śledzić, wcale go to zresztą nie interesowało.

Przystanął, by zorientować się w terenie, jak okiem sięgnąć wszędzie tylko las, a nad nim nagie, skalne ściany w pobliżu i wysokie, groźne szczyty w oddali.

Nareszcie dotarł na szczyt swojej góry. W tej górze znajduje się grotta.

Chrząkał zadowolony. Jest w domu. Po co najmniej pięciuset latach wrócił do domu.

Zmęczony wspinaczką, usiadł.

Był las. W lesie znajdowała się góra. W górze ukryty był skarb. A na górze siedział troll...

Usiadł, by czekać. Leon czekał na obiekty swojej nienawiści, Jordiego i Antonia Vargasów. Ale i Wamba, i on czekali, by znaleźć odpowiedź na prastarą zagadkę. Bo tej zaden z nich nie znał.

Ci, którzy tej odpowiedzi szukają, przybędą zapewne wkrótce. On może czekać. Znajduje się teraz w domu po wiekach spędzonych w ciemnym i milczącym grobie.

Niech tamci szukają, i nawet na pewno będą to robić, bo znaleźli się potwornie blisko rozwiązania, tego się domyślał.

A kiedy już rozwiążą dla niego zagadkę, wtedy on uderzy. Skarb będzie należał do niego, do Leona, a on podzieli się nim z Emmą, z nikim więcej. I wtedy będzie mógł wymordować wszystkich swoich wrogów. A gdyby mu się nie udało ich wymordować, to ich zniszczy czarami, sprowadzi na nich cierpienia i śmierć. Bo czarować to już on potrafi, przez wiele stuleci był pierwszym czarownikiem w kraju.

Może czekać.

Tamci przyjdą na pewno.

No i to Unni spotkał wielki honor, że mogła jako pierwsza przeczytać memuary grzesznej Estelli.

Mogła je przeczytać, bo Pedro nie był tym specjalnie zainteresowany, Antonio wyjechał, Morten był za młody, Gudrun zaś uważała, że ona jest za stara, choć akurat swobodnie czytała po hiszpańsku po wielu latach kursów i licznych podróżach do Hiszpanii. Ani Morten, ani Vesla języka nie znali.

Jordi natomiast okazał się elegancki. Zaproponował przy tym, że pomoże Unni w rozszyfrowywaniu trudniejszych słów, więc taki całkiem niezainteresowany chyba nie był.

Unni cieszyła się na tę lekturę, choć wiedziała, że będzie to nieludzko trudne.

Otulona kocem, by ochronić się przed płynącym od Jordiego chłodem, wyposażona w słowniki, zeszyt, czerwone wino i obietnicę Jordiego, że będzie jej pomagał, zasiadła w pokoju na poddaszu z osławionym dziennikiem, spisany przez donę Estellę de Navarra i

zakończonym w Roku Pańskim 1637, kiedy to, w wyniku skandalicznego prowadzenia się, została wysłana do klasztoru karmelitanek w północnej Hiszpanii.

To znaczy zakończony ten pamiętnik nigdy nie został.

Gwałtownie przerwany, to lepsze określenie. Stało się to w tym samym roku, w którym dona Estella zmarła, w dniu swoich dwudziestych piątych urodzin.

Unni zaczęła się przedzierać przez bazgroły, jakby pisane kurzą łapą, nie podejrzewając, że w tej od stuleci zamkniętej książce kryje się wiele wskazówek i dla niej, i dla jej przyjaciół.

Jego twarz była pociągła, szczupła i koścista, a na czaszce napinała się cienka jak pergamin skóra. Orli nos z wysokim garbem wydawał się niezwykle długi, oczy - w przeciwieństwie do ciepłych, brązowych oczu Pedra - szaroniebieskie, głęboko osadzone pod łukowato wygiętymi brwiami. Uwagę zwracały wystające kości policzkowe.

Te oczy miały lodowaty wyraz. Usta rysowały się prostą kreską, wyrażającą niezadowolenie. Włosy, jakie mu jeszcze zostały, miały kolor stalowoszary.

Długie, bardzo długie palce pieściły papiery, które trzymał w ręce. Jeden był niezwykle starym listem. Drugi natomiast miał tytuł, wypisany staromodnymi, okrągłymi literami:

„Teoria Santiago”.

Popatrzył na swojego podwładnego, który najwyraźniej oczekiwał uznania. Chłodno było na tym tarasie, na którym mężczyzna siedział z wełnianym pledem na kolanach. Lekki wiatr rozwiewał jego rzadkie włosy, a upiornie długa ręka odgarniała je znowu na miejsce.

Coś, co mogłoby może przypominać zły uśmiech, pojawiło się na kościstej twarzy, i jego oddany współpracownik rozjaśnił się uszczęśliwiony. Zimne oczy znowu się zmrużyły. Żadnych gwałtownych uczuć, co to, to nie!

W końcu padły słowa:

- Świetnie! Świetnie! Powinieneś być jednak zabrać wszystko!

- Nie miałem na to czasu. W domu było zbyt dużo ludzi i w każdej chwili ktoś mógł wyjść.

Mężczyzna w fotelu machnął na znak, że nie życzy sobie niewczesnych tłumaczeń.

- Dobrze. Na razie to wystarczy. To i tak wielki krok do celu.

Nareszcie!